

14549

KLIN KLINEM

NOWELLA

PRZEZ

J. L. Kraszewskiego.

„Similia similibus curantur.”



INSTYTUT
BADAN LITERACKICH PAN
Biblioteka
ul. Nowy Świat Nr 72
00-690 Warszawa
Tel. 26-68-63, 26-52-31 w. 42

WARSZAWA.

W Drukarni Emila Skińskiego
przy ulicy Elektoralnej Nr 23.

1875. Skóra



Дозволено Цензурою.

Варшава, 25 Июля 1875 года.

Similia similibus curantur.

Po salonie przyciemnionym nieco verandą, która okna od ogrodu osłaniała, o wieczornej godzinie, przechadzała się kobieta młoda słusznego wzrostu, szykownej i zręcznej postaci, ruchów żywych. Mrok nie dozwalał widzieć rysów jej twarzy, lecz można się było domyśleć ze wdzięku poruszeń, ze stroju wytwornego iż była piękną i dbała o piękność swoją. Widocznie była wzruszoną, oddychała prędko, niekiedy dłoń przykładając do skroni, ręką zasłaniała twarz, to znowu przyciskała nią serce, to stawała nieporuszona, zamyślona — to żywo się zwróciwszy na nóżce, przebiegała pokój wzdłuż i w poprzek, jakby nieprzytomna. Parę razy potrąciła o krzesło i popchnęła je gniewnie, nareszcie gdy ją powietrze dusić się zdawało, otworzyła gwałtownie drzwi szklanne na verandę, które się jej nieco oparły i o mało nie poszły w kawałki, bo niemi silnie rzuciła — wybiegając na świeże powietrze.

Był to wieczór jesienny, pogodny, chłodnawy, smutny... z po za starych drzew ogrodu okalającego dom

Klin Klinem.

1

ten wiejski, widać było pomarańczowe niebo, którego blaski ostatnie przedzierały się przez gałęzie. Ziemia już była liśćmi usłana, gdzieś tam gałęzie z nich ogołoczone stały jak suche — trawniki tylko zieleniały drugą młodością, a wiosną kwitły gdzieś tam w klombach roślin wytrzymalszych ostatki.

Od ganku wiodła ścieżka w głąb ogrodu... Nikogo tu nie było, cisza panowała do koła. Kobieta zbiegła oglądając się z ganku, przy świetle wieczora popatrzyła na zegareczek, który z za sukni wyjęła i żywym krokiem niespokojna pośpieszyła w głąb ogrodu. Parę razy oczyma rzuciła do koła, lecz nikogo widać nie było, wbiegła więc między klomby i znikła na krętych ścieżynach, wiodących pomiędzy stare drzewa w pośród których ciemniej było daleko niż około domu.

Tu jednak twarz jej w całej piękności widzieć było można, oblaną szarem światłem wieczora. Odpowiadała ona w istocie wyobrażeniu jakie o niej z postaci powziąłby każdy, nie widząc tego oblicza Junony.

Była to kobieta w pełni rozkwitu i wdzięku, lat mogąca mieć dwadzieścia kilka, dumnego wyrazu twarzy, który nadzwyczajna rysów klasycznych piękność tłomaczyła. Wcześniej znać ludzie padając przed tem bóstwem, dali mu pojęcie o jego nadzwyczajnym uroku i sile jaką posiadało.

Twarz majestatyczna, nie była jednak pociągającą sympatyczną; coś surowego patrzyło z oczów ciem-

nych rozkazujące rzucających wejrzenia. Brwi marszczyły się i ściągały często, przez białe i piękne czoło rysując dwie ciemne pręgi prostopadłe.

Ta sama surowość wzdymała usta, a oddech podnosił różowe boki noska kształtnego, jak nozdrza arabskiego rumaka. W całej postaci nie łagodność niewieścia, ale energija amazonki widną była. I teraz idąc pośpiesznie zdawała się wśród ogrodu tego panią rozkazującą drzewom, by jej ustępowały z drogi, krzewom aby się jej pod stopy kładły. Ręką nachylone odrzucała gałęzie niecierpliwie i gniewnie, nóżka jej zwir który śmiał ją dotknąć, potrącała z pogardą.

Wśród tego pochodu, obejrzała się z niejakim niepokojem parę razy, i coraz wyszukując ciaśniejszych ścieżyn, ciemniejszych zarośli, dostała się aż do wysokiego parkanu, który ogród otaczał. Drżącą ręką dobyła klucz z kieszeni, otworzyła prawie niewidoczną furtkę i stanęła nad brzegiem głębokiego rowu, który otaczał ogród; przez rów ten szeroki, zalany wodą, pozieleniały, rzucona była kładka z jednej deski... Śmiałą nogą wbiegła na nią kobieta i przesunawszy się znalazła po drugiej stronie, w śród niziny łożami gęstemi zarosłej. Kilka wydeptanych przez ludzi i było może ścieżek, snuło się w pośród tych gąszczy, gdzieniegdzie starami wierzbami poprzerzynanych. Znać na wiosnę wody musiały to wszystko zalewać. Łąka była wilgotna a gdzieniegdzie bujno rosły na niej tataraki i kwiaty lubiące moczary.

O kilkadziesiąt kroków od przeciwnego brzegu, szelest się dał słyszeć wśród łożyny, kobieta nastawiła ucha, zatrzymała się i obejrzała... Z gęstwiny wyszedł w tej chwili ukryty mężczyzna. Stał jakby przelekły i czekał. Dopiero na dany znak zbliżył się, gorączkowo idąc i pośpiesznie.

Był to młody chłopak, lat zaledwie dwadzieścia parę mieć mogący; słuszny, pięknej twarzy, niemal panieńskiego jeszcze wdzięku, z długimi błęd włosami, z niebieskimi oczyma, prawdziwy typ północny, ale w najpiękniejszym objawie, w idealnym swoim blasku. O ile kobiety twarz ognia miała, energii i siły, o tyle on przeciwnie odznaczał się smętną jakąś dobrocią.

Z dala już usta jego uśmiechały się bojaźliwie pięknemu zjawisku, i wyciągnął ku niemu jakby błagalne dłonie. Kobieta rzuciła nań oczy swe i ciągle szybko idąc nie powitawszy nawet, poprowadziła z sobą dalej, wijącą się ścieżyną małą. Szli milczący, ona przodem, on za nią, aż do obalonej spróchniałej kłody wierzbowej, od której nowe latorośle puszczały, na wpół zakrywając tego trupa.

Kobieta odychając ze znużenia, pośpiechu i strachu może, coraz żywiej, padła na to siedzenie, uciskając pierś piękną ręką białą, której palce długie drgały konwulsyjnie...

Młodzieniec stał przed nią milczący.

Nie rychło podniosła główkę ku niemu, oglądając do koła, z pewną bojaźnią dziką.

— Bernardzie! zawołała — to dłużej trwać nie może, ja się duszę, ja umieram; ja w tem życiu ciasnem, ostudzającym, w tych okowach, obok tego człowieka, zimnego jak nóż stalowy... wytrwać nie potrafię ani tygodnia. Ja umrę, ja się otruję... Bernardzie, kochasz mnie — ratuj! ratuj!..

Blondyn rzucił się na kolana przed nią.

— Moje życie należy do ciebie; tyś królową moją, mów, rozkazuj. Uczynię wszystko. Kazałaś mi czekać — wołał z pośpiechem, byłem cierpliwy, kazałaś się oddalać, byłem posłuszny — wyrzecz się nadziei — wiesz jak mnie ten wyrok bolał... mów co mam czynić, jam niewolnik.

Kobieta na chwilę zakryła twarz ręką i zadumała się...

— Nie — zawołała — to próżno, z tego rozpaczliwego położenia, tylko rozpaczliwym krokiem wyjść można. Nie, choćbym chciała żyć z nim, nie mogę. Kocham ciebie, jego nienawidzę... to kat!!

Uciekajmy — zażądam rozvodu, dać mi go muszą... wołę skandal, wołę niesławę, wołę wszystko, niż te więzy...

Bernard milczał. Klęcząc pocałował jej rękę drżącą, czego nawet czuć się nie zdawała, tak była pogrążoną w sobie.

— Sewerynko — odezwał się z rodzajem upojenia i ekstazy. Sewerynko... mów, każ... ja nie mam woli swojej... ja do ciebie należę.

— Czekaj, niech myśli zbiorę, drzę cała; mówiła kobieta... walcząc z sobą, straciłam pamięć, przyto-

mność... patrząc na niego wpadłam w wściekłość prawie — ja nie wiem sama — ja nie wiem nad to jedno że chcę być wolną i twoją...

Bernard z młodzieńczym zapałem, już nie ręce jej, ale się rzucił całować stopy... Spojrzała nań i porwała się nagle.

— Chodź — zastać, zobaczyć nas tu mogą. Nim powróci z pola, mamy jeszcze pół..... godziny czasu... chcę ci się wypowiedzieć... chcę się sama wytłomaczyć przed sobą. Ja z nim wyżyć nie potrafię.

Odetchnęła silnie i iść zaczęła wlokąc za sobą Bernarda, ścieżyną co raz węższą i wilgotniejszą.

Głos jej drżący, poruszony, słabym w początku, lecz w uniesieniu podnosił się co raz śmielej i stawał się gorętszym.

— Nie znałeś mnie dawniej, gdym jeszcze była wolną i szczęśliwą... gdy mnie ojciec wypieścił i wykołysał, jakby na królowę. Mój Boże jak to krótko, krótko trwało — zaledwie oczy otworzyłam na świat i wolność, już je ciemną żałoba okryła. Byliśmy ubodzy, ale ojciec mój pracował dla mnie i otaczał dostatkiem. Tak mnie kochał. Któż wie, tą pracą dla dziecka zabił się może... Zostałam sierotą; na rękach zimnego opiekuna... Nie znałam ludzi i świata, wiedziałam tylko że m byłą, co nazywano piękną...

Opiekun ubogą, przestraszoną, zmusił, wydał za tego człowieka. Znasz go?

Cały świat mnie potępi. Spojrzeć na niego, łagodność i dobroć sama — spokój w twarzy, uśmiech na ustach, niezachwiany chłód i panowanie nad sobą.

Z tą samą krwią zimną przyjmuje szczęście, i patrzy na spadające pioruny, czy kamień! Czegóż mi w domu braknie — uboga sierota, mam o czem zamarzę, nie słyszę od niego surowszego słowa... obchodzi się ze mną jak z dziecięciem, pobłażający jest jak dla obłąkanej, a znęca się i katuje...

Nie — ja tego życia wytrzymać nie potrafię — raczej śmierć, niż dłuższe męki... Bernardzie, ratuj mnie!

— Sewerynko, życie moje, powtarzam ci, począł gorąco, składając dłonie Bernard — jam gotów na wszystko — ale ci nie tajne położenie moje. Znasz matkę moją... Ja jestem w zależności od niej.

— Jesteś pełnoletni, jesteś mężczyzną, zawołała kobieta, i mówisz że mnie kochasz.

— I poświęcę ci wszystko... rzekł Bernard — nawet na gniew matki się narażę...

— A my ją przebłagamy — ona tobie i mnie przebaczy — łamiąc rękę krzyknęła spazmatycznie kobieta... ale ja być tak dłużej nie mogę, ciebie nosząc w sercu — a jemu zmuszona ulegać jak ofiara... kłamać i milczeć...

Odwróciła się szybko, stając nagle.

— Słuchaj, jutro jadę do Żytomierza i zamykam się w klasztorze, wytaczam proces o rozwód, ty przygotuj matkę... Jam twoją!...

To mówiąc rzuciła mu się na szyję, objęła ją rękami, i całując czoło drżącego chłopca, zerwała się do ucieczki.

Bernard biegł za nią, próżno usiłując ją dogonić, leciała jak strzała, parę razy tylko, dawszy mu znak by nie szedł dalej. Stała wreszcie wśród zarośli... a Seweryna dobiegłszy kładki na rowie, prześliznęła się przez nią do furtki i wpadła do ogrodu, zamykając za sobą.

Drżąca ze wzruszenia, potrzebowała chwilę wypocząć, nim mogła zebrać siły, aby powrócić ku domowi. Ochłonawszy wreszcie, wolnym krokiem wśród coraz zwiększających się ciemności, przesunęła się znajomymi sobie ścieżkami, i mijając klomby, zamyślona zbliżyła się do dworu.

Na werandzie, na którą spojrzała, nie widać było nikogo; tylko w pokojach świeciło już zapalone światło. Przez szyby dostrzedz było można w głębi mężczyznę, który przy stole siedział, z rozłożoną szeroko gazetą i cygaro odjąwszy od ust, czytał ją z uwagą wielką.

Mężczyzna był lat około czterdziestu, twarzy okrągłej, jasnej, uspokojonej, pięknych dosyć rysów, ale mówiącej mało. Znać było z całości tej, oblanej jakąś harmoniją, przejednanie z życiem i opanowanie siebie. Nie była to twarz człowieka bez czucia, lecz władającego sobą i uczuciami swojemi, kogoś co przeżył wiele i złudzenia wszelkie porzucił po drodze,

Na wysokiem czole, nieco wyłysiałem, znać było promieniejącą myśl i zimny rozsądek.

Około ust nieco wydatnych i szerokich, dwie zarysowane marszczki, pozostały jak ślady częstego uśmiechu, ironji i litości.

Kobieta weszła na werandę, popatrzała na czytającego wzrokiem ponurych groźb pełnym, stanęła, zawahała się, i poczęła przechadzać nie wstępując na próg salonu. Kiedy niekiedy gniewne oko jej padało na siedzącego i odwracało się z pośpiechem i wstrętem.

Mężczyzna czytał spokojnie. Szelest jednak sukni którą chodząc po ganku miotła Seweryna, zwrócił w końcu jego uwagę, podniósł oczy, posłuchał, położył gazetę, zapalił cygaro przygasłe, i wolnym krokiem zbliżył się do ganku.

Postrzegłszy go nadchodzącego kobieta pierzchnęła szybko, jakby uniknąć chciała spotkania.

Wolnym krokiem doszedł do progu i stanął w nim, oczyma w ciemności usiłując dojrzeć Sewerynę, która się w kątek werandy schroniła, i odwróciła głowę od niego. Stał tak spokojny, ręce powkładawszy w kieszenie i rozpatrywał się, oddychając powietrzem wieczoru... Kiedy niekiedy z ust jego, ulatywał dymek cygara...

Wreszcie głosem powolnym i cichym odezwał się:

— Gdzież jest pani?

Była chwila milczenia. Kobieta się odwróciła, z wyrachowaną powolnością ku niemu i spytała głosem w którym czuć było wzruszenie.

— Na cóż pani potrzebna?

— Chłodny wieczór... należałoby wrócić do salonu — rzekł mężczyzna.

— O! odezwała się szybko Seweryna, duszę się w nim ciągle, do zbytku, dajcież mi choć świeżem odetchnąć powietrzem.

— Moja kochana Sewerynko... skądże znowu ten humor? dodał spokojnie stojący w progu.

— Humor??? nierozumiem — odparła krótko i odwróciła się ku ogrodowi. Jaktó? więc mi nie wolno nawet mieć humoru, jaki chcę? A to doskonałe!

Mężczyzna ruszył ramionami.

— Moja droga, rzekł powolnie — a mnie i spytać nie wolno o nic?

— Panu... wam — głosem drżącym poczęła kobieta — a któż zabroni znęcać się nad bezbronną... i temi słodkimi słowy, pełnymi dobroci... śpilkować ją po dniach całych.

Panu — wolno wszystko — mnie tylko ani zapłakać nawet.

— Widocznie na burzę się zbiera — powolnie i spokojnie odpowiedział stojący w progu... ale cóż za przyczyna?...

Nic nie odpowiedziała kobieta, gryzła białymi zębami koniec chustki którą w rękę trzymała.

Mężczyzna wszedł w ganek i przybliżył się ku niej z wolna.

— Cóż ci jest Sewerynko? rzekł głosem czułym — proszę cię — nie męcz mnie — mów...

— Co mi jest! wybuchnęła kobieta... więc pan nie widzisz że jestem nieszczęśliwą, najnieszczęśliwszą; więc pan nie czujesz, że mnie katujesz!

— Ja! ciebie? na miłość Bożą — załamując ręce zawołał zdumiony mężczyzna. — Cóż się stało?

— Kropla przepełniła naczynię — poczęła gwałtownie, zwracając twarz ku niemu kobieta... Cierpiałam długo, tałam łzy, walczyłam z sobą... naostatek się przebrało... Ja z wami żyć nie chcę, nie mogę, nie będę.— Tak — nie będę — rozstać się nam potrzeba.

Mężczyzna jak piorunem rażony, stał milczący, słucał, i uszom nie wierzył. Westchnienie ciężkie wyrwało mu się z piersi.

— Dziecko ty moje, zawołał z litością — na Boga — co ci jest? Naucz że mnie jaka to kropla nie-szczęśliwa przepełniła to naczynie... czem ja ci życie uczyniłem nieznośnem...

Głos jego stał się poważnym i smutnym

— Ja moje, rzekł, poświęciłem dla ciebie — ale nie chwilowej przyjemności twej szukałem, pragnąłem szczęścia — dla tego nie pochlebiałem ci, jak kochanek — byłem dla ciebie ojcem, Sewerynko! Tyś dziecko! ty nie wiesz co mówisz i na co się narażasz, nie liczysz się ze słowami twojemi.

— O! przepraszam, bardzo przepraszam — poczęła obrażona kobieta — ważę każde słowo moje. Myślałam długo nim wyrzekłam ostatnie.

Pod pozorem tego troskliwego ojcowstwa, kryło się obrzydłe skąpstwo, i zazdrość śmieszna. Ja jestem młoda, ja potrzebuję żyć. a ja tu zamknięta w tych ścianach, niewolnicą być nie chcę. Ja nie mam nic, ja nie rozporządzam niczem, ja nie mam swej woli... ja zawsze tylko małym dzieckiem jestem.

O! nie! nie! o prawa moje, o swobodę mi należną upomnieć się muszę.

— Prawdziwie, w głowie się zawraca, słuchając tego wrzasku wyrazów gniewnych — rzekł mąż — o co ci idzie! Dziś, wczoraj, zawsze wymagałem dla twojego dobra, ażebyś się czem zajęła... kobieta, pani domu, ma obowiązki. Zresztą zostawiłem ci do wyboru, rób co chcesz, zajmij się czym ci się podoba. Nie mamy dzieci — nie dał ich Bóg, są sieroty — masz książki, fortepian, ogród — co chcesz!

— Tak, wszystko oprócz swobody i życia — rozśmiała się Seweryna — oprócz ludzi, towarzystwa — oprócz serca, coby mnie rozumiało, oprócz... miłości!...

Zatrzymała się, mężczyzna patrzył na ziemię zadumany.

— Miłości!... powtórzył, niestety! tej wymarzonej jakiej tyś pragnęła, ja ci dać nie mogę... tej gorączkowej, co pali, zabija... ja do niej nie jestem zdolny ale kocham cię, jak dziecię moje, jak żonę jak towarzyszkę, jak mój jedyny skarb na ziemi.

Szydersko poczęła się śmiać piękna Seweryna.

— Ktoby nas słyszał — rzekła — pomyślałby istotnie żeś pan aniołem, a ja potępioną, szaloną... niewdzięczną. Ale dość słów — dosyć. — męczyłam się dwa lata, dusiłam się tą waszą miłością obrzydła mi, i tem powietrzem więziennem — dziś umrę lub będę swobodną. — Dość tego!...

— Sewerynko moja! przerażasz mnie — zawołał mąż — ochłoń, pomiarkuj się... Ja mam najpier-

wszą litość nad tobą. Dobrze—chcesz swobody, oddam ci ją — cóż poczniesz?

— O los mój proszę być spokojnym — odparła żywo — los mój chcę, by był moim losem — opiekunów ja nie potrzebuję. Dostyc mi było tego jednego, co mnie głupią, gwałtem pchnął w wasze objęcia, w objęcia człowieka bez czucia, bez serca... kata z uśmiechem na ustach.

Usłyszawszy to imię — kata — mężczyzna podniósł głowę, i w lepił oczy w kobietę z gniewu drżącą, miotającą się i nieprzytomną; usta jego poruszyły się, chciał coś odpowiedzieć, gdy kroki słyszeć się dały, i wyrostek w szarej liberyi, z serwetą na ręku i talerzem stanąwszy w progu, głosem cienkim rzekł spokojnie:

— Proszę jaśnie państwa do stołu.

Stał jeszcze, gdy mężczyzna rzekł spokojnie:

Idź, zaraz... przyjdziemy!

Chłopak się oddalił z wolna.

— Nie dawajmy się na pośmiewisko ludziom— rzekł spokojnie również do żony. Co między nami zaszło, między nami zostać powinno... widowiska z siebie nie czynimy... Proszę pani.

Surowym i nakazującym nieco tonem, wyrzeczone wyrazy usłyszawszy, zawahała się kobieta, potem, z rezygnacją nagłą, szybko zaczęła iść ku drzwiom i z dumą podniósłszy piękną głowę, przez salon pośpieszyła w prawo do jadalni.

Był to pokój obszerny, bez przepychu, lecz ze smakiem urządzony. W końcu jego, dębowy rzeźbiony

bufet zajmował ścianę całą, w nim były stare srebra. Na ścianach wisiały piękne obrazy, przedstawiające góryste okolice włoskie i tyrolskie i kilka innych starych portretów. W pośrodku stał nakryty stół na cztery osoby, oświetlony srebrnym kandelabrem o dwóch ramionach. Cztery krzesła z wysokimi poręczami, przygotowane były dla biesiadników, a za jednym z nich stał właśnie ów chłopak, z talerzem i serwetą. Seweryna rzuciła się na nie jakby z musu. Założyła ręce na piersi i patrzyła w sufit. Opo-
dał czekający stary sługa z półmiskiem, z pewnem politowaniem uszanowania pełnem, patrzył na nią. Za drugim krzesłem stała oczekując średniego wieku kobieta, ubrana chędogo ale skromnie, twarzy pomarszczonej i poźółkłej. Oczy jej niespokojne pa-
dły na panią, i jakby przelekłe, odwróciły się od niej. Na ostatek, czwarte w końcu krzesło, trzymał oczekując mężczyzna wąsaty, w myśliwskiej kurcie, prawdziwy typ jakiegoś łowczego i gospodarza zara-
zem, a dumnego szlachetki... Na ręku opartem na poręczy krzesła, widać było duży sygnet z krwawni-
kiem. Długie buty do konia i łowów miał na no-
gach...

Po prawej ręce pani, przyszedł zwolna zająć miej-
sce mąż i gospodarz domu; tak już uspokojony i z twa-
rzą rozjaśnioną, jakby tylko co nie przeżył straszne-
go małżeńskiego przesilenia, grożącego mu w domu
katastrofą.

Uśmiechał się nawet spoglądając na wąsatego, któ-
remu głową kiwnął zdala. Serwetę zdjął z talerza,

założył pod brodę, a na ten znak, kobieta z żółką, twarzą i biegającymi oczyma, siadła metodycznie i wąsacz zajął swe miejsce.

Służący zbliżył się najprzód z półmiskiem do pani która głową dała mu znak że jeść nie będzie, potem do pana, a ten—czy miał lub nie, ochotę do jedzenia musiał apetytem pokryć tajemnicę z werandy wyniesioną. Nie chciał aby ludzie po nim wzruszenie poznali i zabrał się do jedzenia jak zwyczajnie. Naprzeciw siedząca kobieta popatrzała nań ciekawie, i z drewnianej obrączki wyjąwszy serwetę, układała ją pilnie na sobie.

— Cóż tam w lesie panie Karolu! zapytał gospodarz.

— Nowego tak dalece nic -- odparł chrząkając leśniczy, nabrawszy na talerz suto potrawy z kury.

Zarwanieccy chłopci sosnę ścieli niedaleko od granicy na pożarach.. ale nie daliśmy jej im skraść — i dośledzim sprawców.

Zawsze te szkody... westchnął gospodarz... Sarny widziałeś?

— Piętnaście ich liczyłem... odparł pan Karol...

Rozmowa się przerwała na chwilę. Pani ciągle to na sufit, to na ściany patrzyła, kobieta siedząca obok, ukradkiem spoglądała na nią, mąż udawał że nic nie widzi. Podano drugą potrawę, którą równie jak pierwszą, odtrąciła Seweryna. Mąż zapytał zimno:

— Nic nie jesz?

Kiwnęła tylko głową w milczeniu.

Panna Salomea, rezydentka i ochmistrzyni pochyliła się ku swej pani.

— Czy nie głowa panią boli? spytała.

Potrząsała głową na znak że nie, i nie dała odpowiedzi.

Pieczyste spotkał los dwóch pierwszych potraw. Gospodarz jadł, choć widać było, że mu się wcale jeść niechciało, machinalnie, do zbytku łapczywie i nieuważnie. Potem co prędzej porzucił serwetę, nóż i widelec, jak gdyby chciał skończyć raz wieczrę już dla niego zadługą.

Wstali od stołu wszyscy, pani siedziała zamyślona a posłyszawszy odsuwanie krzeseł, zerwała się potem szybko i wybiegła do salonu. Panna Salomea równie pospiesznie wymknęła się drugimi drzwiami, gospodarz w progu kilka jeszcze słów pomówił z leśniczym, i dawszy mu dobranoc, powolnym krokiem wszedł za żoną.

Ta stała twarzą zwrócona, ku ciemnym oknom werandy, w postaci teatralnej, z rękami na piersiach założonemi. Usta jej zacięte, brew zmarszczona, zdradzały, że jeszcze w niej kipiało wszystko.

Obróciła się do wchodzącego męża z wyrazem wzgardy i tonem nakazującym rzekła:

— Proszę jutro o konie do Żytomierza, jeżeli pan nie chcesz abym poszła piechotą.

— A ja, proszę cię, kochana Sewerynko, nim stanowczy krok przedsięweźmiesz, odparł zimno mąż— zastanów się dobrze. Gwałtem nikt cię nie zatrzyma. Jakkolwiek cię kocham, miłości mojej narzu-

cać ci nie będę. Nie na różach spędziłem i ja te dwa lata pożycia naszego, alem miał do dziś dnia nadzieję, że lepiej może poznasz i ocenisz, że się pogodzisz z losem, nie tak nieznośnym jak ci rozdrażniona wystawia imaginacya.

Jeszcze czas — dodał — zastanów się, proszę.

— Nie potrzebuję nauk — odparła kobieta dumnie — te dwa lata nauczyły mnie dosyć... na całe życie. Postanowienie moje jest nieodwołalne... rozwód — tak...

Błada twarz męża, zbladła mocniej jeszcze, drgnął — westchnął i kilka kroków w tył odstąpiwszy, siadł na krześle u stolika podparłszy się na rękę.

— W tem wszystkiem — począł po chwili, przyszedłszy do siebie — jest coś więcej niż wstąpienie do mnie — jest zapewne przywiązanie do kogo innego...

Domyślam się że Bernard Zniński, któremu delikatnie odmówiłem wstępu do mojego domu...

Kobieta zwróciła twarz zaczerwienioną.

— Nie potrzebuję się tłumaczyć — rzekła.

— Ale ja czuję się w obowiązku przestrzedz...

Bernard nie jest jeszcze zupełnym panem swej woli, matkę ma surową i pobożną... Ona mu nie pozwoli na ożenienie, a wątpię by duma pani zgodziła się na inne stosunki... To młokos... Nie chcąc słuchać pani Seweryna ruszyła się z miejsca poważnym krokiem, dumnym wzrokiem zmierzyła męża, i poszła ku drzwiom na prawo, silnie je zatrzaskując za sobą... W drugich drzwiach które słychać było otwie-

Klin Klinem.

rające się po chwili, zakręcono kluczem... cisza zaległa pokoje..

Gospodarz jak wryty, pozostał długo w krześle — myślał... Widać było że nie wiedział co począć z sobą... Wstał jak upojony, w pierwszej chwili zmuszony o stół się oprzeć, bo mu się nogi zachwiały, potarł ręką po czole, strząsnął się, otarł prędko łzy, które mu nabiegły do oczów, i skierował się machinalnie ku verandzie..

Tu, popatrzywszy chwilę w ogród, przymknął drzwi, przeszedł się po pokoju, i kilka razy chwytając za klamkę, aby wyjść powracał nazad — Siadł na dawnym, miejscu pasował się z sobą — dopóki nie zwyciężył chwili jakiegoś bólu i zwątpienia.

Twarz która była przybrała wyraz niemężki, wyjaśniać się zaczęła powoli... Jeszcze raz łzy starł ruchem ręki z powiek i jakby gwałt sobie zadając żywo wybiegł z salonu.

Porzostawszy się z Seweryną, pan Bernard jakiś czas jeszcze błądził, wśród moczarów i zarośli, sam nie wiedząc dobrze co robi;—szedł, powracał, siał na spróchniałej kłodzie, wstawał, włosy długie przebierał rękami, jakby mu ciążyły, twarz jego to smutniała to się jakimś szczęściem uśmiechała. Lecz do uczucia tego mieszał się niepokój widoczny. Dodawał sobie męztwa napróżno, znać w nim było człowieka niepewnego siebie i zakłopotanego szczęściem własnem...

Mrok padał już coraz gęstszy, i niebo zaczynało przybierać tony sine i zimne wieczora, gdy wy dobywszy się z łóz i zarośli pan Bernard z dziupli wypróchniałej wierzby, dobył schowaną w niej dubeltówkę, zawiesił ją na ramieniu, i krokiem pewniejszym poszedł ku grobli... Wiodła ona ku młynowi i karczemce, przy której widać było, na pniaku siedzącego chłopca, trzymającego dwa osiodłane konie... Groblą szli z pola ludzie z pługami i bronami, pędzono bydło i owce, i nasz myśliwy musiał się trzymać, po za wierzby, które osłoniona była grobla, aby te wieczorne mijać pochody.

Niektórzy przechodnie pozdrawiali go, inni zdala, z ukosa nań spoglądali — pan Bernard szedł jak gdyby nie bardzo chciał być widzianym. Młynek szybko przeminął i doszedłszy karczemki, chwycił z rąk chłopaka cugle, aby skoczyć na konia... Wierzchowiec kręcił się trochę... a turkot nadjeżdżającej bryczki, spłoszył go bardziej jeszcze.

Ukazała się ona wkrótce i przed karczemką wstrzymała. Na bryczce siedział mężczyzna średnich lat, rumiany i przystojny. Nie znając go nawet, można w nim było poznać starego kawalera. Uprząż oznajmywała jednego z tych miłośników koni, na Wołyniu wówczas głośnych, których bałagunami zwano. Była to wesoła młodzież do której się i starsi przymieszowali, wiedząca życie bujne, a zabawiająca się koniarstwem... i po staremu — tężyzną. Bałagulstwo nie było w istocie czem innym, tylko przypomnieniem tężyzny, z czasów księcia Józefa i jego towarzyszków. Polor tylko jaki tężyznie ówczesnej nadawali XX-a de Ligne, i sfrancuziała młodzież wychowana zagranicą, znikł z tego naśladowania bezwiednego, a raczej z tego powtórzenia fenomenu, odnawiającego się jakimś atawizmem psychologicznym.

Siedzący na bryczce, zobaczył zdaleka dosiadającego go wierzchowca pana Bernarda, i wstawszy nagle, aby mu się przyjrzeć lepiej, bo ciemna noc już była, zawołał rękę złożony w trąbkę:

— Bernardzie złotowłosa — bywaj!...

— A!... pana Kalasantego!! odezwał się słysząc to młodzieniec, i przybrawszy ton wesoły... z kądze bogowie prowadzą?

— Wątpię ażeby Bogowie aż! odparł z bryczki się dobywając stary kawaler, który się zbliżył do Bernarda, a ten też cugle konia oddał chłopcu. Wątpię ażeby Bogowie prowadzili... ale wracam z jarmarku w Lubarze — kiepski był... Chciałem dostać sobie srokacza, i jednego poczciwego nie było! No — a wy zkąd?

Zadając to pytanie, popatrzał z uwagą, prychnął pan Kalasanty, i odwiódł na stronę Bernarda.

— *Na seło duryty!* odezwał się — fuzję masz na plecach... Koń stał przy karczmie... a jak gdyby kto mimo to nie wiedział, na jakie się wybrałeś polowanie i dokąd!

Zczerwieniał się młodzieniec, ale wieczór późny nie dał dojrzeć rumieńca...

— Co? co! gdzie! jak? ale...

— Ale — dajże ty mi pokój, rękę mu kładnąc na ramieniu pan Kalasanty... jam stary, doświadczony, a o tem już wróble pod strzechą świergoczą. *Na seło duryty!* powtórzył. Żonkę bałamucisz temu nie-szczęśliwemu Fanteckiemu... Prawda że kobieta jak łania — żeś ty ładny i młody — ale jak się mama dowie, palnie ci morał na kobiercu, albo to panien na świecie mało że ci się mężatki zachciało...

Bernard napróżno ruchami rozpaczliwemi starał się ten potok wyrazów powstrzymać, i oglądał się bojaźliwie...

— Nikt nas nie słyszy — nie bój się — mówił dalej pan Kalasanty — ja ci radzę — po przyjaciel-sku rejteruj się dopóki pora — bo i z Fanteckim bie-

da być może. Ja go znam zdawna. Człłek spokojny, cichy, wytrwany lecz z nim nie żartować. Tacy są najniebezpieczniejsi, słowa nie powie a w łeb ci palnie jeżeli cię złapie na schadzce... trzęś głową nie trzęś — dodał, wypieraj się czy nie wypieraj — (tu do ucha mu się pochylił) — byłeś na *rendez-vous!*

— Wracam z polowania na kaczkę! zawołał Bernard przestraszony.

— Na gęś i to nie dziką — rozśmiał się pan Kalasanty... Słysząc cię perfumami, nos mam dobry...

Strzelasz doskonale, kaczek jest do stu dyabłów, gdzież zwierzyna?

J począł się śmiać.

— Co ty mnie chcesz obalamucić — starego wygę! ale — ale-- nie tylko ja ale calusieńkie sąsiedztwo bębni o tem.

Młodzieniec mimowolnie ręce załamał.

— Panie podsędku, panie Kalasanty dobrodzieju, zawołał głos tłumiąc — na miłość Bożą, nie powtarzajcie takich rzeczy...

— Bóg z tobą, złotowłosa młodzieńcze, począł stary kawaler, Bóg z tobą — ja mogę milczeć dla przyjaźni twojej — ale to nic nie pomoże... Ludzie mają oczy, co więcej, takie sprawy ludzie nie patrząc zgadują... szydło w worku się nie utai... to darmo.

Załapałeś się braciszku, a raczej piękna pani cię złapała i jeżeli nie zapobieżysz temu wcześniej, zaprowadzi cię daleko.

— Pan Kalasanty dobył z za surduta fajeczkę krótką i korzystając z tego iż zmieszany pan Bernard

nie odpowiadał, nakładając ją po cichu szeptał dalej.

— Wszyscyśmy młodzi byli — a ja, choć już latami się do najmłodszych nie liczę, czuję w sobie jeszcze wolę Bożą... Kobiety lubię... aleć, do kata, żeby tak czego jak tego, nie zbywa na nich... Koniecznie tej się waszmości zachciało, ktorej nie można.. ha? owoc zakazany!! tak! tak, smaczny! dla tego że zakazany! Ale za każdy taki kąsek przebolić trzeba i wziąć plagi — to darmo... Kochany Bernardku... zwiń chorągiewkę póki czas!!

I pogroził mu na nosie...

— Bernard stał zamyślony — nie chciał się przyznawać do niczego a był niespokojnym; w ostatku westchnąwszy rzekł.

— Któż mi może co zarzucić? a choćbym się i kochał... w mężatce... toć przecie nie ja pierwszy, ani ostatni.

— Ale jeżeli komu, tobie to niepotrzebne — będę sobie kupisz tylko... Znamy wszyscy szanowną matkę twoją, z nią nie ma co żartować. Bernard już niby nie zważając na tę gawędę, dobył cygaro i usiłował je zapalić...

— Jarmark był zły powiadasz? — spytał, zwracając rozmowę.

Pan Kalasanty się rozśmiał, ramionami ruszył, szepnął. — Groch na ścianę!! co z nim gadać — i dodał — Jarmark był ze wszystkim lichy...

Stali chwilę naprzeciw siebie — w tem, jakby na odwagę się zbierając, Bernard wziął podsędką pod pachę.

— Bardzo szczęśliwie żeśmy się spotkali, wyjąknął trochę zakłopotany — miałem jutro u was być...

— To nic nie przeszkadza — proszę.

— Mam do was... prośbę.

— Podśudek głowę zwrócił.

— Wielką prośbę — nieśmiało dokończył Bernard..

— Jakaż to?

— Potrzebuję pieniędzy — szepnął złotowłosa.

Chwila milczenia nastąpiła, w czasie której stary kawaler głową kiwał dziwnie.

— Syn pani marszałkowej ze Stadnicy żeby u podśodka potrzebował pożycząć pieniędzy — rzekł — to coś tak osobliwego, że ludzie by uwierzyć nie chcieli, postłyszawszy. Mój dobrodzieju, a toć mama dobrodziejka, gotówką która u niej leży, kupiłaby mnie i wieś moją ze wszystkimi bebechami mojemi: Zamiast wprost sięgnąć do matczynej szkatułki udajesz się do mnie — zły to znak, widać że matka nie daje i nie da... Jakże chcecie ażebym ja dał?... Coś w tem jest.

Bernard się zmieszał — wiecie jak mama jest oszczędna... no — grałem, mam długi honorowe, o których jej mówić nie chcę.

Kalasanty głową potrząsał.

— Młodzieńcze drogi, wiem że nie grasz! coś innego w tem jest.

Spuścił głowę pan Bernard i omijając pytanie, rzucił drugie.

— Nie chcecie mi więc dać!

Podsędek go uściskał serdecznie. Bernasiu, kochanie, dałbym ci z pod serca; nie mając, pożyczylbym dla ciebie, dług bym zrobił lichwiarski aby ci wygodzić — lecz — przyznaj się, w tem coś jest, ja się lękam, do zguby bym ci pomagać nie chciał.

— Uratujesz mnie! zawołał Bernard z gorącością wielką — dług, zobowiązanie, słowo...

— No — dobrze! — komu? ja zapłacę! zawołał Kalasanty.

Zmieszał się Bernard i odwrócił.

— Nie mogę powiedzieć!

— No — to ja ci powiem — rzekł odprowadzając go dalej na groblę Kalasanty, tak, aby ich rozmowy żadne ucho pochwycić nie mogło. — Chcesz Fanteckiemu żonę wykraść i rozwieźć.

Uderzył się w piersi.

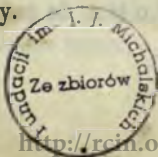
— Jak Boga kocham, tak jest! tak jest, ty mi się nie wymawiaj, jam najbliższy sąsiad... ja wiem o wszystkich.

Mój strzelec was wyszpiegował we dwoje na schadzkiach za ogrodem wieczorami, to nie bez kozery!

Bernard porwał się za głowę, a potem skoczył zatulając usta Kalasantemu.

— Na miłość Boga! strzelec? który! ja mu w łeb wypalę...

— Nie masz potrzeby, będzie milczał, bom mu srogo zakazał... ale widzisz że twoja tajemnica dla ludzi już nią nie jest. Młodzi a zakochani postępowaliście jak trzpioty.



— Więc taić nie będę — wybuchnął złotowłosy — tak jest, kocham ją, tak jest, rozwodzę ją i żenię się. Złodziejem nie byłem i nie będę — honoru cudzego nie chcę tknąć... Kocham tę kobietę — będzie żoną moją...

— A matka? — zapytał stary kawaler — czy myślicie że ona kiedykolwiek na to zezwoli...

— Gdy się stanie...

— Ale ona nie dopuści...

— Wyrzeknę się wszystkiego... dodał Bernard — dla niej.

— Ta! ta! ta! zawołał Kalasanty — to się tak mówi... Znam was, kochany Bernasiu i ją znam, piękna jest, ani słowa, ale jeżeli z takim człowiekiem jak Fantecki wyżyć nie mogła, jeżeli jej z nim źle było... cóż będzie z wami?

— Ona go nie kochała!

Kalasanty głową pokiwał, minę zrobił frasobliwą i poważną.

— Słuchaj — zawołał — tu nie o pieniądze idzie ale o los twój — pieniądze się znajdują, to głupstwo... lecz — Bóg świadek... ty nie widzisz w jaką lecisz przepaść — póki czas, cofnij się — zaklinam.

— Już nie czas! odparł Bernard, słowo dałem, kocham ją, oszaleję, życie sobie odbiorę, ale ona musi być moją.

Kalasanty spojrzął na niego chłodno.

— Ale to już późno — przerwał nagle — trzeba do domu śpieszyć mnie i wam. Do zobaczenia, Bernasiu... nie mówmy o tem, do zobaczenia...

Zbity tak z tropu tym chłodem Bernard, podał rękę drżącą i powlókł się za podsędkiem, który z pośpiechem siadł na bryczkę i kazał jechać furmanowi, zegnając jeszcze stojącego młodzieńca.

Ten, długi czas pozostał w miejscu, jakby nie pewny co pocznie, z wolna przystąpił do konia, siadł, i puściwszy mu cugle, pojechał w stronę przeciwną. Chłopak kłusował za nim w milczeniu.

Było około ósmej godziny wieczorem, gdy w dali, wśród drzew, nad stawem, ukazał się dwór otoczony znacznymi zabudowaniami. Była to Stadnica pani marszałkowej Znińskiej.

Wśród ciemności wieczora, na tle gęstwiny, w której stał dwór stary, świeciło w nim kilka okien — oprócz tego, kilka innych budowli oświetlonych, dom pański otaczało... Zabudowania ciągnęły się szeroko — a nie zbyt daleko od dworu — domyślać się było można wioski, w której gdzieś błyskały drobne okien szyby. Cicho było do koła, tylko młyn nad stawem szumiał i stukał niezmordowany.

Minąwszy go Bernard znalazł się wkrótce u bramy wiodącej w dziedziniec, którą chłopak zeskokczywszy otworzył. Dosyć było skrzypnięcia jej, ażeby się ktoś ukazał na ganku szerokim, podpartym słupami grubemi. Bernard nie dojeżdżając do niego skoczył z konia i pieszo się zbliżył ku domowi. Na wschodkach czekał nań już słusznego wzrostu mężczyzna, który mu się ukłonił nisko, zacierając ręce.

— Jaśnie pani już od godziny niespokojna o panicza — chcieli posyłać nawet.

— Ależ to nie tak późno — szepnął Bernard wchodząc żywo do oświetlonej sieni.

Odpowiedzi dostarczył stojący tu zegar stary, który właśnie sycząc ósmą wybijał.

Drzwi przeciwległe od salonu otworzyły się i w nich ukazała się głowa kobieca — bez czepka, we włosach siwych przyczesanych gładko.

Czarnemi oczyma spojrzała na przybywającego i odezwała się głosem łagodnym z wymówką.

— Ale jakżeś się mógł zabawić tak długo! taka byłam niespokojna!

Chłopak podbiegł do ucałowania ręki matczynej i razem z marszałkową wszedł do salonu.

Obszerny ten pokój oświetlała lampa i płonący ogień na kominie... Pani Znińska była poważną kobietą lat blisko pięćdziesięciu, ubrana starannie bardzo, ale czarno i bez żadnych błyskotek. Białe proste kołnierzyk i podobne mankietki odświeżały ten strój nieco. Średniego wzrostu, dosyć dobrej tuszy, silna, matka pana Bernarda, wyglądała na to czem była, na kobietę wielkiego charakteru i mocy ducha, rozumną, nawykłą do kierowania wszystkim co ją otaczało. Twarz jej niegdyś piękna, dziś jeszcze była uderzającą wyrazem powagi i chłodnej determinacji. Rozumne oczy wejrzeniem zdawały się sięgać do głębi ludzi na których je zwracała.

Całe życie Marszałkowej świadczyło o jej niezłomnym charakterze. W młodym bardzo wieku, dziedziczka znacznej fortuny, pięknego imienia, poko-

chała ubogiego syna dzierżawcy swych rodziców, którzy ani słuchać nie chcieli o wydaniu jej za niego.

Panna Kornelia postanowiła czekać, odrzuciła wszystkie partye, oparła się naleganiom i wyszła wreszcie za tego którego kochała. Znińscy żyli szczęśliwi lat kilkanaście — po śmierci męża, majątek i wychowanie syna, wszystko spadło na wdowę, która z mocą ducha niezłomną, wszystkim obowiązkom swoim umiała uczynić zadosyć. Jedyńy ten syn Bernard był wszystkich jej starań, pracy celem. Wychowanie jego było najstaranniejsze, nie pieściła go matka, owszem trzymała nawet dosyć surowo, a mimo to samo chłopię i otaczający go pieszczonem je uczynili — Bernard nie był tem, czem by go była matka uczynić chciała, ale serce dobrem było, i na niem, wzdychając, budowała ona — przyszłość całą..

Od więcej roku skończywszy nauki, Bernard zajmował się pod okiem matki i pod jej kierunkiem, gospodarstwem i interesami. Nie miał sobie jeszcze wydzielonego ani oddanego nic, lecz nie zbywało mu na tem cokolwiek istotnie dla młodego człowieka jego wieku i położenia było potrzebnem.

Marszałkowa czuła to że wola, która jest sprzężną życia, nie kształci się inaczej jak używaniem jej, od niejakiego więc czasu zostawiała synowi wiele swobody, zdala tylko poglądając na niego. Czasem czyniła mu jakby uwagę, częściej ubocznemi sposobami starała się nań wpłynąć i pokierować...

— Gdzieżeś był? zapytała patrząc bacznie w twarz Bernardowi...

— Trochę na polowaniu na kaczki — wyjąknął syn starając się zamaskować pomieszanie, a na drodze zatrzymał mnie rozmową pan Kalasanty — dla tego nieco się spóźniłem.

— Kalasanty? podchwyciła marszałkowa idąc zwolna ku kominowi!!

Zkądże jechał?

— Z Lubary...

— I spotkaliście się gdzie? zapytała.

— Bernard zaciął się nieco — Koło młynka w Słomianej — rzekł nieśmiało.

Wchodzącemu lokajowi kazawszy podać herbatę, marszałkowa podchwyciła.

— Koło Słomianej... proszę cię, dla czego zawsze polujesz w tej stronie... Wiesz że Fantecki o polowanie jest zazdrośny

— Ja — ja... polowałem dalej na błotach w Zarzeczcu..

Zamilkł: — marszałkowa patrzyła na dogorywające drzewka olszowe — nie powiedziała już nic, po chwili dopiero, pytała znowu:

— Cóż? polowanie się powiodło?

— Nie — nie zabiłem nic — rzekł Bernard.

Być może iż w głosie, w obejściu się syna, w humorze z jakim powrócił, dostrzegła coś niezwyčajnego marszałkowa, gdyż nie mówiąc po kilka kroków spojrzęła nań ukradkiem, nie okazując niepo-

koju — macierzyńskie jej oko zapewne dobadało się w synu jakiegoś stanu niezwykłego. Był zaprzętnięty i roztargniony. Od pewnego czasu dostrzegła często — takiego usposobienia w Bernardzie, lecz przypisując go młodzieńczym fantazyom, unikała wzmianki, pytania, nie podnosiła nigdy złęgo humoru do znaczenia, którego mu nadawać nie chciała.

Tym razem mocniej ją uderzył wyraz twarzy Bernarda i rysy jego jakby gwałtownie jakimś świeżo poruszone uczuciem.

Nie powiedziała jednak nic jeszcze.

Podano herbatę, poszła pierwsza do pokoju, w którym ją zastawiono, usiadła na swoim miejscu i wpatrzyła się tu przy większem świetle w pomieszana istotnie twarz synowską.

— Musiałeś się zmęczyć — rzekła...

— Trochę — odparł Bernard i machinalnie, przysunął sobie jakieś jedzenie.

U stołu nie było nikogo, oprócz panny wystrojonej, nie zbyt ładnej, ale widocznie w wielkich wdzięku pretensjach i dziwnymi nieco rąk poruszeniami nalewała i podawała herbatę.

Mały, garbaty mocno, z głową spiczastą człowieczek cichy i mało znaczący, gracyalista, który był początkowym nauczycielem Bernarda, zwany panem professorem we dworze, mieszkający w oficynie i stołujący się razem z państwem, siedział w odległym końcu, a że wzrost miał niewielki, głowa jego zaledwie po nad stół sięgała.

Niezaczepiony profesor był milczący i zamyślony, lecz uchowaj Boże by go zagadnięto, puszczał cugle długo hamowanej wymowie, jak nakręcona tabakierka, która nie przestanie grać aż jej sprężyna wyjdzie cała.

Szpetny garb który nosił na plecach a część w pierśsiach — ściągnął mu w sąsiedztwie przydomek Ezopa.

On, panna Stanisława nalewająca herbatę i krzątająca się około niej, niezapominając niekiedy okiem rzucić na wiszące na ścianie zwierciadło, pani marszałkowa, syn jej i stary chodzący ostrożnie i po cichu pan Mikołaj, niegdy kamerdyner nieboszczyka, stanowili całą ludność jadalni... pod której ścianami cały rząd krzeseł próżnujących świadczył iż się tu czasem liczniej zbierać musiano.

Wszystko w domu dowodziło zamożności, dostatku i smaku. Pierwszy salon miał meble nieco dawne ale kosztowne i piękne, w jadalni pełno było saskiej porcelany, sreber, a w jednym rogu nawet przysłonięty nieco posąg marmurowy, podług starego wzoru, pięknie się na ciemnym odbijał obiciu. Herbata w milczeniu prawie przeszła. Marszałkowa miała zwyczaj raz przynajmniej przy każdym spotkaniu zaczepić profesora, aby mu dać zrzeczność do wygadania się trochę, profesor Kurdakiewicz był tak do tego nawykły, iż spozierał tylko rychło zostanie zagadnięty... Tym czasem z apetytem gracyalisty, zapijał i zajadał żywo.

— Cóż tam w dziennikach, panie profesorze? zapytała marszałkowa przypomniawszy sobie o obowiązku.

— Pustki, pani dobrodziejko — odparł głosem nauczycielskim deklamując Kurdakiewicz — *vox, vox, praeteraque nihil*. Powtarzanie baśni i wnioskowania na niczem nie oparte... Historyi współczesnej żał się Boże uczyć z efemeryd dzisiejszych... Jeżeli do przyszłości one dojdą, o czem sobie wątpić dozwalam, rychlej zaciemnią dzieje niż rozświecą.

Polityka też Napoleona III. prawdziwa zagadka sfinxa...

Uśmiechnęła się pani marszałkowa.

— Jako autora życia Cezara i uczonego męża, wyżej byś go professor cenić powinien — odezwała się cicho.

— O autorstwie wątpię, nadto miał sekretarzów, rzekł professor, a co do samego żywota, nic w nim nowego dopatrzeć nie umiałem...

Marszałkowej już rozmowy tej było dosyć.

— Panno Stanisława — rzekła zwracając się do panny, która przybrała postawę teatralną. Czy by pomarańczowych drzew wniesć do oranżeryi nie należało? Mrozu się lękam...

— O! Wasyl o tem pamięta, pieszczonym głosem, usta śrubując odpowiedziała panna Stanisława.

Marszałkowa wstała — był to znak że herbata się skończyła, ruszył się professor, któremu po podniesieniu się z krzeselka nie wiele wzrostu przybyło. Bernard także odsunął krzesło i za matką zwolna wy-

szedł do salonu. Oczy panny Stanisławy pociągnęły się za nim...

W salonie Matka zostawszy sam na sam z synem, przechadzać się zaczęła — Bernard stał o kominiek oparty...

— Gdybym cię nie widziała tyle zmęczonym i jakby smutnym — odezwała się Matka stojąc przed nim, miałabym z tobą coś do pomówienia...

— Zmęczony jestem nie bardzo, a smutnym... wcale się nie czuję... owszem, proszę Mamy... proszę Mamy...

— Zbierałam się na to długo, mój Bernardzie, prawdę powiedziawszy, wolałabym nie mówić nawet o tem — ale mam obowiązek...

Spojrzała mu w oczy.

— Ty świata mało znasz, ludzi też — macierzyńska przestroga przydać ci się może..:

Tu westchnęła... Chciałabym ażebyś jak najmniej bywał u Fanteckich... Wiesz dla czego? Nie dla niego, bo to jest zacny, miły człowiek w którego towarzystwie tylko byś mógł zyskać — ale dla niej. To kobieta kapryśna, popsuta, zalotna, namiętna... zdziwaczała... dla młodego jak ty i niedoświadczonego człowieka — niebezpieczną być może. Nie lubię jej.

Bernard który z początku słuchał zbladłszy: drgnął gdy Matka wymówiła nazwisko, zarumienił się, poruszył.. chciał przerwać i wstrzymał się. Matka tę całą grę fizyognomji dostrzedz musiała. Zamilkła umyślnie, jakby wywołując odpowiedź.

Bernard milczał; widocznie ważył co miał powiedzieć.

— Zdaje mi się że Mama jest względem pani Seweryny uprzedzoną.

— Nie, lecz czuję w niej istotę, która nigdy szczęśliwą nie będzie i wszystkich którzy się do niej zbliżą nieszczęśliwemi uczynić może.

Powiem ci więcej, otwarcie i szczerze, ludzie mówią już, że patrzy na ciebie zbyt przyjaznym okiem, że ty zdajesz się nią zajmować. Nie wierzę temu, nie przypuszczam, ale życzyłamby sobie, aby do tego nie dawać powodów...

Spojrzała na syna, który stał jak posąg... W istocie rozważał w tej chwili czy miał skłamać, czy zebrać się na odwagę, wyznać wszystko i przygotować się do walki. Ostatnie było prawie koniecznością, prędzej czy później. Nie taił przed sobą że ta walka z Matką, którą kochał, której nawykł być posłusznym straszną dlań była i bolesną. Ale obraz cudnie pięknej Seweryny, uczucie z jakim mu się tego wieczora rzuciła na szyję... słowo jej dane — zmuszało do tego kroku...

Na twarzy Matki długie milczenie syna odmalowało się obawą.

— Jestże w tem co prawdy — co mówią ludzie? zapytała...

— Kochana Mamo, drżącym głosem począł Bernard, nie śmiejąc na nią podnieść oczów — nie chcę kłamać i nie mogę, przed ludźmi fałszem bym się zasłonił może, przed tobą — nie umiem.. Ja tę kobietę

kocham — to kobieta nieszczęśliwa, najnieszczęśliwsza... ten człowiek jest tyranem.

Marszałkowa krzyknęła, załamała ręce i tupiąc nogą, zawołała.

— Śmiesz mi to wyznać! Bernardzie! Śmiesz mi powiedzieć — mnie! że kochasz żonę cudzą, kobietę zamężną!!! O Boże! a w cóż się obróciło całe wychowanie moje — na progu życia... ty... moje dziecko..!

I oczy sobie zakryła..

— Niech się Mama uspokoi — rzekł Bernard — od tej chwili jak ją pokochałem, nie pomyślałem nigdy o zdradzie... Ten węzeł co ją łączy z Fanteckim, pęknąć musi... ona się rozwiedzie...

Marszałkowa wybuchnęła..

— Ona się rozwiedzie! a ty myślisz że ja — póki żyje, pozwolę ci się ożenić z tą awanturnicą, która będąc żoną drugiego mogła ciebie młodego obałamucić, obłąkać i uczynić występny.

Mylisz się Bernardzie! Dla twojego szczęścia a dla czci domu, nie pozwolę na to...

Zakazuję ci nogą stąpić na próg tego domu, widzieć ją, myśleć o tem...

Jutro wyjedziesz w drogę — niedalej jak jutro wybierzesz się do Berlina... nie zaszkodzi ci nauka...

Wolno w Uniwersytecie obrać przedmiot jaki zechcesz. Rok tam zabawisz — na to nie ma odpowiedzi, nie może być wymówki, znasz mnie -- to moje pierwsze i ostatnie słowo...

Nie oczekując nawet odpowiedzi Marszałkowa ruszyła się z miejsca na którym stała, chwyciła za dzwo-

nek i uderzyła w niego mocno. Drzwi od sieni otworzyły się prawie natychmiast, wszedł Mikołaj stary.

Jakkolwiek zburzona, pani Znińska dosyć spokojnym głosem odezwała się do niego.

— Pan Bernard wyjeżdża jutro na czas dłuższy, proszę aby dla niego do drogi było wszystko gotowem.

Jeżeli jesteś zdrow; czujesz się na siłach, pojedziesz z nim.

Mikołaj się skłonił.

— Jutro? zapytał.

— Tak jest, jutro rano wypadła potrzeba dodała Marszałkowa — należy wszystko przygotować do rana...

Bernard milczał.

Zdawało się że w obec energii z jaką Matka postąpiła stracił wszelką przytomność i siłę. Mikołaj stał jeszcze spoglądając na panią i syna, gdy nareszcie Bernard słabym głosem się odezwał.

— Mama pozwól mi z sobą pomówić o tem jeszcze...

— Mówić możemy, odrzekła Marszałkowa, ale Mikołaj niech się pakuje do drogi. Dała mu znak ażeby wyszedł i stary sługa jak zwykle, ustąpił.

Bernard odszedł od komina powoli.

— Nie jestem już dzieckiem, odezwał się, szanuję wolę Mamy, ale nie mogę wyrzec się swojej, tam gdzie idzie o szczęście moje i o honor...

Ja — nie pojedę — dodał kłaniając się — bom dał słowo nieszczęśliwej kobiecie, i tego słowa dotrzymam...

Usłyszawszy te wyrazy, doznawszy oporu którego od dziecka nie mogła się spodziewać, Marszałkowa nie odpowiedziała słowa, obejrzała się szukając krzesła, padła na najbliższe i zasłoniła sobie oczy...

Bernard stał własnem postępowaniem zmieszany i drżący...

Nagle Matka podniosła chustkę od twarzy, głos jej brzmiał zmieniony.

— Bernardzie, rzekła — daję ci czas do namysłu... godzinę — dwie...

Sumienie mi każe być surową — będę nią do ostatecznych granic. Nieposłuszeństwa nie rozumiem, nie przypuszczam, albo spełnisz wolę moją, lub — ja nie mam syna. Jesteś wolnym, ale cię więcej widzieć nie będę...

To co masz — jest mojem. Środków i pomocy do popełnienia czynu niemoralnego dostarczać ci nie chcę — z majątku nie dostaniesz nic, kocham cię — ale pobłażać występкови nie będę, dla tego że cię kocham tylko cnotliwym, nad występnyim litość mieć będę... lecz litość samą...

Bernard zakrył sobie oczy.

— Matko — zawołał — ja ją kocham! zabijesz mnie!

— To rozpusta nie miłość! przerwała Marszałkowa — to kobieta zepsuta... Ty sam nie wiesz co mówisz... ja ją znam — tyś słaby, uwiedziony, nieprzytomny...

Jeszcze chwilę stał Bernard blady jak ściana i drżący... stał i wahał się...

Matka nieubłagana odwracała oczy od niego..

— Żegnam Mamę — rzekł głosem słabym.

— Matki się wyrzekasz dla — tej... krzyknęła niekończąc p. Znińska.

Syn nie odpowiedział nic — spuścił głowę... zawrócił się zwolna i wyszedł...

Gdy się za nim drzwi zamknęły, Marszałkowa wybuchnęła płaczem, krótka ta scena uczyniła na niej wrażenie piorunu. Przed chwilą jeszcze była spokojną, była szczęśliwą — zaledwie dziecinną płochoscią zdawał się ten stosunek, który teraz wyrosnął do rozmiarów tragicznych.

Nie wiedziała co miała czynić, gonić kazać syna, prosić go... łzami starać się zmiękczyć, czy wytrwać w energicznym oporze. — Zgadzało się to daleko lepiej z jej charakterem. Pomyślała że to słabe dziecko nie wytrwa, opamięta się, powróci — że się na ostateczność nie odważy.

Pozostała więc w krześle a łzy zwolna osychały, i serce na niewdzięczność oburzało. Lecz razem litość budziła nad biednym dzieckiem... Z głową zwieszoną, przybita, zapominając godzin, czasu... wszystkiego co ją otaczało, siedziała tak nie wiedząc jak długo, gdy drzwi się otworzyły i panna Stanisława bojaźliwie się rozpatrując po pokoju, weszła do niego przestraszona.

Nigdy jeszcze nie widziała swej pani w takim stanie osłabienia i znękania...

— Co pani jest! zawołała przypadając.

Ten głos obcy ocucił na w pół omdlałą, która porwała się nagle i ręką ocierając czoło — odparła głosem złamanym.

— Nic — nic...

Panna Stanisława nie chciała badać.

— Która godzina? zapytała Znińska.

Było około dziesiątej — o tej porze zwykle rozchodzili się wszyscy.

Z drugiej strony wsunął się Mikołaj, jakby po rozkazy... Stał w progu z nogi na nogę przestępując.

Spojrzała na niego. Westchnął głośno.

— Chcesz co ode mnie? spytała Znińska.

— Nie — szepnął po cichu — ale do podróży gotować się — nie wiem czy potrzeba.

— Dla czego?

— Panicz, wyszedłszy ztąd, wprost pobiegł do stajni, siadł na koń i wyjechał.

Nic nie odpowiedziała matka, skinęła tylko ręką na Mikołaja, aby odszedł... i krokiem błędnym za panną Stanisławą, poszła milcząca do sypialni.

Pan Kalasanty był właścicielem jednej wioszczki w okolicach Starego Konstantynowa, to jest w jednej z najurodzajniejszych stron Wołynia.

Posiadłość to była niezbyt rozległa, na pozór nie piękna wcale. Dwór nie bardzo dawno znać sklecony na wygonie bez drzew, otoczony budowlami równie niepozornymi z chrustu, i płotami z gnoju i gliny, wyglądał jak ekonomiczna gdzieindziej oficyna. O wdzięk nie zdawał się gospodarz dbać wiele, dla oka nie było nic, nic dla przyszłości.

Parę wierzb starych i kilka młodszych w pobliżu zabudowania stanowiły całą ozdobę. W środku podwórza, które było zarazem gospodarskiem i dworskiem, panoszyła się studnia z korytami do pojenia, w rogu brudna popielnia bez drzwi świeciła odrapanymi bokami.

Lecz ubóstwo to i zaniedbanie było pozornem, łany były ogromne, grunta doskonałe, na boku stały

sterty okazałe i gospodarstwo szło wybornie, porządek w niem panował wzorowy; pan Kalasanty miał się dobrze. Choć lasu nie było w bliskości, majątek miał spory kawał brzeziny i nie potrzebował kupować ani opału, ani nawet małych budowlanych materiałów. Obchodzono się cienkimi beleczkami i jaką taką krokiewką.

W domu u podśędka nie było wytwornie wcale, pułap świecił pobielanemi tarcicami, ściany tynkiem prostym, meble były jakieś odwieczne i z rodzaju tych któremi się karczmy stroją po małych miasteczkach. Dwornia też starego kawalera nie była liczną.

Kuchta z babą jeść gotował, kozaczek był na usługi, parobczak w świtce go powoził. Konie acz lubione bardzo należały do tej rasy, która bez uszczerbku godności i zdrowia chodzi w bronach i daje się do radeł zaprzęgać.

Panu Kalasantemu z tem wszystkim było dobrze i ludzie mieli go za bardzo zamożnego. Mówiono po cichu że już kilka wsi targował... Był to jeden z tych ludzi co spokój lubią, ze wszystkiemi są w zgodzie, nie wyrywają się naprzód, nie szukają natłoku a cicho idą do celu... Ani skąpy ani rozrzutny, pan Kalasanty zbierał raczej niż tracił.

Sknerą nie był ale nawykł od młodu do życia oszczędnego, a potrzeb zbytwnych i kosztownych nie miał. Gdy go napastowano że się nie żenił, odpowiadał zwykle z uśmiechem, że dla dwojga jeszcze miał mało, a jejmości z posagiem do domu wprowa-

dzać się obawiał, bo takaby go więcej kosztowała niż wniosła.

Z lichych a cienkich kołeczków sklecone wrotka do dziedzińca, rzadko się kiedy dla gości otwierały; mało tu kto bywał oprócz młodzieży, która u pana Kalasantego hulać bardzo nie mogąc, wołała go do siebie zapraszać. Gościł on chętnie u drugich, w domu nie żałował niczego, ale nie miał wiele, wódką starką i lada jakim węgrzynkiem trzeba się było obchodzić.

Nazajutrz po spotkaniu z Bernardem podsędek był w domu, gospodarował trochę i odpoczywał — ale od rana szkuta się z gośćmi rozbiła, płynęli niespodziewani wcale jeden po drugim.

Pierwszy który się nawinał był ksiądz wikary z Ostropola — wesoły i miły człowiek, którego pan Kalasanty lubił bardzo i żył z nim w przyjaźni. Wracił on ze chrzcin i wstąpił na chwilę.

— Jak się masz ojezuniu — w ganku go powitał gospodarz... oto mi gość. Dziękuję żeście o mnie nie zapomnieli...

— Byłbym minął, ale grzeszna ciekawość mnie sprowadziła, przyznaję się — rzekł duchowny — słyszeliście co o pani Fauteckiej? czy to prawda...

— Ale co? zapytał pan Kalasanty, bo różne rzeczy plotą...

— Porzuciła słyszę męża i pojechała do Żytomia - rza o rozwód się starać!

— Kiedy?

— Miała jakoby dziś wyjechać!

Gospodarz ramionami wzruszył, spojrzeli po sobie — i oba głowami pokiwali.

— Co to jest? Czyż by ten młokos? zapytał wikary...

— Młokos! co tu młokosa winić, to dzieciak — zawołał Kalasanty — jeśli winien kto, to ona...

— Żle jej było! dodał ksiądz — człowiek zacny, dobry, na palcach przed nią chodził...

— I popsuł... dorzucił Kalasanty — ale — co o tem mówić — jeszcze bajki być mogą.

W tem zaturkotało i oknem wyjrawszy postrzegli młodego Zygmunta, pieszczonem tem imieniem przewany dla kontrastu, gdyż chłop był jak dąb — posiadacz małej wioszcyny, którą dojadł wesoło... Ten wpadł jak burza, głową się o niski uszak stuknąwszy i zawołał...

— Piękna Seweryna męża porzuciła, już jej nie ma! wiecie. — Dziś rano spotkał ją Zembruski na gościńcu pędzącą do Żytomierza... Ciekawa rzecz co zrobi marszałkowicz i co powie purytanka pani marszałkowa, która na nas jak na zbójców patrzyła, choć żaden z nas żony drugiemu nie odkradł..

— Tak! tak, przerwał wikary — wolelibyście bałamucić je i mężom zostawiać! O wy! świętoszki! patrzajcie...

Gospodarz się śmiał.

— Ale z kądże data że marszałkowicz...

— Pan o tem wątpisz! krzyknął Zygmunt — to mi dobre!

Jeszcze nie dokończyli rozprawy gdy konno nadbiegł Skalski sąsiad najbliższy pana Kalasantego i zaledwie z kulbaki zlazłszy — począł wołać w sieni:

— Koniec świata! wiecie panowie — Bernard od Matki nocą uszedł... w Stadnicy sądny dzień!

— Któż o Bernardzie wam doniósł? kto? zapytał Kalasanty, ja go wczoraj widziałem i mówiłem z nim, powracał do domu, najspokojniej.

— Najpewniejsza w świecie rzecz. Wieczorem z Matką miał gwałtowną rozprawę — Marszałkowa, jak wiecie, kobieta surowa, żartować z siebie nie daje, musiała go zgromić — a ten — nie wiele myśląc, drapnął.

— Ciekawym dokąd, o czem i na jak długo? rzekł Kalasanty. — Pani Fantecka nie ma nic, on może mieć tylko to co Matka da, miłość o głodzie nie da-leko zajędzie.

— Wistocie rzecz to ciekawa jak się skończy ta historia — to pewna że Fantecki co by się miał cieszyć że się żony pozbył, z którą cierpiał męki czyścowe, w rozpaczę słyszę — rzekł Zygmunt...

— A Marszałkowa? zapytał ksiądz.

— O! Marszałkowa — dodał Skalski, po tej nie pozna nikt choćby z boleści konała — to Spartanka.

Tam, ręczę wam, w domu się nic nie zmieniło na włos...

— Słowem awantury! awantury! machinalnie odezwał się wikary.

Przed oknem przesunęło się coś, jakby jeździec na koniu, gospodarz wyjrzał, nie powiedział nic i wybiegł na ganek.

Wszyscy goście ścisnęli się około okien usiłując dojrzeć przyjezdnego, ale najszczęśliwszym udało się tylko dostrzedz tył konia którego Zygmunt obejrzawszy zawołał — Jak Boga mego kocham — to wierzchowiec Bernarda!

Spodziewano się że i ów przybyły, Bernard czy ktokolwiek bądź inny wnijdzie z gospodarzem, milczeli więc wszyscy patrząc na drzwi, lecz szept przyspieszony dał się tylko słyszeć w sieni, potem stuk otwierających się drzwi— i cisza głęboka.

W istocie był to pan Bernard błądy, pomieszany, niespokojny, który spotkawszy się z gospodarzem chwycił go za rękę i zawołał głosem poruszonym.

— Podsędku — ratuj mnie — mam z tobą do pomówienia na osobności.

— Na osobności! powtórzył Kalasanty, równie prawie zmieszany — i zakręcił się po sieni. Na przeciwko była izdebka prowentowego pisarza, Podsędek porwał za klamkę — szczęściem stała otworem, weszli...

Kawalerskie to mieszkanie nader wyglądało ubogo, a że w niem gości nie przyjmowano, był tylko jeden nawet stołek służący do pisania...

Bernard potknął się na progu — gospodarz drzwi za nim zatrzasnął...

Wnet przybyły twarzą się ku niemu obrócił i pochwycił go za rękę.

— Panie Kalasanty, rzekł głosem przerywanym, daj mi dowód przyjaźni! Matka moja o mojej miłości słyszeć niechce — jestem w obowiązku ratować ko-

bietę która na mnie rachuje — musiałem opuścić Stadnicę bez grosza przy duszy — potrzebuję pieniędzy. Na jakich chcesz warunkach — pożycz, zlituj się.

Gospodarz stał zimny, zamyślony i zafrasowany, z miny jego i postawy dostrzedz było można, iż do spełnienia prośby nie miał najmniejszej ochoty.

— Na miłość Bożą! ale w cożes się wplątał, — zawołał do Bernarda — Ja pieniędzy gotowych nie mam, a gdybym je miał, dać bym nie mógł — cóżby ludzie powiedzieli, że ja pana Bernarda przeciwko Matce sukursuję i pomagam do rozwodu, który wszystkich przyjaciół Fanteckiego — a ten ich ma nie mało — oburzy...

Nie mogę, nie mam! bardzo mi żal, ale to niepodobna! niepodobna!

Bernard stał błądy i osłupiały... Znać rachował na pomoc pana Kalasantego, a może była to jego ostatnia wybawienia nadzieja — te wyrazy ostre i wprost odmawiające uczyniły na nim lekkie wrażenie że się zachwiał i za stołek obok stojący pochwycił.

Panu Kalasantemu żal się go zrobiło.

— Siądź pan, spocznij — jesteś zmęczony, a — posłuchaj mnie, do domu wracaj, z Matką się pojednaj — Fantecka powróci też do męża... wyjedziesz na jakiś czas i wszystko się ułoży.

Bernard słowa nie mówiąc stał patrząc w ziemię — w oczach mu się kręciły łzy — a usta trzymał zaciśnięte jak ktoś co się od płaczu i łkania hamuje...

Myślał tak chwilę, potem posunął się nagle ku drzwiom, skłonił lekko, nie patrząc na gospodarza i chciał wychodzić — pan Kalasanty mu zastąpił drogę.

— Z gniewem nie odchodź, proszę, zawołał gorąco i szczerze — życzę ci jak najlepiej — ale do sprawy tej sumienie mi nie pozwala ci pomódz...

Bernard spojrzął przelotnie, zdając się nie słyszeć co doń mówiono, skłonił się raz jeszcze i wziął za klamkę. — Gospodarz stanął we drzwiach.

— Nie puszczę, rzekł... panie Bernardzie, pan nie obrachowałeś skutków tego kroku..

Młody milczał, ciągle oczy trzymając spuszczone.

— Bardzo przepraszam żeś trudził pana podsędka — rzekł zimno — jak skoro nie można... i prośba moja odrzucona, nie mamy o czem mówić więcej.

Spiesznie przysunął się do drzwi, powtarzając:

— Bardzo pana przepraszam...

Pan Kalasanty napróżno drzwi zapierał, przybyły klamkę chwyciwszy, otworzył je, ale otwarłszy zobaczył, że przeciwległe od pokoju bawialnego wąską firanką przegrodzone, stały otwarte, a w nich Zygmunt Skalski i ks. Wikary stali patrząc ciekawie. Złakłszy się ich wejrzeń musiał się cofnąć. Drugiego wyjścia nie było, a czynić z siebie widowiska nie chciał — i spojrzął na niskie okno izdebki od podwórza — ale to było hermetycznie zamknięte. Wiedział że już po sąsiedztwie przez ludzi wieść się roznieść musiała o jego i pani Fanteckiej ucieczce, czuł że go oczyma piec będą złośliwemi.

Był to przedsmak tego co go w przyszłości oczekiwano.

Kalasanty zbliżył się i wziął go za rękę z wyrazem współczucia.

Panie Bernardzie, siądź, spocznij, odetchnij, daj się przekonać — co gotujesz Matce i sobie...

Na to wszystko nie odpowiadając młodzieniec patrzył na okno; podszedł ku niemu i ręką chwyciwszy za nie chciał gwałtem je otworzyć, ale okno od dawna nie odmykane oparło się, a gospodarz nie wiedząc co radzić — zawołał.

— Czekaj pan, ciekawym dam odprawę i wyjdiesz ode mnie przynajmniej jak wszedłeś, drzwiami. W dziedzińcu parobków i ludzi pełno — co by u licha pomyśleli, że u mnie w domu awantura się stała...

To mówiąc gospodarz poszedł szybko do drzwi, otworzył je, ale ze stojącym z drugiej strony olbrzymim Zygmuśm zetknął się nos w nos. Dawał mu znaki aby ustąpił, nic to nie pomogło, zuchwale, ze zwykłą sobie poufałością, Zygmuśm wtargnął i poszedł ogromną dłoń wyciągając do Bernarda.

— No — dzień dobry ci — rzekł pół uśmiechnięty dziwacznie — cóż to, nawet starych znajomych nie witasz? he? Wstydzisz się! Co u djaska!

Gdybym ja co podobnego dokazał, jeździłbym się za biletami pokazywać. Niechaj stare trutnie rwą włosy ze zgrozy i desperacji. — Ot — to! Cóż? człowiek już ma dla tych świętoszków serca się wyrzec? My wszystko wiemy, panie Bernardzie, a ja — przynajmniej, wszystkiego się domyślałam. Przyjechałeś

Klin Klinem.

3

pieniędzy pożyczyć u Krezusa, a Krezus ze strachu odmówił... No — to siadaj ze mną na bryczkę — pojedziemy razem do Konstantynowa, ja mam kiepski kredyt, ale pszenica nie sprzedana. Epstein da na nią... choćym przez całą zimę miał suszyć, w takim wypadku nie opuszczę przyjaciela!

Ażeby ocenić tę bohaterską ze strony Zygmunia ofiarę, trzeba było znać jego położenie... Wioska była odłużona tak, iż ledwie miał na niej tytuł dziedzictwa, za podatki co chwila remanenta sprzedać grożono, w miasteczku nie było żyda któryby nie miał wekslu od Zygmunia — ofiara była istotnie wielka, ale nie obiecywała być skuteczną.

Na tę niesprzedaną przenicę dziesięciu już najmniej ostrzyło zęby, a kilku ją miało uroczyście przyrzeczoną.

Wyglądało to więc raczej na żart niż na pomoc przyjacielską, chociaż Zygmus, nie znający własnego położenia, łudzący się niewiedzieć czem, rachujący niewiedzieć jak, miał w istocie chęci jak najlepsze.

— Dziękuję ci, panie Zygmunie, odparł Bernard ściskając jego rękę. Tobie będzie tak trudno jak mnie dostać pieniędzy... a ja mam nóż na gardle...

Domawiał tych wyrazów, gdy ks. Wikary, czy popchnięty przez gospodarza, czy *motu proprio* wstał na próg i z miną wesołą, która go nigdy nie opuszczała, przybliżył się do siedzącego.

— Co pan taki pogrążony, panie Marszałkowiczu dobrodzieju zawołał — co to za wieści głupie chodzą? Aleć to nie może być...

Zmieszał się Bernard i wstał ze stołka.

— To są — moje osobiste sprawy... wybąknął nie bardzo wiedząc co mówi — przepraszam ale się wcale tłumaczyć nie mogę — i — żegnam panów...

Nie miał już nic do stracenia, bo tylko jeden Skalski pozostał mu do przebycia, a i ten stał na przeciw w sieni.

Słówko o panu Skalskim powiedzieć trzeba. Był to najbliższy sąsiad Kalasantego, wdowiec mający kilkoro drobnych dzieciak — słynny z tego że groszem spekulować umiał doskonale... Gospodarstwo dla niego było rzeczą uboczną, handlował zbożem, skórami, koźmi, pożyczzał na wysokie procenta, a choć starał się uchodzić za uczciwego człowieka różnie o nim rozpowiadano. Był chudy, trochę pochylony, nie pozornej twarzy plamistej, cery ciemnej, niezgrabny, patrzył z pod oka... lecz o ile powierzchowność miał niemiłą, o tyle w obejściu z ludźmi był przyjemny, dowcipny, wygadany i umiał słowem zręcznie wszystko zatrzeć i usprawiedliwić.

Pochylenie jego i trzymanie się garbato, zdawało się pochodzić z tego że zawsze podsłuchiwał bacznie co mówiono do koła — nic mu nie uszło, chwycił każde słowo. Znał ludzi wybornie, a wyzyskiwanie ich, wchodziło w jego rachunek powszedni.

Skalski z sieni słyszał wszystko, zdawał się tu czatować tylko, potem, jakby się rozmyślił nagle, gospodarza który stał blisko progu, ujął za rękę i szepnął mu.

— Nie mam tu co robić — bądź zdrów do domu powracam.

I wymknął się na podwórko, gdzie chłopak bosy konia jego trzymał dając mu skubać trawę pod płótem... Zdawał się szukać drobnych aby mu coś dać za to, nie znalazł i szepnął biorąc cugle:

— Drugim razem, dostaniesz na wódkę..

Potem spiesznie cugle ściągnąwszy, skoczył na kulbakę, wrotka sobie kazał odemknąć i kłusem wyjechał na drogę.

Dosyć spiesznie zniknął za budynkami włościańskimi na zawrocie.

We dworze Wikary, Zygmunt i gospodarz obścapił Bernarda — który ich zbywał milczeniem. Wszystkiemu im żal było, tego ślicznego złotowłosego, jak go nazywano, zmienionego na twarzy, zbolełego, drżącego, któremu rad by był pomódz każdy... ale jedni nie mogli, drudzy taką pomoc ofiarowali której on by był nie przyjął.

Zygmunt uznał słuszność uwag Bernarda i stał ponuro zadumany.

— Czy ja mam kredyt czy nie — dodał — ale ty go mieć powinieneś. — Co to znaczy że majątek Matki i że lichwiarz poczeka, ale cóż u stu tysięcy, żebyś pieniędzy nie dostał. Ja ci będę na ten raz rajfurem — jadę z tobą.

— Dziękuję, serdecznie dziękuję, — odparł, pozwól mi już sobie radzić samemu.

To mówiąc nie patrząc na nikogo, pomieszany dostał się do drzwi i wyszedł do sieni. W milczeniu wszy-

scy mu towarzyszyli, nie odzywając się więcej pobiegł do konia siadł i nie skłoniwszy się nikomu, wyjechał.

W ganku zostali gospodarz z rękami w kieszeniach zadumany, Wikary osmutniały przeciw zwyczajowi i Zygmusł gniewny. Popatrzeli za odjeżdżającym.

— Wiesz co podsędku, odezwał się Zygmusł — zdaje ci się żeś popełnił cnotliwy uczynek, odmawiając mu pieniędzy — a no, jeśli się utopi, albo sobie w łeb palnie — będziesz go miał na sumieniu.

— Ech! ech! rzekł Kalasanty — z miłości już w XIX wieku nikt takiego głupstwa nie robi! — Nie boję się. — Miałem mu dawać na rozwód, o czem by cały świat wiedział? — ale? aby mi Fantecki dom wymówił, a Marszałkowa na wieki ze mną rozbrat wzięła!!

Wikary dorzucił — Niech się troszkę pokręci, pobieduje... a bez grosza do domu powrócić musi skruszony, nie ma jak golizna żeby do skruchy doprowadzić: *probatum est!* Ręką w której chustkę ogromną karmazynową trzymał machnął w powietrzu, a Zygmunt żywo począł:

— Fałszywe kałkuły, mosterdzieju! Pieniądzy chłopiec dostanie — Fantecka uciekła, rzecz rozbebniona, nic już nie pomoże, po cóż go męczyć? Na to nie ma rady! Lepiej koniec przyspieszyć, aby zgorzenia mniej było...

— Jaki koniec? co się asanu śni? oparł się Wikary — rozwodu nasz Biskup nie da! ja go znam! z tego nie będzie nic... Fantecki nie dopuści, Konsystorz

ślubów nie rozwiąże... Co najwięcej jeśli seperacyę dostaną, a jejmość w klasztorze osadzą... Więc cóż?

Seperatka za mąż nie pójdzie — a jeśli Bernard i ona psom oczy sprzedadzą, to muszą się świata wyrzec całego, bo się ich nasz poczciwy ludek wyprze jak trędowatych...

Wikary mówił z zapalem — Zygmus się śmiał.

— Mój ojczulku — rzekł — czy to lepiej gdy się otwarcie rozwodzą, czy jak pani Franciszka która męża porzuciła i żyje z leśniczym na swojej wiosce, albo hrabina, do której jako przyjaciel domu dojeżdża pan Salezy.

— I tożle i to nie dobre! wybuchnął Wikary — zepsucie! rozpusta, zbytki... szkarada... których tolerować się nie godzi... Tak! tak! powtórzył gniewnie...

Pan Kalasanty święcie zrobił, że pomocy odmówił, matka, że o synu słyszeć nie chce... wy tylko młokosy protegujecie te romause.. boście sami po uszy w błocie — a to błoto! błoto!

Zygmunt w śród tego zapalu zbliżył się do ks. Wikarego, obie ręce mu położył poufale na ramionach i coś na ucho szeptać zaczął, a potem buchnął śmiechem wielkim. Znać się pomścił, bo Wikary zarumienił się, odepchnął go i czapki zaczął szukać aby odjechać.

Gospodarz go napróżno wstrzymywał, pojechał na sepiiony i gniewny.

Zygmunt też świszcząc rzucił się na swoją bryczkę i kazał ruszać żywo... Pan Kalasanty pożegnawszy

ich wszystkich pozostał w ganku markotny z rękami w kieszeniach.

Bernard nie bardzo się namyślając dokąd pojedzie, wyruszył ze dworu, koń go prowadził więcej, niż on nim kierował. Myśli najdziwaczniejsze chodziły mu po głowie.

Zaraz za tą wioską z drzew ogołoconą, za parowem na wzgórzu stał lasek brzoźowy, po połowie do pana Kalasantego, a w znaczniejszej do Skalskiego należący. Chłody jesienne już go odziały w żółtą barwę która poprzedza liści upadek. Gdzieniedzie tylko ciemniejsza zieloność wytrzymałszy drzewa okrywała, a osiki postroiły się czerwono. Las stał w tych złotyach kolorach... wdzięcząc się oczom, ale nasz jeździec, ani tej piękności, ani nawet lasu samego nie widział tak był w sobie pochłonięty. Niewystawiony stan duszy jego bliskim go czynił obłąkania... W młodości wszystko się czuje gwałtowniej, pierwsze wrażenia głęboko ryją się w piersi. Bernard nie miał doświadczenia, nie nawykł był do samoistnego kierowania samym sobą — umysł jego błąkał się nie wiedząc na czem spocząć, bił się między ostatecznościami. Jedno tylko wiedział że ta kobieta go kochała, że dla niego dom i męża rzuciła, narażając się na pogardę, że obowiązany był nie zdradzić jej i wszystko dla niej poświęcić.

Największą z ofiar już spełnił dla niej, miłość matki jej poświęcił... Na każde wspomnienie domu i jej — dreszcz go przebiegał. Czuł że popełnił winę — a wiedział iż postąpić inaczej nie mógł.

Jechał tak zadumany i koń go już w las wprowadził, gdy usłyszał obok siebie tentent drugiego i zwrócił głowę nieco przelękły... Droga nieco opodał jechał spokojnie Skalski, koniowi puściwszy cugle, a koń liście z gałęzi obrywał.

— Dobry wieczór panu Marszałkowiczowi — odezwał się, zbliżając się nieco — dobry wieczór.

Bernard ledwie na powitanie mruzeniem odpowiedział.

— Byłem u Kalasantego gdy Marszałkowicz przyjechał — mówił dalej — pan mnie pewno nie zauważył. Wysunąłem się, ale wiem o co chodziło.

Ze też pan znając Kalasantego, do niego się mógł udać o pożyczkę!

Bernard się obejrzał.

— To człek nieużyty, nie ujmuję mu, ale żeby tak przyjacielowi w potrzebie wygodzić, to się po nim nie okaże.

— A cóż począć miałem! mruknął wzdychając Bernard.

— Co? uśmiechnął się Skalski — co? Ja sum wielkich nie mam to pewno, na długą metę pożyczyć nie mogę ale — pan wie — spekuluję, handelkami się łątam, mam stosuneczki. Toby się i znalazło... nie u mnie, ale przeze mnie.

Bernard zwrócił się cały ku niemu. Nie był z nim poufale, ledwie go znał zdala, w domu go nawet nigdy nie odwiedzał — lecz w tej chwili aniołem mu się wydał i zbawcą.

— A! panie! jeżeli to podobna...

— Naprzód zjedźmy z gościńca... bo nie należy aby nas razem widziano i o sekret proszę... rzekł Skalski. *Est modus in rebus.*

Zwrócili konie w gąszcze, na ścieżkę przez bydlę wydeptaną.

Skalski oglądając się prowadził i kilkadziesiąt kroków ujechawszy przystanął na łączce, która już do niego należała.

— Wszystko zrobimy — rzekł—ale w sekrecie — ja pieniędzy nie mam, dostać ich jednak mogę na mój kredyt.

Prawda że żydzi zedrą — a no w takim razie się nie rachuje.

— A! panie, na wszelkie warunki przystanę — przerwał lżej oddychając Bernard, którego twarz się ożywiła.

— Ja pana Marszałkowicza obdrzeć nie dam — dodał Skalski... Wiele panu potrzeba?

— Wiele! jak najwięcej! jak najwięcej panie Skalski — ja nie wiem... ile tylko można.

Skalski się namarszczył.

— Przecież dwa, trzy tysiące rubli, tymczasowo dostateczne będą — rzekł namyśliwszy się—ale z żydami sprawa... Jeżeli dadzą trzy, pewnie na roczny Wechsel sześć zażądatać mieć.

— Jakto? sześć...

— Mogliby i dziesięciu zażądać — rzekł Skalski— a cóż? Marszałkowa nie zapłaci, czekać może będą musieli i dwa i trzy lata, a taki, mosanie żydek, gdy

pieniężmi obraca, może zarobić i tyle gdy się powiedzie. My to lichwą nazywamy, u nich to co innego.

Bernard nieco się zasepił.

— Spuszczam się na pana — ratuj jak możesz...

— Naprzód sekret zamawiam...

— Daję słowo...

— Bo by mnie tu ludzie oczy wykłuli żem panu w nieszczęściu dopomógł. To pierwsze, kończył Skalski... Teraz pojedziemy do mnie, spoczniesz pan. U mnie pana nikt nie zobaczy, bo tak jak nikt nie bywa. Ode mnie wiorst dziesięć do Konstantynowa, pojedę dziś wieczorem z pańskim blankietem, a jutro powrócę do domu.

Bernard milcząco się zgodził na wszystko. Ruszyli więc z łączki dróżyną małą, uboczną ku wioszczynie Skalskiego, która już nieopodal była. Wyjechawszy z lasu zobaczyli ją w dolinie nad stawkiem zarosłym trzcinami i sitowiem.

Dworek mały stał w bzach, wiśniach, i wierzbach z dachem trzciną pokrytym i niezgrabnymi kominami, do których wiodły dwie drabiny sterczące. Za dworem zwykłe towarzyszeki jego, ciągnęły się szopy i stodoły niskie i liche, a po nad ich dachy wyglądały żółte nagromadzone sterty, nieźle mówiące o urodzaju. Z roku przeszłego ogromne stożysko mietej słomy, stało także niespożytkowane.

We wsi cicho było jeszcze, bo wieczór nie nadszedł, Bernard spojrzawszy dopiero teraz na niebo i rozrachowawszy się z czasem, pomiarkował że przed nocą z Konstantynowa wrócić było można. Koń i on był

zmęczony, lecz nie szło mu ani o siebie ani o wierzchowca, zaproponował więc że sam ze Skalskim jechać może. Skalski się oparł temu.

— Gdy się pan tam pokażesz, możesz popsuć interes, więc lepiej odpocznij u mnie. Konia popaść trzeba — a pan jadłeś co? zapytał.

— Nie — od wczoraj nic — rzekł obojętnie Bernard, żyję gorączką, która mnie karmi.

Skalski popatrzył nań i konie poszły kłusem. Mięli tak część wsi, groblę i dostali się do dworu w którego ganku, czekając na gospodarza stały dzieci z guwernatką panną Balbiną. Były to dwie córeczki, najmłodszy chłopczyk jeszcze w sukience jak one.

Panna Balbina była guwernatką tanią, nie zdaleka sprowadzoną i nie wykwinną. Brat jej w okolicy trzymał małą dzierżawę, ale że się z nim i jego żoną pogodzić nie mogła, zdecydowała się przyjąć obowiązki wychowawcze u Skalskiego. Naturalnie jako córka obywatelska, niegdyś do rodziny zamożnej należąca, dbała wielce o to aby ją szanowano i Skalski grzecznością, a poważaniem jej okazywanem część honorarjów wypłacał. Panna Balbina nie miała wiele więcej nad lat trzydzieści, twarzyczkę nieszpętną, i nie była bez nadziei że wdowiec w końcu poda jej rękę do ołtarza. W domu też uważała się już niemal panią i grała rolę gospodyni. Była to osóбка szczupła, żywa, czarnooka i z chudemi rączkami, ze spiczastymi łokciami, mówiąca szybko, żywo, nieustannie i znajdującą że nikt nie znał się lepiej na dobrych manierach i salonowym tonie, jak ona. Mimo szczebio-

tliwości była poważną bardzo — a stan jej paniński i położenie w cudzym domu, nieżonatego człowieka, czyniło ją nader surową na każde swobodne słowo.

Zmieszła się panna Balbina widząc przybywającego obcego młodzieńca, w którym się domyśliła i poznała zdala widzianego gdzieś na chwilę Marszałkowicza. Z rana arędarz ze wsi na ucho jej przywiósł wieść krążącą po sąsiedztwie, która ją zgorszyła niezmiernie i lice jej rumieńcem wstydu okryła. W pierwszej więc chwili nie wiedziała nawet jak się znaleźć w obec takiego zbrodniarza, którego że Skalski do domu wprowadzał, miała mu straszliwie za złe. Pomiarkowała jednak że nie będąc jeszcze całkowitą gospodynią domu, tylko jej zastępczynią, musiała to ścierpieć i wpadła na myśl szczęśliwą zupełnego ignorowania wypadków: to ją uratowało.

Skalski zaprezentował Marszałkowicza i poprosił o jedzenie. Dzieci z panną Balbiną wyszły. Tymczasem zawołał zaraz o bryczkę i konie — i Bernarda w ganku siedzącego zostawiwszy, sam poszedł dla narady z guwernantką.

Co tam między nim a surową moralności obserwatorką zaszło — nie wiemy, lecz Skalski powróciwszy uczynił wniosek by zmęczony Bernard poszedł do gościnnego pokoju i tam sobie spoczął do powrotu gospodarza, który mu jedzenie i herbaty przysłać obiecał.

Dla Bernarda nic nie mogło być pożądańszego nad tę chwilę spoczynku po bezsenności całonocnej i jeździe. Ruszył zaraz do owego pokoju gościnnego,

w którym w prawdzie schła mięta i runianek, ale to sprzątnięto zaraz i przyjemna tylko woń po nich została, dla orzeźwienia młodzieńca.

Tu rzucił się na sofkę Bernard. Nie wiedział sam co mu jeść danó i czy jadł nawet, chociaż łapczywie się nakarmił, potem jgak stał, a raczej jak siedział zasnął na sofie i przetrwał tak do północy, to jest do powrotu Skalskiego. Ten przyniósł mu trzy tysiące rubli w podartych papierkach, z westchnieniem wyznał że sześć za nie dać musiał i z uprzejmością, wielką, wierzchowca jeszcze. kupiwszy choć mu był niepotrzebny, za trzecią część jego wartości, nocą do pierwszej stacyi pocztowej, spieszącego się, ale orzeźwionego Marszałkowicza wyprawił.

Przy małej Berdyczowskiej ulicy w Żytonierzu, w onych czasach, dworek z ogródkiem cieniastym, a nie nazbyt starannie utrzymywanym, którego tylko częśćka bliższa domu, miała gracowane czasem ścieżki — zajmowała, rodem Warszawianka, żona niegdy zamożnego obywatela, osiadła tu dla wychowania córeczki, pani Balbina z Drzazgowskich Rumińska. Majątek jej był w dzierżawie od lat kilku, ona sama wsi nie lubiła wzdychała do Warszawy, do miasta, ale okoliczności się tak składały, iż nie mogąc jeszcze wyrwać się — z tego przekłętogo, jak go nazywała Wołynia, czas spędzała w prowincjonalnem miasteczku. Interesa po mężu na nią spadłe, stosunki rodzinne, zmuszały do tej ofiary. Pani Balbina, chociaż miała czas żyć z mężem lat parę i owdowieć, nie doszła była jeszcze lat trzydziestu.

Nigdy piękną nie była, ale, co lepiej, miała wiele wdzięku, umiała się podobać, ubierała się umiejętnie

i uchodziła za piękność, a nawet wieku jej nie dodawano, tak zręcznie go pokrywać umiała.

Twarz jej na pierwszy rzut oka nie mówiła nic. Zdawała się powszednio przystojną, usta, nos, oczy niczem się nie odznaczały, lecz gdy to wszystko w ruch weszło, gdy się ożywiła rozmową, gdy się podobać zapragnęła, gdy puściła cugle nader wprawnemu językowi, szczebioczącemu z naiwną łatwością po francusku, po polsku, a nawet nieco po włosku (bo pani Balbina śpiewała arye z oper) — naówczas stawała się niebezpieczną i czarującą.

Była zalotną — lecz z pewną miarą i obrachowaniem, nie dawała się nigdy skompromitować, ani cieniem pozoru, lecz wzdychać, wielbić — starać się kazać o sobie — stanowiło najwyższą dla niej przyjemność.

Przyznawała się po cichu przed przyjaciółkami, że za mąż poszłaby chętnie — ale dobrze. Ladażako, nie mam ochoty, mówiła, na świecie mi i tak nie źle, a jestem swobodną. I była w istocie tak, wolną, jak tylko chciała, a swobody tej nie nadużywała.

Mężczyźni niezmiernie jej towarzystwo lubili, mniej kobiety, które jej zazdrościły i znajdowały zawsze że nie było w niej nic osobliwego, i że tylko kokieteryą obrachowaną ludziom głowy zawracała. Jednakże żyły z nią nie mogąc nic zarzucić oprócz że je zaćniewała.

Dom pani Balbiny nie był ani nazbyt otwartym, ani zamkniętym bardzo, przyjmowała wieczorami

zawsze prawie gdy była u siebie, a czasem prozione dawała. Córka chodziła na pensję i uczyła się od metrów w domu. Było to jeszcze dziecię, ale matka z niej koniecznie małe cudo uczynić chciała, co się niezbyt udawało. Kochała Julkę zapalczywie — namiętnie...

Na pensyi jeszcze w Warszawie panna Balbina Drzazgowska, poznała się i przyjaźniła z panną Seweryną. Były to dwie nieodstępne powiernice, które sobie wiekuistą, poprzysięgły miłość. Gdy panna Drzazgowska wyszła za mąż za pana Rumińskiego, między nią a Seweryną zawiązała się żywa korespondencya, później los chciał że i sierota owa za Fanteckiego wydana zbliżyła się do dawnej swej towarzyszki. Przyjaźń z pensyi wyniesiona odżyła... Położenie obu było bardzo różne, Balbina z mężem była w zgodzie, a raczej z losem co ją wyswatał, nie wszystko się jej podobało w domu, ale nieboszczyk Rumiński był doskonałym mężem i panowała nad nim samowładnie. Seweryna od razu uczuła się nieszczęśliwą ofiarą... Fantecki chłodny, rozważny, milczący choć był dla niej najlepszym, osądzonym został jako tyran. Pierwszy rok tyraństwo to trwało nie stając się dokuczliwszem niż było zrazu, później zaczęło rosnać, zwiększać się, a z poznaniem złotowłosego Bernarda doszło do rozpaczki doprowadzając i do katastrofy. Charakteru pani Seweryny określić było trudno... Serca miała mało, głowę płomienistą, imaginacyę rozbujającą, a piękność jej, o której miała wyobrażenie aż do przesady posunięte, w jej pojęciu czyniła

ją tronu godną. Z tą pięknością zamknąć się na wsi z mężem już nie zbyt młodym, z perspektywą ciszy, pracy i pokoju—zdawało się jej—świętokradztwem.

Czuła się do innych losów, i do innej na świecie roli stworzoną. Fantecki napominający ją do jakiegoś zajęcia, usiłujący ją uczynić poważną, nieco i zimny, odmawiający podróży, zabaw szumnych — chwały i oklasków—choć padał przed nią i pieścił—osądzony już był katem i tyranem.

Złotowłosy Bernard, biedne chłopię rozkochane, powolne, posłuszne—klękające przed tem bóstwem—stało się aniołem wybawicielem. Seweryna więcej sobie wyobrażała że go kocha niż kochała w istocie....

Że się jej podobał, że ją ujął szaloną, pierwszą, niewinną miłością, to pewna, lecz gdyby nie był dziedzicem w przyszłości ogromnych dóbr, i synem pani Marszałkowej, czyby Seweryna poświęciła się tak dla niego—to wątpliwa. Pochlebiało jej to że najpiękniejszy, najbogatszy, najmiłszy z tych którzy na horyzoncie prowincyi świetnieli — był jej niewolnikiem...

Miłości Bernarda inaczej nazwać nie było podobna, jak zaprzędaniem i niewolą. On kochał szczerze, namiętnie nieskażonem sercem, z wiarą w swój ideał, którego blask zewnętrzny, wewnętrzną nicość zaćmiewał. Dla niego w Sewerynie wszystko było doskonałością, nawet wady jej uwielbiał, jako znamiona oryginalnego, wyższego charakteru.

Umrzeć z nią, gdyby tylko skinęła, kazała — umrzeć dla niej—był gotów—poświęcić jej wszystko.

Klin Klinem.

5

Burzliwa ta miłość zmysłów i ducha, nie rachowała się z niczem.

Seweryna trzymała go zdala od siebie—mimo najśmielszego z niem postępowania — i gdy wieczorem zarzuciła mu ręce na szyję, pocałunek kładąc na czole, był to pierwszy zadatek przyszłego szczęścia. Dotąd ręce tylko i końce trzewików wolno mu było gorącemi okrywać pocałunkami. Ten uścisk wieczorny objął go jak ogniwo łańcucha, który miał ciągnąć za sobą... Palił go... piętnował... skuł na wieki.

Seweryna z rozmysłem rzuciła mu się na szyję, nie zabiło jej serce... nie uczuła jak on, rajskiego szczęścia, burza miotła jej sercem.

Pocałunek był orężem przeciwko tyranowi... był—powiedziawszy prawdę — rachubą. Nie omyliła ona Seweryny, Bernard oszalał, wspomnienie tego uścisku dało mu mężstwo przeciw matce.

Pani Fantecka mniej z tem wszystkim winną była, niż się zdawało—z chłodem w sercu a ogniem w głowie urodziła się na obie wrodzone te właściwości, wychowanie spotęgowało, za mąż pójście nieszczęśliwe wyegzaltowało ostatecznie. W temperaturze człowieka widzimy ten sam fenomen co na ziemi, gdy w jednym pół sferzu podnosi się ciepło, na drugim panują chłody—prawie zawsze serce ostygłe, idzie z płonąca fantazyą i rozbija ją głową.

Człowiek sam nie rozpoznaje często czem kocha,—często wyobraźnią się przywiązuje niż sercem, czasem temperamentem i zmysłami. Pani Seweryna chłodną była i obojętną cała — gorzała jedną głową

tylko. Pożar to który śmierć jedna ugasić może. Zmysły tępieją, serce drętwieje, wyobraźnia, *la folle du logis* miota się nawet pod siwemi czaszki włosami. Ludzie biorą za czułość serca, co jest imaginacyi chorobą.

Fantecki napróżno usiłował żonę zatrzymać, łzami ani modlitwą jej nie zmiękczył, łzy nazwała krokodylowemi, modlitwę i pokorę chytrością i przewrotnością. Był tyranem i katem. Co tylko uczynił tyranją i oprawstwem się zwało.

Nie troszcząc się o ludzi rzuciła go czyniąc mu scenę w ostatku, i opuściła go rozplamioną. Bernard był dla niej wybawicielem z niewoli.

Od pierwszej stacyi odprawiwszy powóz i konie, z pieniędzmi, które jako swój mały posażek odebrała, sama, z jedną służką poleciała do Żytomierza... Tu rachowała na Balbinę najwięcej. Pani Rumińska o całym przebiegu tego dramatu domowego była listami zawiadomioną, listy te z największemi szczegółami donosiły o każdym na przód posuniętym kroku. Wdowa uległa się gwałtowności ich, obawiała się całej sprawy, odradzała, uśmierzała, wszystko napróżno — nie było sposobu powstrzymania pani Seweryny. Nie zbyt się uśmiechało Rumińskiej uczestnictwo w tak skandalicznej przygodzie — ale się od niego wymówić nie mogła.

Niepokoilo ją to, bo wiedziała jak świat był mało pobłażającym i jaką wrzawę wywołać miał postępek pani Fanteckiej. Lecz, — zajmowało ją to razem

bardzo żywo — a przerywało nudy, które w małym miasteczku już ją czasem napadały.

Naostatek po listach wielu, nadszedł oznajmujący przybycie. Seweryna oddawała się w opiekę, obronę przyjaciółce... w niej jedyną ufność pokładała. Tyran odmalowany był tak iż nareście poruszył oburzeniem serce czulej przyjaciółki. Bernard na tle tem czarnem występował w postaci anioła... Imaginacya wdowy w zetknięciu się z tym płomieniem, rozgorzała także. Jakkolwiek lękała się udziału w dramacie, mocno obudzał jej ciekawość...

Jednego wieczora jesiennego, nim przyniesiono światło, chodziła myśląc właśnie o tem pani Balbina, gdy drzwi się otwarły i z jękiem a okrzykiem wpadająca Seweryna, rzuciła się na szyję przyjaciółce, obejmując ją namiętnie i oblewając łzami... Popłakały się obiedwie, a gdy służący wniósł lampę... i spojrzały sobie w zapłakane oczy... łzy już były wygorzały i rozmowa się poczęła gorączkowa. Usta się nie zamykały Sewerynie opisującej jak heroicznie postąpiła z tą poczwara, z [tym ohydny męzem, udającym rezygnacyą i spokój. Odmalowała go jako zimnego męża...

Balbina słuchała. Dziwna rzecz, przesada i gwałtowność opowiadania, zrobiła na niej wrażenie w ręcz przeciwnie spodziewanemu — nie umiała sobie wystawić tej poczwary... Natomiast Bernarda piękność, miłość, poświęcenie wzruszyły ją. Seweryna dodała, że się spodziewa co chwila jego przybycia, że zapewne będzie musiał z matką zerwać z początku, lecz

że ta z jedyakiem musi się przejednać i pozwoli na wszystko.

— Wiem, dodała — że jeszcze wiele, wiele przecierpieć będę musiała... ale wytrwam... poświęcę się dla niego!! A gdy się połączymy... a co za szczęście nas czeka! Pojedziemy marzyć we dwoje pod włoskiem niebem u morza brzegu... Razem z nim.

A! ty nie wiesz, zawołała... jak on piękny... gdy klęcząc u nóg moich z zachwytem patrzy w moje oczy! gdy stopy moje okrywa pocałunkami, cały drżący... uniesiony... zapominając o świecie.

Trzeba byś go widziała, zobaczysz go... Anioł powiadam ci.

Rumińska słuchała w milezeniu.

— Ale nim rozwód nastąpi—jużciż tu nie pozostaniecie... razem, zapytała nieśmiało.

— Dla czego? odparła Seweryna — ja zerwałam na wieki z tyranem... ja się uważam jako już z nim połączoną. Dla czego byśmy się widywać nie mieli i w jednym mieście zamieszkiwać?

Mówiono długo, ostyglejsza daleko wdowa, znająca miejscowe stosunki, czyniła wiele zarzutów, udzielała przestroóg... Potem zwrócono się do opowiadania przeszłości i tak przeszedł wieczór do późna, na zwierzeniach wzajemnych. Chociaż Rumińska wahała się z tem, pani Fantecka potrafiła wymóżyć na niej, uprosić ją, aby u niej w domu mogła zamieszkać. Tym sposobem osłaniała się od potwarzy i podejrzeń.

Przyjaciołka odmówić nie śmiała czy nie mogła.

Wśród najżywszej rozmowy — jak zwykle wieczorem, jeden z wielbicieli cichych pani Balbiny, prawnik z powołania, wychowany w Petersburgu, pan Zacharyasz Grzybowicz nadszedł pokłonić się bóstwu swojemu.

Ze wszystkich zawojowanych przez Rumińską, młodych panów, pan Zacharyasz był jej najmiłszym, i może najszczerzej do niej przywiązanym. Wiedział on bardzo dobrze, iż Rumińska sięgająca wysoko nadziejami i myślą nie pójdzie za niego, ale kochał ją mimo to i nałogowo do niej się przyzwyczał. Grzybowicz był już nie pierwszej młodości, człowiekiem przypóźnionym na gościńcu żywota, kilka razy omylił się w drodze. Był w Seminarjum, trochę w wojsku, naręście prawa się uczył w uniwersytecie i został nakoniec adwokatem. To wszystko przyprawiło go o sceptycyzm i łysinę. Chłodny był na pozór, lecz serca miał tem więcej, im mniej się z nim popiswał. Błady, nie piękny, rysy miał wszakże szlachetne i wyraz twarzy poważny.

Czynił wrażenie człowieka na którym śmiało oprzeć się było można. Trochę sztywny Grzybowicz, zrazu w towarzystwie potrzebował rozmarzać nim całe życie jakie miał w sobie, mógł słowem i twarzą okazać.

I teraz też postrzegłszy obcą panią z tą imponującą pięknnością, która gasiła wdzięk Balbiny, nie zastępując go żadnym urokiem, tylko podziwem i zagadką, Grzybowicz stanął skromnie na stronie, zajmując się małą Julką, córką Rumińskiej, która go bardzo

lubiła i już się nawet po troszę nad nim znęcała, ucząc zawczasu kobiecego rzemiosła.

Gospodyni domu na widok prawnika, olśnioną została natychmiast myślą oddania mu w opiekę przyjaciółki i szepnęła jej o tem.

Bernard jako z profesyi anioł, był naturalnie nie praktycznym, i innym mu być nie wypadało... piękna Seweryna chwyciła się oburącz tej szczęśliwej idei opiekuna.

Obie panie czasu ani chwili nie tracąc, wpadły obcesowo, na spokojnie przypatrującego się im prawnika.

Po krótkiej naradzie, rzecz już była stanowczo nieodwołalnie rozstrzygniętą. Gospodyni wiodąc za rękę przyjaciółkę, przedstawiła ją po raz wtóry Grzybowiczowi.

— To moja siostra serca — siostra ducha — panie Grzybowicz, odezwała się — ja ją pańskiej opiece polecam i oddaję. Jeżeli mam cokolwiek przyjaźni u pana — poświęcisz się jej sprawie z zapałem... Zasługuje na to jako najnieszczęśliwsza istota. Pan będziesz jej zbawcą, obrońcą.

Grzybowicz kłaniał się pokornie, milcząc, bez tego ognia i usłużności do jakiej pani Rumińska była nawykłą z jego strony. Seweryna starała się go podbić oczyma, których znała potęgę... ale pan Zacharyasz ukradkiem spojrzawszy w nie, sam spuścił wzrok pomieszany — co dziwniej nie spieszył z odpowiedzią.

— Kochany panie Grzybowicz, kończyła wdowa, jeśli mi pan co dobrego życzysz, weź ją w opiekę... ona panu sama opowie co z tym tyranem ucierpiała, ona żyć nie może z nim... Ledwie żywa tu uciekła.

Milczał prawnik. Pociągnięto go do stolika na którym stała lampa, posadzono piękną Sewerynę na kanapie, gospodyni siadła z jednej, Grzybowicz sięść musiał z drugiej strony, a mała Julka przytuliła się do kolan jego. Matka jednak w czas postrzegła, że dziecko nie koniecznie potrzebowało tak wczesnie być wtajemniczane w dramat małżeńskiego pożycia i odprawiła je do zabawek.

Rozpoczęto się tedy opowiadanie pani Seweryny, ognia pełne, namiętne, którego argumentom oczy piękne w pomoc przychodziły. Pani Rumińska dodawała ze swojej strony uwagi, adwokat pochyłony słuchał z wielkiem nateżeniem.

Zostałam wydaną za mąż, prawie dzieckiem, bez mej woli, mówiła piękna ofiara — w wieku w którym o życiu wyobrażenia nie miałam. Człowiek pod którego dostałam się władzę, zdawał się łagodny i dobry, ale tą lisią układnością pokrywał najdespotyczniejszy charakter. Zamknął mnie na wsi... odmówił mi pierwszych potrzeb... jakich młoda osoba ma prawo wymagać, dręczył mnie, znęcał się, starał złamać uporem. Zażądał ze mnie zrobić kucharkę — gospodynię, klucznicę. Szpiegował mnie na każdym kroku.

Grzybowicz milczał. Niekiedy jakby z musu i dla przyzwoitości, głowę przechylał z lewego na prawe, a z prawego na lewe ramię.

— Pan nie masz wyobrażenia co ta kobieta doznała! wołała Rumińska.

— A! panie, dusza się wzdryga na niewolę jakiej byłam poddana—dodała Seweryna.

Takimi ogólnikami starały się obie malować sytuację — a gdy nareście wykrzykników się przebrało, zamyślony prawnik rzekł:

— Jednakże—gdyby przyszło do rozwodu... Sąd konsystorski będzie wymagał jakichś faktów.

— Faktów! przerwała piękna Seweryna — ale to jest fakt że ja z nim żyć nie chcę i nie mogę... raczej umrę

Rumińska przysunęła się żywo z krzesłem do prawnika i szepnęła mu na ucho. Zakochał się w niej pan Bernard Zniński i ona go kocha.

Prawnik tak samo pokiwał głową.

— Jakież było obojęcie się męża z panią? zapytał.

— Najokropniejsze! krzyknęła Seweryna... nikczemne, podłe — bo na pozór pełne łagodności i słodyczy. Z największą przewrotnością udawał dobrego, cierpliwego, aby mnie do rozpaczy przyprowadzić.

Tego rodzaju zarzuty powtórzyły się jeszcze, z dodatkiem że zmuszano panią do zajęcia, do pracy niewłaściwej, że jej mąż pokoju i swobody nie dawał. Grzybowicz wdychał. W ostatku gdy już zabrakło obu paniom nowych zarzutów — i czekano ze strony jego oświadczenia, spodziewając się że będzie oburzoną, Grzybowicz rzekł spokojnie:

— Zrobimy pani dobrodziejko, co tylko będzie można... trzeba się rozpatrzyć w szczegółach, rozpa-

trzymy się, zbierzemy zarzuty—no—i ja mój obowiązek gorliwie spełnię. Tym czasem niech pani wy-pocznie i stara się wzruszenie swe ukoić. Rozwód w każdym razie łatwym nie będzie. Nasza władza biskupia surową jest w tym względzie — ale bądź co bądź seperacya...

— A! cóż jej potem—wtrąciła Rumińska, piękna rzecz—a na co się jej to zdało... Zmiłuj się.

— Raczej się utopię niż do niego powrócę—dodała Seweryna—jak mnie pan widzisz żywą.

Tego wieczora adwokat nie znalazł łaski w oczach pani Rumińskiej—nie mogła się wydziwić jego chłodowi, powściągliwości, wahaniu. Sewerynie się nie podobał zupełnie, nazwała go w duchu nieznośnym. Jednakże gdy po tej konferencyi, zbywszy obie panie ogólnikami wyszedł, gospodyni zaręczyła że go potrafi „podmontować“ jak się wyraziła.

— Już bądź spokojną, bądź spokojną! szepnęła—ja go wezmę w ręce i obrobię... zobaczysz. On się we mnie kocha... to dosyć. Każę mu pod groźbą dyzgracyi—musi się twej sprawie poświęcić a tu nikt nie ma większych stosunków i większych nad niego zdolności! Jest zawsze w początku trochę zimny! uląkł się twej piękności. Zobaczę się z nim sam na sam i powiem mu co czynić powinien.

Tak się tedy pożegnały dwie przyjaciółki, do jutra. Nazajutrz miała się przenieść do Rumińskiej, piękna Seweryna.

W całym miasteczku nie było mowy we dwa dni potem, tylko o pani Fanteckiej, która od męża uciekła. Widziano ją na mszy u Bernadynów, drudzy utrzymywali że była z Rumińską w katedrze, inni że już jeździła do ks. Biskupa, i że tam nie została przyjęta. Młodzież szeptała o Bernardzie iż cichaczem przysunął się za swoim bóstwem i najał sobie mieszkanie przy małej Berdyczowskiej ulicy. Inni mówili nadto że sam Fantecki już był nazajutrz po przybyciu żony do Żytomierza i koło katedry.

Ponieważ wiedziano o przyjaźni jaka łączyła pana Grzybowicza z wdówką, u której mieszkała pani Seweryna, dopytywano jego o szczegóły—ale prawnik milczał ramionami ruszając... nie wiedział lub utrzymywał że o niczem nie był uwiadomiony. Dopiero ta jego ostrożność nadzwyczajna aby się żadnem słowem nie zdradzić, niektórym na myśl przywołała—

iż Grzybowicz był zdawna przyjacielem od serca — Fanteckiego.

Okoliczność ta o której pani Rumińska nie wiedziała wcale, tłumaczyła całe postępowanie prawnika.

Trzeciego dnia, gdy wybiegawszy się po sądach i kancelaryach, pan Zacharyasz do mieszkania swojego powracał o mroku — w progu szedł się z przyjacielem Fanteckim.

— Trzeci raz jestem u ciebie — zawołał głosem znużonym przybyły — nie chciałem ani biletu ani nazwiska zostawić, bo nie życzę sobie aby głoszone żem tu przybył... Wiesz o mojem nieszczęściu?

Grzybowicz za rękę go ścisnął.

— Wiem — odparł — ale chodźmy no do środka. I wprowadził gościa do swojego skromnego apartamentu który jak na kawalerski — bardzo mile choć skromnie wyglądał.

Śmiano się z Grzybowicza że był przesadzenie porządny, że pedancko strzegł się pyłu i nieładu, że u niego każda rzecz miała miejsce wyznaczone, — pozwalał się wyśmiewać, lecz trybu nie zmieniał. Siedli, a Fantecki otarł pot z czoła i westchnął.

Grzybowicz stał przed nim.

— Oszczędź sobie mój drogi połowy opowiadania — rzekł — żona twoja mieszka u swej przyjaciółki Rumińskiej i ja — wiem już z jednej strony wszystko.

— To tak jak gdybyś nic nie wiedział — z pewnego rodzaju spokojem odezwał się Fantecki — posłuchaj — przyszedłem do ciebie po radę.

Znasz mnie prawie od dzieciństwa — siedzieliśmy w szkole na jednej ławie, spotykałeś mnie w życiu — znasz mój charakter, moje wady i — jeśli mam, jaką nieładną stronę. Sądź.

Wiesz żem w walce z sobą wyrobił sobie stałe zasady od których nie odstępuję — pedant jestem, mówią ludzie, być może — ale chcę być logicznym. Raz w życiu niepokierowałem się logiką i za to pokutuję... Przetrwałem na wsi około gospodarstwa, z książkami, na osobności pierwszą młodość moją. Stęskniło mi się, byłem sam, serce dopomniało się o prawa swoje. Pomimo zajęć jakie sobie tworzyłem — życie stawało się nieznośnem. Wyjechałem do Warszawy w celach czysto gospodarskich... chciałem się też rozeznać nieco i życia zaczerpnąć. Tu spotkałem się z dawnym znajomym rodziców moich jeszcze z Radcą Radeckim.

U niego poznałem sierotę będącą na jego opiece. Nadzwyczajna jej piękność mnie uderzyła. Nawiasowo spytałem o nią. Radecki mi opowiedział historią tej pupilki, która mu nieco ciążyła. Dobre dziecko — rzekł — ale zepsute przez Ojca, który życie dla niej poświęcił i przyszłość jej uczynił trudną. Takie to śliczne a takie nieszczęśliwe! Dogadzamy jej jak sierocie, a oczy wypłakuje. Poszedłszy za uczciwego, dobrego i rozumnego człowieka, mogłaby się stać miłą i zacząć kobietą, ale nad tem popracowaćby potrzeba.

Twarzyczka i historia pociągnęły mnie, pomyślałem sobie, że poświęciwszy się jej, ukochwawszy ją,

miałbym towarzyszkę, która mnie wszystko będąc winną, przywiązałaby się do mnie.

Powziąłem myśl szaloną starania się o nią. Zostałem w Warszawie... Radecki mnie jak najmocniej popierał.

Już wśród tego starania się o Sewerynę, łatwo mogłem się obeznać z jej charakterem—postrzegłem że zadanie ułagodzenia tej istoty było trudne, a może nad siły moje—ale—zakochałem się jak stary kawaler. Zapomniałem o wszystkim.

Końcem tej historii było żem się ożenił, że dwa z górą lata się męczę, że w końcu młokos się jej podobał i z domu mi uciekła.. Com wycierpiał—nie wypowiem. Powiedziała sobie żem tyran, kat... i od tego odstąpić nie chciała.

Tu Fantecki ręce załamał.

— A ja ją kocham! zawołał — a mnie jej żal.. a ja rozdziału tego nie przeżyję...

Oparł się na stole i zamilkł...

— Wszystko to z ust twojej żony na inny sposób opowiadane słyszałem—rzekł gospodarz—ale—jak skoro się w to wmieszał młokos, jak ty go nazywasz — nie widzę innego wyjścia dla ciebie — tylko rozwód i uwolnienie się.

-- Ale ja ją kocham! powtórzył Fantecki zrywając się, mnie jej żal.. ten młokos się z nią nie ożeni, i ta kobieta zginie.

— Ale jakże ją uratować możemy, kiedy ona sama nie chce być uratowaną...

Zamilkli oba—Grzybowicz chodził po pokoju.

— Znasz Bernarda? zapytał.

— Naturalnie, na nieszczęście za długo dozwalałem mu wstępu do mojego domu—znam go—miałem czas mu się przypatrzyć zbliska. Jest młody w tem się mieści wszystko.

— I to go ocalić może—dodał Grzybowicz—zależy od matki, a matka na to ożenienie nie pozwoli. Ona nie ma nic, lub tak jak nic.

— Tak jak nic—powtórzył Fantecki.

— A jak jemu matka nic nie da—cóż poczną?

— Ale skandal.

— Co się miało stać—stało się—skandal spełniony. Ludzie się więcej pewnie domyślają niż jest. Chceszże na rozwód nie dozwolić i myślisz ją wzięść na powrót? mówił Grzybowicz.

Na to pytanie odpowiedzi nie dostał.

— Kobiety mi żal — kocham ją! mruknął Fantecki—przychodzę do ciebie po radę, nie jestem dosyć przytomny abym sam dziś wiedział co począć.

— Przyznam ci się—odparł adwokat, że wypadek dla mnie jest tak nowym że ja wcale się wśród niego rozliczyć nie umiem, jak wypada postąpić. Czekałmy może okoliczności.....

— Tak — przerwał mąż — a tymczasem Bernard który tu już siedzi po całych dniach u Rumińskiej, jest z nią i ta miłość nieszczęsna rozwija się i rośnie.

— Zdaje mi się że już nawet tak wyrosła — iż o jej pohamowaniu mowy być nie może... Kochany Fantecki należy wyrzec się żony — będziesz swobo-

dnym. Wystaw sobie życie z nią późniejsze... to męczarnia.

— Mój drogi — wtrącił Fantecki — zgadzam się z tobą — wyrzeknę się jej — dobrze — lecz niechże będzie szczęśliwą... niech się ożeni z nią ten którego tak kocha... Przestałem być mężem, uczciwość każe zachować obowiązki opiekuna.

— O ile one spełnić się dadzą...

Narada tak rozpoczęta, trwała długo w noc, Fantecki wyszedł wręście smutny i milczący do swojego mieszkania.

Ostatniem słowem jego było, iż nie wyjedzie z miasta i na straży pozostanie. Uprosił też Grzybowicza, aby kobiecie tej (tak ją nazywał), gdyby była w potrzebie — niby od siebie dał pomoc wszelką, którą on mu natychmiast powróci.

Prawnik wzruszony był tą miłością cichą, spokojną, na pozór chłodną, odepchniętą z pogardą, a gotową do nieuznanych poświęceń. Dla Fanteckiego postanowił zatrzymać w opiece jego żonę i działać tak, aby nie dać ją pokrzywdzić, oszczędzić jej przykrości na jakie się sama narażała. Jego zaś namówił do powrotu.

Nazajutrz bardzo rano, zadzwoniono do jego dworku przy ulicy Wilskiej, gdy się właśnie do miasta wybierał. Otworzył sam drzwi i zobaczył w nich pana Bernarda, uśmiechniętego smutnie i napierającego się wnijsć. Mało znali się z sobą.

— Przepraszam pana mecenas, odezwał się Zniński, wchodząc — ale mogę go prosić o pół godzinki czasu?

— Jestem na usługi.

— Pan się łatwo domyśla co mnie do niego sprowadza... Pani Fantecka mówiła mi, żeś był łaskaw podjąć się prowadzenia jej sprawy. Ta sprawa moja jest zarazem. Przyszedłem podziękować i oddać się w jego opiekę. Mówiąc to biedny Bernard cały był drżący. Twarz jego zmieniona, oczy zmęczone, gorączkowa mowa i ruchy, robiły przykre wrażenie. Grzybowicz wskazał mu krzesło.

— Bardzo jestem wdzięczny za zaufanie rzekł — radbym odpowiedzieć mu... lecz — przyznam się panu.. niezmiernie trudna to sprawa...

Bernard zbladł.

— Panie, rzekł — ja to czuję — ale dwoje istot będą ci winne swe szczęście.

— A przynajmniej dwie inne istoty — panie Bernardzie, będą może przeklinać — Matka pańska i pan Fantecki.

— Matka moja da się, spodziewam — przebłagać — co się tyczy pana Fanteckiego, ten powinien sam sobie przypisać winę.

Grzybowicz spojrział tylko.

— Powiedz pan szczerze, odezwał się — masz go za złego człowieka?

— Bynajmniej! powiem więcej — zawołał z uniesieniem młodzieńcem Bernard — szanuję go, ale są charaktery co się z sobą nie godzą.

— Z obowiązku mojego, który mnie zbliża do spowiednika — odezwał się prawnik, powinienem panu uczynić uwagę, że gwałtowna miłość zaślepia i że

Klin Klinem.

6

pan też nie możesz być pewien, czy się później nie okaże podobna charakterów niezgodność.

Bernard porwał się jak obrażony z krzesła.

— Panie! co pan mówisz! ja ją wielbię — ja życie dla niej gotów jestem poświęcić—ja—ja....

Wzruszenie mówić mu nie dało...

Grzybowicz się uśmiechnął i zamilkł.

— Mówmy więc—o szczegółach mniej drażliwych—
rzekł po chwili. Pani Marszałkowa jest tutaj.

— Wiem o tem...

— Nie widziałeś pan się z nią?

— Nie mogę.

— Chcesz pan ażebym mówił z nią w jego imieniu?

Bernard za obie ręce go chwycił.

— Uczynisz mi pan największą w świecie łaskę —
proszę—błagam. Powiedz pan jej że jeżeli mnie chce
widzieć żywym, jeżeli pragnie mojego szczęścia, powin-
na zezwolić. Panie, ja panu do zgonu będę wdzię-
cznym.

Skłonił się prawnik.

— Mam więc mówić w ten sposób tylko...

— Nie inaczej—przemów pan do jej serca...

Moje szczęście równie jak honor są w tej sprawie
zainteresowane—dodał Bernard gorąco—porzucić jej
która dla mnie się wszystkiego wyrzekła... żadna
mnie siła nie zmusi.

— Rozumiem, rzekł Grzybowicz — a jeźliby ten
dziwak Fantecki nie zgodził się na rozwód, jeźliby
pani Marszałkowa nie dała zezwolenia, jeźli...

— W takim razie — wybuchnął Bernard — pójdziemy w świat, będę pracował, cierpieć — zniosę to położenie... i spełnię moją powinność.

— I pewnym pan jesteś że na ubóstwo, pracę, cierpienie, zgodzi się pani Seweryna?

— Mam w jej sercu ufność nieograniczoną — krzyknął Bernard... I jakże bym jej nie miał... widząc co już uczyniła dla mnie...

Grzybowicz spojrzął na zegarek.

Po tym wybuchu gorącym, nastąpiło milczenie... Bernard zbliżył się aby jeszcze polecić adwokatowi sprawę swoją. Mówił urywano, niewyraźnie, z uczuciem ale bez ciągu... Widać w nim było obłąkanego szaleńca i przerażonego własnem położeniem człowieka. Nareszcie pożegnali się, wyszedł, a Grzybowicz poczekawszy nieco, kazał konie założyć i do miasta wyjechał.

Pani Marszałkowa Znińska, starym zwyczajem majątnych właścicieli Wołynia, miała swój dworek w Żytomierzu. Inni posprzedawali dawno te posiadłości mniej teraz użyteczne, gdy już tyle spraw do pilnowania nie było i sejmików na które by zjeżdżać potrzeba — pani Znińska przez poszanowanie zabobonne niemal dla wszelkiej spadkowej własności, nie chciała się nigdy, nawet pod bardzo korzystnymi warunkami, dać wywłaszczyć z domu i ogrodu.

Dwór był drewniany stary, niepozorny, ze stajniami, dziedzińcem i kilką morgami gruntu, na których mały sad, warzywny ogródek i łączka się znajdowała. Wszystko to ani grosza nie przynosiło dochodu,

dosyć było zrujnowane i podupadłe, nie wiele się na co dziedzicze przydać mogło, lecz mimo to nie chciała sprzedać za nic dworku Marszałkowa. Ile razy przyjeżdżała do Żytomierza, jak ojciec i dziad stawiała w swoim dworku, gdy jej nie było, zajmował jedną jego połowę, wysłużony domu oficyalista pan Nikodem Prozorowicz, człek już siedemdziesiąt letni, dla którego rodzina Znińskich miała pewne obowiązki. Natury ich trudno się było dobadać, ale Prozorowicz nawet panią Marszałkową z uszanowaniem lecz ojcowską niemal powagą przyjmował gdy przyjeżdżała, a ona obchodziła się z nim, nie jak z gracyalistą na łasce, ale jak z dalekim krewnym.

Pan Nikodem, którego niewiadomo dla czego zwano panem Burgrabią, o wszystkich interesach domu był jak najlepiej uwiadomiony, tradycje familijne znał na palcach, zdawał się liczyć niemal do rodziny, o Znińskich mówiąc, wyrażał się „my“ a o sprawach ich, jako o „naszych.“ Niekiedy jeździł do Stadnicy, z kąd mu pensyą wypłacano, przysyłano ordynaryę i dokąd we wszelkiej potrzebie udawał się jak do domu. Wszyscy tu szanowali wielce Prozorowicza, i był szacunku godnym. Niegdyś stary chodził po polsku, potem gdy się stroju tego coraz mniej okazywać zaczęło, zszedł na kapotę, została mu tylko głowa z włosiem podstrzyżonym równo i wąs ucięty pod linią.

Starzec się trzymał prosto, sztywnie, z powagą nieco przesadzoną, nosił wysoką trzcinę w rękę i czapkę czworograniastą. Całą jego rodzinę bliską

składała żona sztaruszką, JM. Pani Katarzyna, ma-
leńka kobiecina, gadatliwa, nie widząca daleko i su-
rowo utrzymywana przez jegomości, który ją kochał
jak dziecko. Była od niego o jakie lat dwadzieścia
młodsza. Szczątki piękności wydawała jeszcze mała
pomarszczona twarzyczka, a pulchniutka figurka
zawsze była przybrana z wielką czystością i stara-
niem. Burgrabia przyznawał się czasem, że się w żo-
nie dotąd kochał, jak gdy—dodawał śmiejąc się—to
głupstwo zrobił że się z nią ożenił. Do podobnych
mniej grzecznych konceptów jejmość była przywykła,
nie nadwyreżały one małżeńskiego pożycia.

W pierwszych latach popobraniu się, Prozorowicz-
owie mieli syna — było to dziecko wielkich nadziei,
stracili go piętnastoletnim i dotąd opłakać nie mogli.
Sama chodziła co tygodnia na cmentarz na grób Ste-
funia, on wspominał często o nim ze łzą w oku.

Staruszkowie zajmowali prawą część dworku sie-
nią na przestrzzał przedzielonego — na lewo były trzy
pokoje pańskie, ze staroświecka umeblowane, zawsze
gotowe na przyjęcie Marszałkowej. Był to rodzaj po-
koju bawialnego z kanapą, krzesłami, kantorkiem
i piecem kaflowym... gabinet i sypialnia.

Od dawna Znińscy mieli też tu kredens, kuchnię
i wszystko czego w czasie pobytu potrzebować mogli.
Nie było wytworknie, ale czysto i zacisznie. Oboje Pro-
zorowicze tak sumiennie strzegli tego pustego mie-
szkania, iż mając choćby najwięcej gości i najpilniej-
szą potrzebę posłużenia się niem, nigdy go nie tknęli.
Co tydzień służąca robiła tu porządek, otwierano

okna, a zimą kiedy niekiedy przepalano, ażeby niedopuszczyć wilgoci.

Prozorowicz spędził życie dosyć próżniacze na pozór, ale go wszystko jeszcze żywo obchodziło, miał jedną lub dwie gazety, aby się z nich coś *de publicis* dowiedzieć, czasem tylko czytywał, na nabożeństwa pilno uczęszczał do katedry i ze znajomymi obcować lubił.

Sprawy gubernialne, prowincyi, miasteczka, wypadki jarmarków Berdyczowskich, zmiany urzędników, procesy obywateli, rzeczy kościelne, żywo go interesowały. Nikt nad niego lepiej nie znał stosunków obywatelskich na całym Wołyniu, na Polesiu wołyńskiem, z jednej strony po za Uściług, z drugiej aż ku Kijowu. Topografią prowincyi, stan lasów, spławowy, wyrób drzewa znał doskonale... Niepotrzebujemy nawet dodawać, iż swe szlachectwo wysoko nosił. Tradycye domowe, w najszerszem ich znaczeniu umiał na palcach... A jednak od lat kilkudziesięciu już prawie się z tego dworku nie ruszał.

Grzybowicz rozstawszy się z Bernardem namyślił się nieco i wprost kazał jechać do dworku Znińskich. Wiedział już o przybyciu Marszałkowej. Prozorowicza zaś znał dobrze z widzenia, choć z nim mało miał stosunków. Gdy się dorożka zatrzymała... jeszcze nie miał czasu wysiąść z niej prawnik, gdy w ganku pośpiesznie dybiący na jego spotkanie, ukazał się Prozorowicz gładząc swą podstrzyżoną czuprynę.

— Pana Burgrabiego...

— Do nóg upadam, Mecenasa.

— Pani Marszałkowa jest?

Prozorowicz siwemi przenikliwemi oczkami spojrział mu prosto w źrenice — aż się zmieszał Grzybowicz. Zdawał się pytać — a z czemże to do niej przybywasz?

— Pani Marszałkowa jest — rzekł powoli — ale — czy przyjmuje kogokolwiek, nie wiem, nie bardzo zdrowa. W każdym razie, gdybyś Mecenasa był łaskaw zajść do mnie...

Tu się ukłonił.

— A no, bardzo dobrze...

Prozorowicz otworzył drzwi do pokoju na prawo.

Tu weselej było i ładniej niemal niż na przeciwko w rzadko zajmowanej pustce. Pokój bawialny wylepiony był obiciem świeżem w kwiaty... doniczek na oknach stało pełno, kanarki świergotały w klatkach, stary mops wyszedł mrużąc Mecenasa obwąchać, a stara Prozorowiczowa wstała od krosienek z włóczkową robotą, dygając gościowi.

Na znak jakiś tajemniczy dany przez męża, wzięła kluczyki i zakręciwszy się fertycznie, jak na swój wiek, wyszła, mopsa za sobą nieodstępniego prowadząc.

Prozorowicz prosił siedzieć — sam poszedł drzwi któremi żona wyszła przymknąć hermetycznie. Twarz miał zafrasowaną. Siedział przy Mecenasiu.

— Pan pewnie w tym nieszcześliwym interesie, albo od syna... albo od...

— Od syna szepnął Grzybowicz, który wiedział że z Prozorowiczem otwarcie mówić było można.

Prozorowicz ręce załamał.

— Tego nam nieszczęścia było potrzeba! zawołał — Marszałkowa, jakkowiek to *hic mulier*, choć poznać po sobie nie da, zagryzie się. Licho wie co to nas kosztować będzie a chłopcu na całe życie zaszkodzi.

Nie! nie! — zawołał rękę podnosząc do góry w której trzymał razem tabakierkę i chustkę — nie! nie ma nieszczęścia jak przez kobiety... *Fae — mina!* dobrze nazwana... *Pfe! pfe!* Na zgubę naszą stworzona... Kara Boska — i kwita.

— Panie Burgrabio — narzekać nic nie pomoże, radzić należy.

— A z czemże asindziej przychodzisz? zapytał Prozorowicz.

— To łatwo się dorozumieć, syn matki błaga, aby mu jego zobowiązania spełnić dozwoliła. Kocha się i chce się żenić!

— Zapewne! zawołał Burgrabia — żenić się — jemu, młokosowi? z kim... za pozwoleniem... z tą flądą.

Tu umilkł gładząc się po łysinie i począł innym tonem.

— Mnie tam do tego nic — niech Marszałkowa robi co chce... niech pozwala, nie pozwala... to nie moja sprawa, czy tak czy owak bieda i skaranie Boże.

Zwrócił się potem do Mecenasa.

— Panie! pan już wiek tego szalapuctwa przeszedłeś, człowiek jesteś stateczny, powiedz mi jak są-

dzisz, ten młokos nieszczęśliwy... czy my go weźmiemy głodem?

— Ani groźbą ani głodem, odparł Grzybowicz, to miłość szalona ..

Pochmurniał Burgrabia.

— E! e! machnął ręką — już dziś innej rady nie ma tylko jedna — mówiłem pani, lecz nie słucha... Ramionami rusza.

Umilkł znowu. Mecenas wzrokiem go do spowiedzi wyzywał.

— Jakaż rada? spytał w końcu.

Burgrabia milczał długo.

Po co ja się mam z nią wrywać—rzekł—ja jestem człowiek starego autoramentu — i o sprawach ludzkich inne mam niż waszmość panowie wyobrażenia. Gdybym powiedział co myślę, śmiechu bym narobił z siebie—oczy byście mi zapluli... Dziś sentymenta... sentymenta... a w młodości, panie, sentymenta!.. takie mają i bydłeta... Tfu!

Mecenas się skrzywił.

— Nie rozumiem — rzekł.

— Bo to nie sentyment, zawołał stary—to nie żaden sentyment, ale po prostu krewkość młodzieńcza i kwita. Mówiłem jejmości wcześniej, chłopiec młody, krew nie woda, żeń go asińdzka, bo głupstwa się zaczną... Nie! chciała się nim nacieszyć, bała się synowej i ot czego się doczekała... kłopotu i wstydu.

Odwrócił się do Grzybowicza i rozkładając ręce szerokie, a głowę ku ziemi spuściwszy, rzekł w sobie poufnego zwierzenia się po cichu.

— Innej rady nie ma tylko mościdgeju — Klin Klinem!

Mecenas nie zrozumiał.

— A no! tak! dodał Prozorowicz... niech się znajdzie panna piękna, a niewygodny romans z Fanteczką mu dokuczy... to się w pocieszycielce zakocha, a jejmość porzuci... Tylko tam pilnować trzeba, aby mu przeszkadzano i bardzo go nie dopuszczano do poufałości.

Grzybowicz się z zymnął.

— Zmiłuj się panie Burgrabio— lekarstwo gorsze od choroby.

— To go sobie sami kurujcie— wyrwał się stary— jam już na to głupi. Marszałkowa żenić się nie pozwoli z rozwódką, to pewna... chłopiec się zmarnuje... a to ostatnia rodziny gałązka... chociaż panie... nie ma innego sposobu, tylko Klin Klinem — tylko Klin Klinem.

— Nie mógłbym się widzieć z panią Marszałkową? spytał nie odpowiadając na tę oryginalną argumentacją Mecenas.

Prozorowicz nieco urażony, wyprostował się.

— Każe pan, zapytać?

— Proszę pana...

Zostawiwszy gościa sam na sam z kanarkami. Burgrabia wyszedł jawnie urażony, że jego rada została milczeniem wzgardliwem pominiętą.

W chwilę potem wszedł od progu wołając.

— Marszałkowa prosi.

Skłoniwszy mu się Grzybowicz przeszedł się i znalazł się w pokoju na przeciwko, ciemnym, smutnym, w którym nie było nikogo. Chciał się czas rozpatrzeć w nim.

Na ścianach wisiały stare sztychy angielskie, przedstawiające heroiczne sceny z historii rzymskiej, mocno zwilgocone i zczerniałe. Na kantorku zegar z kolumnami alabastrowymi nie idący, trupa miał fizyognomję. Meble spłowiałe, piec popękany trochę—wszystko razem oblane było jakimś wyrazem martwoty przykrej. Znać że tu nikt żywy nie mieszkał.

Od gabinetu drzwi stały na pół otwarte, nagle uchyliły się i wyszła powoli w czarnej sukni, blada, żółta, poważna wielce i surowa pani Marszałkowa, widocznie nie dała poznać po sobie iż dźwigała ciężkie brzemie.

— Jak się ma pan Mecenase — odezwała się głosem mało zmienionym, i wskazała mu krzesło, sama siadając na kanapie, a głowę oparłszy zwolna na rękę.

— Dziękuję pani.

— Jeżeli się nie mylę, Prozorowicz mi mówił, że z jakimś interesem.

— Tak jest, pani—przychodzę od pana Bernarda. Marszałkowa zamilkła.

— Jakież to nieszczęście—odezwała się, gdy syn do matki zamiast przyjść sam, obcego pośrednictwa używać musi. Czego chce Bernard?

— Przebłagać panią...

— To trudno, jeżeli nie spełni mojej woli—odezwała się matka. Łudzi się Bernard myśląc, że ja przez miłość macierzyńską pozwolę ażeby sobie struł i związał życie. W małżeństwie z kobietą, która raz o obowiązkach swoich zapomniała, nie widzę dla niego przyszłości, na to małżeństwo nie dozwolę nigdy... Jestem gotowa chwilowe obłąkanie przebaczyć, ale zgodzić się aby tę chwilę opłacał życiem —nie mogę.

Grzybowicz nie wiedział co odpowiedzieć.

— Pani Marszałkovo, rzekł w końcu — miłość... młodość...

— Gdyby się Bernaś zakochał w najuboższej poczciwej dziewczynie... nie wahałabym się na chwilę pobłogosławić mu... ale w kobiecie...

Tu wyrazów jej nie stało, chustkę przyłożyła do oczów.

Grzybowicz zmilczał.

— Pan jesteś zacny i stateczny człowiek—dokończyła po chwili—spełniasz obowiązek wstawiając się za synem moim — spełń daleko wyższy, staraj się go uratować...

Wyciągnęła ku niemu rękę, którą Grzybowicz ucałował wzruszony. Wstała i pošli razem ku oknu, szepcząc po cichu. Rozmowa ciągnęła się długo — a gdy po godzinie prawie, prawnik znowu żegnając się, rękę Marszałkowej całował, zdawali się w porozumieniu najlepszym.

Pani Znińska odprowadziła go do progu, Grzybowicz wyszedł ocierając pot z czoła, zadumany i z oczy-

ma w dół spuszczone. Byłby w prost wsiadł do swojej dorożki, gdyby czatujący nań Burgrabia, nie odciągnął go w drugą stronę.

— Na chwileczkę — rzekł otwierając drzwi swoje.

Na stoliku pokrytym serwetką kolorową, stała flaszeczka korkiem na sznurku przymocowanym zatknięta, obok niej chleb masło i ser szwajcarski.

Prozorowicz zapraszał na przekąskę, nie godziło mu się odmówić.

— Cóż Marszałkowa? zapytał.

— To mówi czegom się spodziewał — rzekł adwokat — słyszeć o małżeństwie nie chce...

— Tak — więc co? zapytał Prozorowicz — nie małżeństwo ale wszeteczeństwo... Z pieca na łeb. A ja powiadam, jeden tylko sposób na to...

Tu się w piersi uderzył.

— Klin Klinem...

Mimowoli uśmiechnął się Grzybowicz.

— W ręce pańskie.

I wypili po kieliszku starki, a po niej wzięwszy się do sera i masła, po cichu gwarzyć między sobą poufale zaczęli.

Kilka dni upłynęło bez widocznej w położeniu zmiany. Strony wojujące zdawały się mierzyć swe siły i zbierać środki z którymi przeciwko sobie wystąpić miały. Grzybowicz był niesłychanie czynny. Fantekci nigdzie się nie pokazywał z domu i zabierał się do wyjazdu, Marszałkowa siedziała zamknięta...

Mówiono że pani Rumińska nie radząc się nikogo, zabrała jednego dnia przyjaciółkę swą, i pojechała z nią do naczelnej władzy duchownej, że z tamąd wychodząc obie panie tak były pomieszane i widocznie przerażone, że za ledwie do powozu trafić mogły... Rumińska płakała, Seweryna oczy miała zaiskrzone i gniewne.

Tegoż wieczora pan Bernard który codziennie na herbatę do pani Balbiny uczęszczał, został bardzo jakoś źle przyjęty... Obie panie były milczące i gniewne.

Seweryna dwa czy trzy razy wychodziła z salonu, a Rumińska na bok wzięwszy młodzieńca, bardzo

grzecznie ale stanowczo prosiła go, ażeby nie zbyt często do domu jej przychodził.

— Pan się tylko postaw w mojej pozycyi, rzekła— co to ludzie powiedzą, gdy ja państwu wieczorne schadzki w moim domu będę ułatwiać, nim się rozvodu doprosimy... Jak mnie wezmą złe języki na fundusz, noga u mnie nie postanie.

— Ale miejże pani litość nade mną! ręce składając zawołał Bernard — w mojem położeniu to jedyna pomociecha gdy ją ujrzeć, gdy z nią słówko zamienić mogę. Jakże ja wyżyję...

— Wszystko to prawda, rzekła Rumińska, ale i nademną litość państwo miejcie... Zresztą Seweryna sama uzna...

Tu z drugiego pokoju poczęła wołać przyjaciółki.

— Sewerynko, moja droga— rozsądź naszą sprawę.

Nadchmurzona, smutna wyszła z drugiego pokoju piękna pani. Nie była to już dziś ta namiętna, rozkochana Seweryna, której uścisk jedyny, pierwszy i ostatni, czuł jeszcze biedny Bernard — ale kobieta, znękana, znudzona, wystraszona, prawie obojętnie patrząca na swą nieszczęśliwą ofiarę — Bernard stał jak winowajca.

Rumińska ustąpiła zostawiając ich we dwoje... Bernard chciwie rękę po dłoń jej wyciągnął. Podano mu ją z wahaniem się jakimś...

— Na Boga— aniele mój! zawołał — tyleśmy przecierpieli! mamyż tak pozostać w tem położeniu dziwnem, zbliżeni a rozdzieleni. Pani Rumińska z domu

mnie wypęda... ty—nie mówisz nic. Rzućmy wszystko — zapomnijmy o ludziach, o świecie, jedźmy ztąd, skryjmy się gdzie chcesz... bądźmy szczęśliwi.

Seweryna słuchała obojętnie... roztargniona, Bernard mówił dalej.

— Nie mamy nadziei ażeby się to zmieniło — po cóż czekać? uciekajmy! jedź ze mną... jutro — dziś...

— Nie mogę, nie mogę — słabym głosem odpowiedziała kobieta — trzeba rozwodu. Taki krok pogorszyłby położenie, zniechęcił więcej jeszcze Matkę twoją... Fanteczki się zgadza na rozwód, to prawnik, musi się postarać, weźmiemy ślub, a naówczas pójdę z tobą na koniec świata.

Bernard słuchał jakby nie rozumiejąc — wyrwało mu się wrześnie:

— A! ty mnie nie kochasz.

Oczy Seweryny błysnęły.

— Tyś niewdzięczny! odparła — małoż poświęciłam dla ciebie? Widzisz że cierpię.

Bernard zamilkł.

— Więc nawet widzieć cię nie będę miał prawa?

Seweryna odwróciła się do stojącej opodal przyjaciółki.

— Balbinu—rzekła—chodź i sądz sprawę naszą.

— Nie potrzebujecie mi jej wnosić, znam ją, weselej nieco podchwyciła gospodyni. Wyrok mój dla obojga będzie może przykry, ale mi go dyktuje wasz własny interes. Nie powiadam ażeby pan Bernard nie bywał... ale niech nie przychodzi co wieczór i nie bawi do nocy...

Szepnęła pocichu do ucha przyjaciółce. Możecie po pięć razy na dzień pisywać do siebie, a jesteście co rozkoszniejszego nad taką korespondencyę.

Bernard dopuszczony do ucałowania ręki, wyprosiwszy sobie kilka odwiedzin w tygodniu, musiał wyjść wielce zasmucony... Tego rygoryzmu gospodyni nie pojmował wcale i nie rozumiał ażeby się jeszcze z opinią ludzi rachować potrzebowali.

Wezbrany zalem podzieliwszy się nazajutrz z Grzybowiczem, usłyszał od niego potwierdzenie tej konieczności, aby się od nazbyt częstych odwiedzin wstrzymywał.

Bytność pani Seweryny w domu wdowy i tak już wszystkich prawie od niej odstręczyła.

Uległ pan Bernard konieczności, lecz miłość jego zamiast ostygnąć zwiększyła się tem jeszcze. Pół dnia siedział nad stolikiem i pisał listy, których pani Seweryna czytać nie miała czasu. Na niej wrażenie tej zmiany w losie, widoczniejszem było daleko niż na Bernardzie. Chwilami można ją było posadzić iż kroku uczynionego żałować poczyniała.

Bernard był zawsze jeszcze dla niej aniołem, lecz niektóre wady łagodnego charakteru młodzieńca, teraz ją dopiero uderzały. Nieco szyderskie i sceptyczne usposobienie pani Balbiny, w ciągłym pożyciu z nią, oddziaływało zwolna na towarzyszkę. Seweryna jakoś inaczej zaczynała na świat patrzeć, niż w samotności swej wiejskiej nawykła.

Wdowa nie ujmowała zalet aniołowi, znajdowała go aż nadto pięknym, lecz na mężczyznę za mało

Klin Klinem.

7

energicznym. Nie tała tego bynajmniej przed przyjaciołką.

— Trochę jeszcze dzieciak... mówiła! dobre to z kośćcami, i śliczne żeby go się całusami zjeść chciało, ale — dla mnie, byłby za monotonnym. On by mnie znudził.

Zamiast go bronić Seweryna milczała.

Narzekła ze swej strony, że znając wielką miłość Matki dla jedynaka, zawiodła się mocno na jej sercu i nie spodziewała tak niezłomnego oporu. Przestraszało ją to, że Marszałkowa nie ustępowała.

— Ja mu ufam, ja go kocham nad życie—mówiła —on mnie nie opuści—ale ta Matka! Ona oboje nas głodem umorzy. Z czego my żyć będziemy.

Bernard nigdy o tem nie pomyślał, dla niego *une chaumière et son coeur* w najściślejszem wyrazów tych znaczeniu, było prawdą. Pragnął u nóg swojego bóstwa spędzić życie, choćby o chlebie i wodzie.

W kilka dni po przybyciu swem do Żytomierza, nie ukazawszy się nigdzie oprócz kościoła i dziedzińca katedralnego, gdzie ranną oddała wizytę — Marszałkowa wyjechała nazad do Stadnicy. Nazajutrz dowiedział się o tem Bernard.

Stary Prozorowicz, który go niegdyś na kolanach wykołysał, który do niego jak do własnego dziecka był przywiązany — ciągnął go ku sobie. Dopóki tam była Matka nie mógł ani pomyśleć się z nim widzieć teraz zapragnął koniecznie zobaczyć się, pomówić i—jeżeli można zyskać go sobie. Burgrabia, jak mu się zdawało, mógł być wielce pomocnym, ja-

ko pośrednik do Matki, może jako litościwy kapitalista.

Zdaje się że Prozorowicz ze swej strony, spodziewał się i przeczuwał odwiedziny Bernarda, że się do nich sam przygotował i żonie dał instrukcyę, jak się w danym wypadku znaleźć miała. Po wyjeździe Marszałkowej, choć chłodne już dnie nastąpiły, godzinami stał w ganku, poglądając ku miasteczku. Czynny był zresztą wielce, chodził wiele i wywiadywał się, i w humorze jego wielkiego strapienia widać nie było.

Trzeciego dnia po wyjeździe — stał w ganku i spoglądał ku miastu, gdy w dali ukazała mu się postać, którą ze wzrostu i ruchów poznał, niemogąc dojrzeć jeszcze rysów Bernarda. Piękny młodzian złotowłosy, trzymał się zawsze bardzo prosto, chód miał zręczny i żywy, omylić się nie było podobna, bo dwóch tak pięknych i szlachetnie wyglądających w mieście nie było.

Ubierał się przytem nadzwyczaj starannie i miał pewien oryginalny sposób noszenia kapelusza, sobie właściwy, cylinder — to najobrzydliwsze ze wszystkich nakryć głowy, jakie się ludziom wynaleść udało, najnielogiczniejsze i najniwygodniejsze, cylinder u niego siedział na włosach jakoś tak zręcznie i swobodnie, choć nie na bakier, że się stawał znośnym.

Poznawszy kochanego panicza, Prozorowicz, zamiast nań oczekiwać w ganku, umknął natychmiast do pokoju, i żonę popędziwszy do krosienek, bo i ona go już przez okno dostrzegła, sam siadł, w niedostat-

ku innej lektury nad kalendarzem Berdyczowskim, udając wielce w nim zatopionego.

Bernard już mignął przed oknami dworku, a nikt nie ruszył się na jego przybycie — nareszcie drzwi się otwały i nieśmiało przekroczył próg. Prozorowicz jakby go dopiero zobaczył, wstał z wielkim pośpiechem na powitanie.

Marszałkowicz był zmieszany, widocznie nie pewien jak go tu przyjmą, twarz pełna współczucia staro Burgrabiego, uspokoiła go.

— Drogiego pana mojego!—zawołał...

Poskoczyła i Burgrabina z drugiej strony z wielką czułością.

Bernard nie wiedział od czego zaczynać — bał się staroego.

— Dziękuję kochanemu Prozorowiczowi że mnie choć przyjmuje — rzekł — mogłem się spodziewać że mnie już na próg tego domku stąpić nie będzie wolno.

— Do nas, pan Marszałkowicz zawsze i drzwi i serca znajdzie otwarte... zawołał Burgrabia... My się tam do innych spraw nie mieszamy...

— A! mój drogi panie Prozorowicz, wszak wiesz wszystko? Szczęście i nieszczęście moje — Mama...

Prozorowicz minę zrobił neutralną.

— Widzi pan, rzekł, starzy na te okoliczności zapatrują się inaczej niż młodzi — to darmo.

— A wy! spytał Bernard — i wy mnie potępiacie? Burgrabia się zamyślił.

— Ja — nie — ja mam szczerę dla pana współczucie — odparł — nieba bym mu przychylił, — samemu się też młodym było... Krew nie woda!

Tu spojrzął znacząco na żonę, która powoli mopsa z sobą prowadząc wyszła z pokoju.

— Niechno pan siada — dodał — proszę pana Marszałkowicza.

Bernardowi to przyjęcie uprzejme otworzyło serce, Prozorowicz, który — niemal do rodziny należał — mógł mu być pomocnym wielce — wyciągnął więc rękę ku niemu.

— Kochany Burgrabio — rzekł z uczuciem, obejmując się że zostali sami — radź ty mi! Znasz Mamę, — wiesz moje położenie, bo już ci ludzie o tem mówić musieli — co tu czynić?

Co czynić!

I ręce załamał.

Prozorowicz jak żółw w skorupę, schował nieco głowę w kołnierz od kapoty, przechylił ją, ręce rozpostarł.

— Trudna bo to rada z naszą Marszałkową, rzekł, bardzo trudna — a widzi kochany pan Bernard, krzywo sprawa stoi. Kobieta mężatka, rozwód, gadanina... ludzie — języki.

Wziął się za głowę. — Marszałkowa taka surowa w tych sprawach, pan wie... Cośmy się to naprosili o Paciorkowskiego, którego tylko raz przydybała że oknem do garderoby zaglądał, a tak, za to, tylko za to, że o mroku chadzał pod okna pańien, dostał dy-misyę.

Bernard głowę spuścił.

— Ale ja tę kobietę kocham, ona mnie, ja ją nad życie kocham... pan Burgrabia nie wiesz...

Prozorowicz nie dał mu dokończyć.

— To ja wiem wszystko... to jest, tak jakbym wiedział. Miłość być musi okrutna kiedyście państwo oboje dla niej tak szalony krok zrobili.

— Matka się przekona — ja zniosę dla niej wszystko: głód, nędzę...

— I to ja wiem — przerwał Burgrabia byle tylko ona ze swej strony równie była wytrzymałą.

— To anioł! krzyknął Bernard.

— A no! niech i tak będzie — anioł, ale głodny i bez sukienki nie wytrwa on długo...

— Ona mnie kocha!

— A czemużby takiego jak wy kawalera kochać nie miała! zawołał Prozorowicz — dziwowałbym się żeby inaczej było.

Zamilkli oba. Prozorowicz ręce włożył w kieszenie od kapoty i chodzić zaczął zamyślony.

— Ja oto szukam środków, żeby jak zmiękczyć panią Marszałkową — rzekł cicho.

— Wybyście sami przyczynić się mogli.

— Ale! gdzie zaś, zawołał Burgrabia — ja! alboż nie próbowałem! Tylkom się na burę naraził. Tu trzeba kogoś innego, coby umiał sprawę serdeczną poprowadzić delikatnie a umiejętnie.

Nagle zwrócił się, jakby jasna myśl głowę mu opromieniła.

— A gdyby panna Anzelma?!

Bernard nie dał znaku życia...

— Jak to! spytał obojętnie — panna Anzelma...?

— A no! ja już wiem co mówię, ale trzebaby rady mojej posłuchać jak doktorskiej, punkt w punkt się jej trzymając...

Złożył rękę misternie... i popatrzał na zdziwionego Bernarda.

— Niech mnie pan posłucha dobrze, z uwagą, i przyrzecze — punkt w punkt...

Marszałkowicz patrzył coraz bardziej zdumiony — Burgrabia usiadł przy nim.

— Wysłuchajcie mnie z uwagą — począł — panna Anzelma jest najbliższą krewną waszą, można powiedzieć niemal żeście się państwo wychowywali razem, dopóki Ciocia Turska jej nie wzięła i nie zajęła się dokończeniem edukacji... Pan jesteś z nią jak z siostrą.

— Tak, ale ona od lat trzech wychowywała się za granicą i ja jej nie widywałem wcale — w tym wieku kobiety się tak zmieniają, że nie wiem czybym ją poznał.

Rozśmiał się Prozorowicz.

— Ale!... poznasz ją pan... i ona pana — Anzelmę nasza pani kocha jak córkę... przez nią można dokażać rzeczy nadzwyczajnych!!!

— Ale to dziecko! zawołał Bernard.

— Pięknę dziecko lat blisko osiemnaście...

Bernard ramionami ruszył.

— Przecież panience takiej młodej w taką sprawę nawet się wdawać nie wypada... i cóż ona może...

— A kiedy Marszałkowicz wyrokujesz niechęć mnie wysłuchać — rzekł urażony Prozorowicz. Racz pan mnie posłuchać... Pannie Anzelmie nie trzeba mówić nic, nie trzeba jej o to prosić... Ona i Ciocia Turska jak pana będą widywały często, jak poznają żeś pan nieszczęśliwy, cierpiący, jak Marszałkowicz zyszczesz sobie protektorę w Turskiej... zobaczysz! nawrócą i Mamę, kobiety jak farmazony, mosanie — między sobą najlepiej wiedzą jak do siebie przemówić.

Uchowaj Boże ażebyś pan rozwodził przed niemi żale... to nawet nie wypada... ale trzeba bywać, zbliżyć się, nadskakiwać — a reszta sama przyjdzie.

Prozorowicz silił się na te argumenta, choć widać było że sam pono w ich siłę nie wierzył i że one mu tylko — tak, na coś były potrzebne. Bernard słu-chał go, bo tonący brzytwy się chwytła.

— Mój kochany Burgrabio gdzież Anzelma i Turska, na wsi?

— Nie — tu — tu na całą zimę najęły mieszkanie, bo jeszcze pannie Anzelmie coś do muzyki braknie i chce tu brać lekcye... Turska tu i ona! Juścić samo pokrewieństwo choć dalekie, i stosunki nakazują tam nietylko być, ale bywać i to często — często..

Przez Turskę i pannę Anzelmę skruszymy Mamę — zobaczycie...

Niedowierzająco jakoś słuchał Bernard, ale się nie sprzeciwiał...

Spytał o mieszkanie Anzelmy i pani Turskiej — a potem nieśmiało rzucił pytanie, czy one z panią Balbiną Rumińską się nie znały...

Prozorowicz głową potrząsał...

— E! rzekł, o tej znajomości nie ma co i mówić — dziś z Rumińską nie pozna się nikt, z powodu że tam pani Fantecka mieszka, a do tej się nikt nie zbliży póki rozwodu nie będzie.

Mówili tak długo jeszcze. Prozorowicz wracał uparcie do swej myśli, iż nie było rady tylko zyskać panią Turską i pannę Anzelmę. Bernard zwolna dał się zyskać dla tej myśli i przyjął ją.

— A już ja ręczę — że powoli się wszystko ku lepszemu obróci — zakończył Burgrabia...

Zamyślony, po blisko godzinnej rozmowie, wyszedł ztąd Bernard i powróciwszy do mieszkania, ponieważ tego dnia nie miał pozwolenia bóstwa swojego oglądać, postanowił wieczorem odwiedzić panią Turską i kuzynkę Anzelmę. Ubrał się cały czarno, co mu do jego złotych włosów ślicznie przypadało i — przybrawszy postać żałobną — poszedł do wskazanego sobie domu.

Panna Anzelma, jak mówił Burgrabia — wychowała się niegdyś w domu Marszałkowej. Była to sierota, którą oboje rodzice obumarli w dzieciństwie; dziedziczka znacznego majątku; śliczne dziecko, którem się nie było komu zająć, dopóki pani Turska, krewna też Marszałkowej i panny Anzelmy, miała własne dziecko... Marszałkowa zajęta synem i jego wychowaniem, nie sądziła by podołać mogła zajęciu

się losem sieroty. — Miała już lat około trzynastu panienka, gdy ciocia Turska, której dzieci poumierają, zaofiarowała się wziąć ją jakby za własną córkę...

Długo Anzelmka nie mogła się oswoić z myślą porzucenia Stadnicy, przybranej pierwszej matki — i tego domu, który za rodzicielski uważać była nawykła. Ale miła, dobra, przywiązująca się i bardzo zręczna ciocia Turska potrafiła ją sobie pozyskać. Pojechała więc z nią i odtąd była z nią razem w kraju i za granicą, pod jej okiem spędziwszy pięć lat tych, w których się dusza młoda rozbudza do życia.

Anzelmka gdy opuszczała Stadnicę i żegnała braciszka Bernardka, którego imię wymawiała trochę dziwnie, bo żadnego *r*, nigdy dobitnie i wyraźnie nie umiała wymówić — zastępując je miększym *hh*, — była już bardzo miłą i ładniuchną dziewczeczką. Oczki miała czarne, ciekawie patrzące, jakby zdumione zawsze i nastraszone, buzię do zbytku malutką i niby ściągniętą... czoło zamyślane... Zwykle miewała minkę poważną, ale gdy ją co dobrze rozśmieszyło, z tego posępnego buziaka nagle wyrwał się śmiech dzwięczący jak piosenka.

Staranne wychowanie pani Turskiej, niepospolitych darów umysłu i przebiegłości wielkiej kobiety, zrobiło z Anzelmki cado. Wyrosła śliczną, rozumną i pełną nieopisanego wdzięku...

Pani Turska, która podobno żyła w młodości z dosyć burzliwemi pasując się losami, dotknięta nie jednym zawodem i boleścią wyniosła z przeszłości za-

pas doświadczenia wielki i pogląd na świat chłodny, niezblągany, ale trzeźwy i sprawiedliwy.

Była to osoba teraz już pięćdziesięcioletnia blisko, ale zdrowa, silna, świeża, mimo doznanych cierpień temperamentu żywego i wesołego. Straciwszy własne dzieci, owdowiawszy wcześniej po raz drugi, przywiązała się do Anzelmki jak do córki, — wychowawca też odpłacała jej wzajemnością.

Turska z Marszałkową były w najczulszej przyjaźni, choć się ich charaktery na pozór nie godziły. Pani Znińska była surową, poważną, nieco w sobie zamkniętą i zasad niewzruszonych. Turska wesołą, otwartą (ale z pomiarkowaniem) — pobłażającą wielce i nie biorącą małych rzeczy za zbyt ważne. Przeciwnie starała się raczej zmniejszać rozmiary i znaczenie tego co ją i drugich spotykało. Te dwa charaktery różne niby, doskonale z sobą harmonizowały.

W czasie terażniejszego pobytu w mieście, Marszałkowa z Turską, po dwa razy na dzień się widywały, biedna Matka potrzebowała na łono przyjaźniółki wylać swój ból i trwogę. Anzelmce ukryto nie szczęśliwy krok Bernardka...

Zgryzła się pani Turska także, chociaż nierównie mniej tragicznie to wzięła niż Marszałkowa, starała się jej dodać męztwa i pocieszyć. Tajemnym planem i najulubieńszą myślą pani Turskiej było zawsze Bernardka z Anzelmą ożenić... Marszałkowa ani przyjmowała jej, ani odrzucała. Kochała Anzelmę, ale nie chciała synowi radzić ni odradzać, gdzie szło

o stanowczy krok w życiu. Opór jaki mu stawiała z powodu pani Fanteckiej pochodził ztąd, że rozwód uważała za bezprawie, zerwanie węzłów małżeńskich za występki... a kobietę płochą, za nieszczęście dla domu, dla przyszłości syna.

Przybywszy do miasta Marszałkowa poruszyła wszystkie sprężyny, wszelkie wpływy ażeby rozwodowi przeszkodzić. Otrzymała też zapewnienie od władzy duchownej iż w najostateczniejszym razie, chyba seperacya tylko nastąpić może.

Turska chodziła jak przybita zachwianiem tego, co jako najmilszą nadzieję swą pieścić była nawykła.

Zdawało się jej że Anzelmka z nikim nie może być szczęśliwą tylko z *Behhnaahdkiem*, i nigdzie indziej jak w Stadnicy, gdzie pierwsze lata dzieciństwa spędziła...

Wszystko to rozbijało się o tę nieszczęśliwą, a jak ona zwała, głupią miłość młodego chłopca, dla tej awanturnicy.

Anzelmka nie wiedziała o niczem, a nawet o tem że *Behhnaahdek*, którego niecierpliwa była zobaczyć po trzech latach rozstania, znajdował się w mieście.

Taki był stan rzeczy, gdy po wyjściu ze dworku Marszałkowicza, Burgrabia co najspieszniej wdział nową kapotę, porwał kij i czapkę i pobiegł do pani Turskiej. Zadyszał się biegnąc stary. Właśnie śniadanie podawano gdy nadszedł; lokaje go wpuścić nie chcieli, ale się wdarł przebojem...

Pani Turska zobaczywszy go, aż krzyknęła z podziwu, bo nie widziała go dawno, a z miny domyśliła

się że w odwiedziny darmo nie przyszedł. Ona i Anzelmka miały rozpocząć śniadanie, gdy się zjawił. Zaproszono go na nie.

— Bardzo pani Chorążyni dziękuję, odezwał się Prozorowicz (bo tak ją, tytułowano po drugim mężu) — ale ja tu wódki nie widzę i tej pewnie w całym domu nie ma... a przytem mam interes pilny do Chorążyni.

— Wódki u nas nie ma — rozśmiała się pani Turska, ale dobrego wina kieliszek się znajdzie, bośmy zagranicą do niego nawykły. Wypij, zakąś, potem, my też długo nie zajadamy. Anzelmka siądzie do fortepianu, a ja z panem pójdę pomówić.

Domyślała się łatwo że iść musiało o sprawy Stadnickie. Anzelmka nakładła na talerz staremu co było, poprzysuwała mu potrawy, uśmiechnęła się i Prozorowicz wypił wino, zjadł, a nawet się rozchmurzył. Namówiono go na drugi wina kieliszek, protestował jak zwyczajnie — czy nie będzie za wiele, jednak wypił. Turska, której było pilno, dokończyła śniadania prędko, i gdy w salonie rozlegały się dźwięki fortepianu, poszli do gabinetu na rozmowę. Burgrabia był wielce ożywiony.

— A wie pani Chorążyna co mnie tu sprowadziło...

— A! już ty mi nie mów — przerwała, pewnie o Bernardka idzie i o moją kochaną Marszałkową.

— Tak, ale pani nie zgadnie o co i jak... Niechno Chorążyna posłucha. Chłopcu się tak zgubić dać nie można, ale chcąc go ratować, trzeba umieć...

Uderzył się palcem w czoło...

— Ja mam sposób... Krótko, węzłowato wyper-swadowałem mu, że dla przebłagania Matki, nie ma jak sobie panią pozyskać i Anzelmkę... ale — zważ no, Chorążyno... chytró postąpiłem. Nie o to mi idzie wcale abyście się za nim wstawiały, lecz żeby się zbliżył znowu do Anzelmki... E! e! zobaczy pani... to mój system! Klin klinem! jak Boga kocham. Niech się to tylko pociągnie — z pomocą Bożą i ludzką, wy-ratujemy go i z Anzelmką ożenimy.

Turska zawołała.

— Człowiecze! co mówisz! i o małego mu się na ramiona nie rzuciła. Burgrabia ją pocałował w rękę.

— Dobrodziejko! Chorążyno — my dwoje starych weźmy się za ręce — a zobaczycie, że — klin klinem wybijemy!

Śmiała ta myśl dosyć się podobała Chorążynie. Burgrabia oznajmił jej że już, (tak się wyrażał) Bernardka nabechtał aby jak najczęściej bywał u pani Turskiej.

— Pani Chorążynie dobrodziejce — w ręce go oddaję — dodał — nie może być żeby ta świeża, śliczna, niewinna panienczka, która go już kocha jak brata, nie odniosła zwycięstwa nad fertyczną tam jakąś panią Fantecką.

Tę wiarę w potęgę panny Anzelmmy nie zupełnie podzielała pani Turska, lecz sama myśl tak się jej uśmiechała, że nad skutecznieniem jej pracować była gotową. Rozeszli się tedy radzi z siebie, a na twa-

rzy cioci Turskiej tak widocznem było rozpromienienie, że u obiadu Anzelmka je spostrzegła.

— Ciocia była przez kilka dni czegoś taka zbiedzona, że aż mi jej żal było... przecież dziś, musiał Prozorowicz przynieść jakąś dobrą nowinkę, bo widzę promyk na czole... kocham za to Burgrabiego.

Turska pocałowała ją w czoło...

-- A wiesz, rzekła — że i to mnie trochę rozweśliło, bom się dowiedziała że Bernard tu przyjechał — pewnie u nas będzie.

Dziewczę się zarumieniło...

— A! to doskonale! zawołała — takam ciekawa jak wyrósł na poważnego człowieka. Ale, na miły Bóg, ciociu, co ja włożę ażeby mu się wydać starszą.. Trzy lata temu miał mnie za dziecko... chcę mu się teraz pokazać... w całej dojrzałości mojej. Mówiono o Bernardzie do wieczora. Anzelmka ubrała się w suknię czarną, a której że kobiecie w czarnem nie pięknie? Przypięła tylko na usilne proźby Cioci kokardki pąsowe... Obie miały nadzieję że Bernasia zobaczą. Przygotowano się z herbatą.

Gdy w przedpokoju usłyszano kogoś przybywającego, Anzelmka się cała zarumieniła. Nie omyliło ją przeczucie; wszedł Bernard, ale blade, smutny i tak jakoś wyglądający onieśmielonym a biednym, że się Anzelmka nastraszyła. Ciocia Turska wzięła go zaraz na stronę.

— Kochany panie Bernardzie, o tej twojej nieszczęśliwej awanturze przed Anzelmką — ani słowa; zaklinam. Ona nie wie i wiedzieć nie powinna.

Bernardowi trudno było bardzo nie mówić wcale o tem czem żył i co mu brzemieniem wielkiem na sercu leżało — ale musiał być posłusznym.

Siedli więc, jak za dawnych czasów do rozmowy o Stadnicy, o dziejach przeszłości, o sobie.

Bernard zdumiony był równie pięknnością kuzynki, którą nazywał siostrzyczką, jak ona jego bladością i smutkiem. Anzelmka nie zmieniała mu się nic a nic, ale rozkwitła, dojrzała była w całym blasku dziewczycym. On, wydał się jej zestarzałym i czegoś tak nieszczęśliwym, iż serdeczne w niej obudził współczucie. Turska z wielką zręcznością zajmąwszy się gospodarstwem, niby przypadkiem zostawiła ich — trochę samych.

— Czy Bernardek — a raczej pan Behnhahhd nie chory? zapytała kuzynka. Czego jesteś tak miżerny i taki smutny?

Nie mogąc się przyznać do prawdziwej przyczyny smutku, Marszałkowiec odpowiedział ni to ni owo. Anzelmka zaczęła go bawić tem co ją bawiło samą — muzyką, nowościami książkowemi, wspomnieniami krajów po których z Ciocią podróżowała i w których przebywała... Bernard słuchał, ale myślą był gdzie indziej.

Jednakże to szczebiotanie, ten głosik który mu szczęśliwsze lata przypominał, tak żywo poruszył go i rozrzewnił... Anzelmkę uderzało iż wszystko, nawet najweselsze myśli, w nim się odbijały jakąś tęsknotą i zwątpieniem.

— E, panie Bernardzie — zawołała w końcu — ja pana takim zamyślonym i smutnym nie lubię... Musiałeś się tu sam jeden znudzić... tu słyszę nie ma towarzystwa.. ja pana biorę w kontrybucyę... i rozruszam...

Nieprawda Ciociu — my pana Bernarda musimy z tej melancholii uleczyć...

— Koniecznie — dodała Turska — ale na to potrzeba kuracyi bardzo ścisłej... i codziennego oglądania pacyenta. My tu także tak jak same, bo do nas mało kto przychodzi... Więc proszę, jak najczęściej.

— Co najmniej dwa razy na dzień! podchwyciła Anzelma — a tak!

Bernard się uśmiechnął, wymawiając się jakimiś interesami.

— Ale jakież kuzynek możesz mieć interesa... jeśli jakie są — to Prozorowicz je ułatwi.

Chociaż zawsze zamyślony i nie swój, Bernard pod wpływem wesołego humoru Cioci Turskiej i ożywienia Anzelmy, trochę o swoim cierpieniu zapomniał.

W jakimś przestanku, Turska od niechcienia, zwróciła jego uwagę na Anzelmkę, że tak wypiękniała i tak się stała wdzięczną i miłą. Wszystko to Bernard przyznał chętnie. Wieczór zszedł mu nadspodziewanie prędko i daleko lżej niż na samotnem narzekaniu i pisaniu listów do Seweryny... która na długie jego poetyczne posłania, odpowiadała

Klin Klinem.

8

rzadko krótkimi, od niechcienia nakreślonymi kilką słowami.

Zaproszony na jutro, Bernard wyszedł wprost do domu. Wieczór był już późny... Droga mu wypadła do mieszkania nie koniecznie około dworku pani Rumińskiej, skierował się jednak umyślnie tamtędy, aby choć powietrzem tej uliczki odetchnąć przy której żyło bóstwo jego. Okiennice były jeszcze niepozamykane, światło widać było w oknach. Bernard dobrawszy sobie szparę w parkanie, mógł dojrzeć w salonie pani Balbiny zebrane towarzystwo, między innymi Grzybowicza, żywo i z zajęciem rozmawiającego z jego panią. Pani Seweryna twarz miała wypogodzoną, tryumfującą i wcale się nie zdawała strapioną i smętną — z powodu oddalenia Bernarda. Tęsknoty nie widać było na jej anielskim obliczu, śmiała się zębami białymi do adwokata.

Zazdrość trochę ścisnęła mu serce ale wprędce uczuł się winnym, niesprawiedliwym i śmielszym. Poszedł więc odrywając oczy od tego widoku, do siebie i tam siadł zaraz pisać do... Niej.

Urywek tego listu najlepiej stan ducha jego odmaluje...

12 w nocy.

— Wracam drżący do tego pustego mieszkania do tej klatki samotnej... oczy mam jeszcze ożywione twoim obrazem. Widziałem cię... podkradłem się aby się napaść widokiem twojego anielskiego

oblicza. I widziałem je jak się śmiało wesołe, obojętnemu jakiemuś człowiekowi, w chwili gdy mnie się krwawemi łzami płakać chciało.

O mój aniele... jakże to nieprzeżyte długie, wiekowe są te dni, w których ja widzieć ciebie i z tobą być nie mogę. Nie! ty tego jak ja nie czujesz, ty, jak ja nie tęsknisz, ty, jak ja, nie kochasz. Ale i ta jałmużna serca, jaką mi dajesz starczy dla mnie i szczęścia mojego, któż wie? gdybyś więcej mi go dała, czybym je mógł przeżyć! Ja szaleję gdy myślę o tobie... a nie myśleć nie mogę...

Sewerynko... aniele mój! do jutra... Godziny, minuty, sekundy liczyć będę; padam u stóp twych!! i t. d.

W tym tonie, przez cztery stronnice, lirykę wyśpiewał miłosną pan Bernard i nie było mu tego dosyć, dołożył jeszcze pół ćwiartki nie wypisawszy swej duszy... zawsze znajdując że mu coś nadzwyczaj pilnego i ważnego do powiedzenia pozostawało.

Męczył się słodko biedny młodzieniec, gdy tym czasem na miłość jego zewsząd czyhały zasadzki. Najstraszniejsze groziły mu ze strony Prozorowicza, który raz wpadłszy na tę myśl, że klin klinem wybić trzeba było, o rozmaitego rodzaju kliny się starał. Prozorowicz chociaż nie zajmował się urzędownie ani interesami Stadnicy, ani żadnemi innemi, choć prawnikiem nie był, miał tę starą szlachecką znajomość prawa, bez której dawniej nikt się nie obchodził. Obywatele ze wsi, gdy kogoś trzeba było coby interesów sumiennie i gorliwie dopilnować — mijając adwokatów z powołania, udawali się do Prozorowicza.

Misyą jego było nudzić i dokuczać. Spełniał to tak sumiennie iż wiele spraw nieraz przyspieszono dla tego tylko ażeby się go pozbyć. W razie pilnym chodził po sześć razy na dzień, siadywał godzinami, łapał ludzi na ulicy, a czatował na nich w ganku. Była to najstraszniejsza egzekucya w świecie. Brał sobie za punkt honoru dojadać tak, że sam widok jego przerażał tych, co mu na pastwę dani byli.

W prawdzie poczciwy starowina nie miał nic więcej do roboty, nad amatorskie owo dopilnowanie spraw mu powierzonych i łagodne sprzeczki z jejmością, która zaczynając płakać rozbrajała go natychmiast, po czem następowała najczulsza zgoda i miłość.

Do Prozorowicza z prośbą o dopilnowanie interesów udawali się najrozmaitsi ludzie, a obywatelstwo na okół, aż po za Berdyczów i Dubno znało go i kochało. Otrzymywał za te małe przysługi, zające, sarny, powidła i inne tego rodzaju podarki, które jejmością spiżarnię zaopatrywały.

Dnia tego właśnie gdy od Cioci Turskiej powrócił Prozorowicz, jeszcze do domu nie doszedł, gdy zobaczył spiesznym krokiem ku dworkowi dążącego mężczyznę młodego, zwracającego na siebie oczy przechodniów. Był to znajomy mu dobrze pan Pius Solecki. Historia tego człowieka dosyć ciekawa, znaną była dobrze Prozorowiczowi, w którego oczach wyszedł cudem na człowieka. Początki jego były nader skromne, sierota ubożuchny, acz prawdopodobnie szlachcic, chodził do połowy szkół czyszcząc buty paniczom.

Z naukami szło mu tępo, od trzeciej więc klasy począł się starać o kondycją i poszedł w Czudnowszczyźnie gdzieś służyć za pisarza. Tu go wojującego z dziurawemi butami i niecałym surdudem, spotkało całkiem niespodziane szczęście. Jakiś Solecki w Owruckiem, który się spekulacyami i skąpstwem dorobił olbrzymiej fortuny, a o którym Pius ani wiedział, zmarł bezdzietnie i bez testamentu. Nader zręczny prawnik złapał owego pisarza prowentowego obiecując mu successyę za pewną umówioną kwotę dosyć znaczną. Pius, który butów nie miał, zgodził się na wszystko i prawnik *per fas* i *nefas* dowiódł najbliższego pokrewieństwa, tak że miljonowa fortuna dostała się ubogiemu, jakby z nieba spadła. Prawda to czy nie, ale ludzie utrzymywali, że Pius tak był zręczny iż prawnika małym czemś wykwitował, doszedłszy do majątku.

Taka z dnia na dzień zmiana położenia mogła głowę zawrócić, i w istocie prostaczek nasz upił się swoim szczęściem. Nie dosyć na tem, trzymał na loteryi i wygrał w krótcie potem wielki los, tak, że ludzie zwali go nieinaczej, jak „dzieckiem szczęścia.“

To dziecko szczęścia nie miało teraz lat trzydziestu a wyglądało butno, trochę śmiesznie, zamaszysto i chciało uchodzić za wielkiego człowieka.

Wykształcenia miał pan Pius bardzo mało, ale na sprycie mu nie zbywało, wyglądał więc dosyć pociesznie—ale reputacya oryginała i wielkie pieniądze naprawiały i dosztukowywały co brakło. Niezmiernie próżny Pius chciał uchodzić za potomka znacznej ro-

dziny, za wielkiego pana i za kogoś co ma stosunki w świecie i t. p. Parł się do najpierwszych salonów i dla próżności gotów był choćby najwięcej poświęcić. Strój, mowa, mina, wszystko w nim wydawało nieokrzesanego człowieka, nadrabiającego fantazyą.

Lecz powierzchowność miał dosyć przystojną, twarz nieszpętną—i miliony!! Przyjmowano go więc, ogrywano, śmiano się z niego, a Matki mające na wydaniu córki myślały tylko, czy by z niego nie można przyzwoitego zrobić człowieka.

Robił fortunę! nie był stratny, a tak już bogaty!

W chwili gdy go Prozorowicz zobaczył, szedł wylegantowany jak zwykle... Głowa ufryzowana okryta była cylindrem, który (wedle nie naszego ale Prozorowicza wyrażenia) świecił się jak psu nos — na szyi niebieski krawat spięty ogromną śpilką brylantową, surducik jakiegoś trawiastego koloru, na rękę jednym rękawiczkę prawie czerwoną, a drugą obnażoną dla ukazania massy pierścieni zakrywających całe palce. Laska którą niośł miała gałkę złocistą sadzoną turkusami i rubinami. Nie mówię już o łańcuchu od zegarka z medaljonem olbrzymim i dewizkami drogocennymi. W tym stroju dążył do Burgrabiego, którego zobaczywszy w poprzek ulicę przeszedł aby powitać starego.

— Panie Burgrabio — dobrodzieju! na rany pańskie—ja do was lecę...

— A cóż to pana Piusa prowadzi?

— Ten bestialski interes z żydem o las — toż mi wytnie wszystko jeżeli Pałata nie wyda spiesznie de-

kretu! Na miłość Boga! oddałem sprawę P.... a ten wiersze pisze i literaturę się bawi... dozwolił mnie puścić w trąbę, nie dopilnuje, jeśli wy mu na kark nie wpadniecie... Burgrabio! ratuj!

— Ale ba — przerwał Prozorowicz — oddajcie interesu komu innemu nie poecie.

— Będzie gorzej jeszcze, bo ten choć ślamazarny, przynajmniej uczciwy — a drugi mnie żydowi sprzeda i las przepadnie. Idzie tylko o to żebyście P..... nie dali pokoju.

— Dobry jesteś... albo to mały zachód, będzie mi jeszcze swoje poezye czytał!

— Dla mojej przyjaźni...

To mówiąc Prozorowicz wprowadził go do dworku, Mops zaszczeakał, a mała fertyczna Burgrabina zaczęła witać gościa. Miała zaś słabość do niego, może dla tego że go bez butów niegdyś widziała...

Burgrabiemu coś musiało na myśl przyjść, bo o ile zrazu się opierał niby, potem zaraz złagodniał dla Piusa. No — no, pomówimy o tem, rzekł, siadajcie proszę.

Pius siadł nie kładnąc kapelusza, nie rzucając laski i rozparł się, jak jeden z Marszałków powiatowych którego często widywał... Miał zamiar w tej dziurze u Prozorowiczów zabawić jak najkrócej, ale zrywać się zbytnio nie wypadało.

Burgrabia choć milionowego dziś pana, traktował zawsze jak niegdyś pisarza prowentowego poufale.

— Co się tyczy procesu waszego z żydem, rzekł, i P.... i ja dopilnujemy... bądźcie o to spokojni, ale, powiedzcie no mi, panie Piusie—hm? Pan Bóg fortunę dał, liczko niczego, twarzyczka też, w głowie nie źle, co waść z tem wszystkim robić myślisz? Cóż? tak na *perebendiowaniu* życie strawić? he?

— Jakto? zapytał Pius czerwieniąc się.

— Toż waćpanu lat albo trzydzieści, lub z okładem? hm?

— A no? i co z tego?

— Nie myślisz się żenić? Tożbyś z taką fortuną mógł przecie znaleźć żonkę niczego... i stosunki w świecie zawiązać, gdy teraz sam jesteś jak palec...

— Albo mi to źle! ruszając ramionami! rzekł Pius. Gdyby mi się która bardzo podobała.. a no...

Prozorowicz głową pokiwał. Znał próżność człowieka. Pochodził po pokoju i odwrócił się niby obojętnie.

— Jedna była na całą gubernię piękna co się zowie kobieta... nieszczęśliwa z mężem... którąś waćpan nieuśpieszył mu odmówić... i nasz Marszałkowicz ją zacapi...

— Kto? Fantecka! zawołał Pius — a słyszałem! awantura! awantura! — lecz czy istotnie tak była piękna?

Waćpan nie wierysz? zawołał Burgrabia udając uniesienie—ha! malarze z Włoch przyjeżdżali ją konterfechtować! Mówią że w Europie drugiej takiej nie ma. Fantecki nie wart jej był. Taka żona to się ta-

kiemu jak wy milionowemu należała. Dopierobyś dom otworzywszy całej gubernji zaimponował.

Pius słuchał—w istocie trafiło mu to do przekonania, milczał. Prozorowicz mówił dalej.

— Nasz panicz skromne chłopię... dla niego to lekam się czy nie za wielka pani? Kobieta z gustem... kobieta z głową, a co pierwsza rzecz w kobiecie, że mospanie jakby jaka Wenus piękna!

— Nigdy jej w życiu nie widział—szepnął Pius...

— Choć to już po harapie, ale gdybyś był ciekawym, zajrzyj do pani Rumińskiej, ona słyszę u niej mieszka. Ludzie drzwi oblegają żeby tylko zobaczyć! Każdy wychodzi oczarowany...

— Rumińską to i ja znam... bo i to niczego wdówka, dosyć mi się też podobała — ale tam Grzybowicz częsty gość i pono dobije targu.

— Gdzie? co? Grzybowicz! ona za niego nie pójdzie, zbyt wysoko patrzy... Dla ciekawości samej, gdybym na miejscu waćpana był, poszedłbym to cudo obejrzeć...

Burgrabia począł wszelkimi możliwymi sposobami nabijać głowę tą pięknoscią Piusowi, nastając na to że jemu dla prozopopei takiej właśnie żony było potrzeba... Nieznacznie też w to bił, że choćby nadaremnie wejść w szranki z Marszałkowiczem, Soleckiego by podniosło, a cóż dopiero — odsadzić go!

Próżnemu człowiekowi myśl ta zajechała mocno do głowy. Gdy wpół godziny potem ze dworku wyszedł, zamiast się na wieś wybierać, postanowił zo-

stać jeszcze w mieście i pójść choć zajrzeć do Rumińskiej. Trafem był to właśnie wieczór, gdy Bernardowi znajdować się nie było wolno. Ubrawszy się we wszystkie swe klejnoty, wdziawszy lakierki, najświeższe rękawiczki, ufryzowawszy się, uperfumowawszy o godzinie pół do ósmej, był już u drzwi wdowy.

Pani Rumińska sama nie była od tego ażeby Soleckiego zagarnąć pod swe panowanie... przyjęła go więc dosyć wdzięcznie.

Seweryny w pokoju nie było — nieodstępny tylko Grzybowicz bawił się z małą Julką na boku.

— Nagotuj się pan, szepnęła wdowa — na słońce które tu wkrótce w Saloniku zabłyśnie, będziesz miał honor widzieć u mnie panią Fanteckę... ale to owoc zakazany... bo już ją sobie Bernaś Zniński odkochał. Proszę do niej słodkich oczek nie robić.

Pius się uśmiechnął, ciekawy był okrutnie — zaczął mówić żywo o czem innem, oka jednak ze drzwi nie spuszczał. Pani Seweryna jakkolwiek rozkochana w swoim aniele, w czasie gdy go pod ręką nie miała chętnie przyjmowała hołdy prostych śmiertelników, lubiła kadzidło i wychodziła do saloniku zawsze strojna bardzo i wymuszonego teatralnego wdzięku pełna.

Pius czekał z natężoną ciekawością.

Gospościa potrzebując wyjść na chwilę zostawiła go z Grzybowiczem i Julką, a sama wbiegła do bocznego pokoju do Seweryny.

— Wiesz, serce, zawołała — kto mnie dziś zaszczycił swą bytnością, nie ręcę czy nie przez ciekawość

aby ciebie oglądać — oto nasz Krezus Wołyński, bogacz... pan Pius Solecki. Ba! Za tego wyjść której się uda będzie szczęśliwą. Chłopak nie brzydki, prosty, głupiuchny, da sobą pokierować, familji nie ma (a to także wielka rzecz!) i — milijony! To dobiero Eldorado!

Pobiegła to powiedziawszy — a pani Seweryna, która już miała wychodzić do salonu, wróciła czegoś do zwierciadła jeszcze — spojrzała w nie, czemś ciemnem oczy do koła potarła dla nadania im blasku, poprawiła włosy, narzutkę... i dopiero uznawszy się w całym majestacie wdzięku — powoli wysunęła się do salonu, poważna, smutna — istotnie zachwycająca...

Pan Pius który dotąd najwięcej widywał Ekono mówien różowych na grubych nogach fundamentalnie osadzonych, z rękami jak pracze, zobaczywszy to zjawisko piękne jak widzenie senne — osłupiał. Wstał pomieszany, dał się zaprezentować nie śmiejąc się odezwać — słowem po raz pierwszy w życiu miał jakieś niby objaśnienie ideału...

W duszy sobie powiedział językiem ex-pisarza prowentowego. A! niech że ją czarci porwą, jaka piękna!! Oka z niej nie mógł spuścić.

Która kobieta nie wie o wrażeniu jakie czyni? Pani Fanteckiej podobał się ten wyraz bałwochwalczej czolobitności, który trochę głupowata twarz Piusa tak dobitnie na sobie nosiła...

Przypadek zdarzył że ją posadzono przy Krezusie. Zaczęła do niego dobrotliwie mówić o pogodzie, o jesieni, o błocie i pyle w miasteczku, ale głos jej czarował. Pius przejęty śmiał się i pokazywał wcale

piękne zęby białe... Seweryna znalazła go przystojnym. Nie uszło jej uwagi że miał na palcu solitera ogromnego, który świecił jak gwiazda, jeszcze większy turkus masiw oprawny w złoto i rubin prawie jak gołębie jaje...

Przypatrzyła się jemu i jego klejnotom z uwagą wielką. Zaczęła się mowa o kwiatach, które pani Seweryna lubiła bardzo, poczęła się uskarżać że w miasteczku takiego bukietu jak u braci Bardetów albo u Hosera.. nigdzie i za nic znaleźć nie było można.

Pius utrzymywał przeciwnie i pochwyił tę zrzęczość by prosić o pozwolenie przekonania pięknej pani iż godny jej bukiet w Żytomierzu znaleźć się może.

Pani Seweryna zrobiła minę nader surową, wyprostowała się, ściągnęła brwi i nie odpowiedziała nic. Pan Pius to milczenie mógł sobie jak chceć tłomaczyć, ale w duchu postanowił natychmiast, choćby przyszło na całą noc do oranżeryi do Kodni posłać, i choćby go to miało sto rubli kosztować, wystąpić z bukietem godnym królowej.

Kwestya tego bukietu przerwała mu na chwilę i ostudziła rozmowę. Pius się zmieszał, ale jakoś tak się ona wnet zlutowała na nowo iż poszła raźnie, a Soleckiemu tak płynęły wyrazy z ust, taki był natchniony że sam siebie nie poznawał.

W rozmowie, umiał niezręcznie ale wyraźnie dać poznać iż był panem ogromnych włości, wspominał o dobrach Owrackich, o lasach w Czudnowskich okolicach, o kluczu w Dubieńskim, o folwarkach nad Słuczą i t. p. Najnieudolniejszy z ludzi czuje się na-

tchnionym, mając tak piękny przedmiot do traktowania.

Seweryna słuchała go z uwagą, wypytywała go z zajęciem, a — co było najnieoględniejszem z jej strony — obok rozmowy ustnej rozpoczęła z nieszcześliwym Piusem romowę wejrzeniami, przeszywała go, paliła, bombardowała, jak gdyby ze smutku i tęsknoty bawiła się na sposób dzieci, gdy żywego złapią chrząszcza.

Pius wił się i uśmiechał i poważniał i nie wiedział co robić z sobą. Rękawiczki podarł, nowiuteńki cylinder niegodziwie zmaltretował, chustkę od nosa wbił do kieszeni niewłaściwej, mankietki z pysznemi złotemi guzami połamał i powyciągał.

Pani Balbina zajęta Grzybowiczem i swawolącą Julką mało na tę parę zwracała uwagi i oddała Krezusa na pastwę przyjaciołce. Przy herbacie siadł pan Pius przy niej i z początku rozparł się tak nieprzyzwoicie, jak mu się zdało że człowiek miljony czujący w kieszeni, powinien dla utrzymania godności swojej. Jedno zdziwione spojrzenie pani Seweryny przywróciło go do stanu pierwotnego Chryzalidy, do skromnej niemal postawy prowentowego pisarza. Przy herbacie on jej podawał grzanki, raz podniósł upadłą chusteczkę od nosa i oddając ją dotknął ręki białej, ślicznej z takimi paluszkami jakie tylko na obrazach widywał i miał za wynalazek malarzy. Jednem słowem pan Pius Solecki oszalał.

Siedział zamiast do dziesiątej, do pół do dwunastej a oddalając się szukał jeszcze oczyma bóstwa. Dzi-

wna rzecz; pani Seweryna pomimo swego smutku w jakim była pogrążona, właśnie się była na niego obejrzała, a spotkawszy wzrok uśmiechnęła się tak, iż Pius uśmiechu dostrzegł.

Wyszedł w ulicę małą Berdyczowską śpiewając i tak pijany, że powracającą do domu staruszkę, czci-godną panią Trzeciakovę potrącił.. Myślała biedna, że ją zbójcy napadli.

Przyszedłszy do domu siadł w fotelu i siedział w nim do pierwszej, położył się potem i nie zasnął aż o trzeciej.

Po wyjściu tych panów, gospodyni która mimo zajęcia Grzybowiczem, pod koniec wieczora zaczęła była śledzić Piusa i Sewerynę — śmiejąc się weszła do pokoju przyjaciółki.

— Ale wiesz co! Sewerynko!—rzekła—chcący czy nie, Krezusa podbiłaś tak że może oszaleć. Czy to się godzi takie historye z oczyma wyrabiać? Ten nieszczęśliwy człowiek gotów postradać zmysły...

Żart na bok — ba! gdyby chociaż wcześniej się był zgłosił? Kto wie, moje serce, czy by dla ciebie nie było to stokroć szczęśliwsiem? Takim Piusem, który dwa razy tyle pewnie ma, co twój Bernardek mieć będzie po najdłuższem życiu matki — mogłabyś pomiatać jakbyś chciała. Wolny jak ptaszek, familii ani żdźbła i prosty człek...

Seweryna nic nie odpowiedziała; właśnie włosy rozplatała przed zwierciadłem, patrzała na siebie zadumana i bolała nad swym losem. Na toalecie dwa już ogromne listy Bernardka leżały nierozpieczętowane.

Rumińska miała niesłychany apetyt przeczytać je, ale nie śmiała.

— Co też twój Bernardek może do ciebie po cztery razy na dzień tak szeroko pisywać, moja ty droga? zapytała...

— Jeśliś ciekawa — zobacz — odparła Seweryna; przyznam ci się że ten mój anioł swoją korespondencją bez końca, okrutnie mnie już nudzi... Zawsze jedno...

Rumińska niesłuchała, rozpieczętowała już i napawała się tą słodką, dawno niesłyszaną muzyką słowa, której dźwięk w jej sercu wiosenną pieśnią się odbijał. W jej oczach zwykle tak wesołych, zakreśliła się pocziwa łza, płynąca za temi latami niepowrotnemi — które są jutrzenką żywota... Położyła list i westchnęła.

— Jakaś ty szczęśliwa! — szepnęła.

Seweryna się odwróciła z pół uśmiechem.

— Tak, możebym nią była — rzekła, gdyby nie Mama, nie Ciocia — nie dostojne imię... i nie wszystkie te kajdany które Bernardka pętają i gdyby pocziwy mój anioł miał więcej energii w charakterze.

— Niesłusznie wyrzucasz słabość — odpowiedziała przyjaciółka — cóż on mógł uczynić więcej nad to, że zerwał z matką, że oświadczył iż ci wiernym pozostanie...

— Tak, a za dwa, trzy miesiące, jak mi sam mówił, nie będziemy mieli co jeść może!

— On majątku własnego nie ma.

Seweryna się nadaśała.

— My biedne kobicięta, — rzekła — często tak nieopatrznie sercem szafujemy — kto mógł wiedzieć czyj tam majątek... wszyscy go głosili bogatym....

— Będzie nim kiedyś... ale dziś...

I przerwały rozmowę westchnieniami; Seweryna ziewnęła, a potem spytała przyjaciółki.

— Ten twój Krezus często bywa w miasteczku?...

— Mój? — podchwyciła, śmiejąc się Rumińska — mój? wcale nie mój; po dzisiejszym wieczorze, gdyby nie anioł Bernardek, powiedziałabym że twój raczej... No — Bóg go raczej wiedzieć — on u mnie był bardzo rzadko...

— Mówiliście że prosty człowiek — dorzuciła Seweryna — juściż zapewne, ale ma w sobie coś szlachetnego.

Po tej mowie, wdowa usta zagryzła i uśmiechnęła się jakby do siebie.

Nazajutrz Prozorowicz był pewnym, że Pius musiał wieczorem odwiedzić Rumińską; poszedł do niego koło jedenastej, pod pozorem powierzonego mu interesu.

Zastał go w szlafroku od gości, prawdziwym tureckim, nieubrany jeszcze, w chwili gdy mu ogromny przepyszny bukiet przyniesiono.. Zajęty był właśnie tem, że jeszcze morowej białej szarfy brakło aby go nią przewiązać.. Wysyłał po najpyszniejszą na miasto, chciał żeby miała złote brzegi i dwie śpilki; złote kazał kupić do opięcia.

Zmieszał się widząc wchodzącego Prozorowicza, którego oka olbrzymi ów bukiet nie uszedł.

— Dzień dobry, panu Piusowi... a toż dla kogo ta magnificencya? — zapytał.

Solecki przyznać się nie chciał..

— To nic — to tak — widzi pan, zakład przegrałem z panią Marszałkową gubernialną... Siadaj kochany Burgrabio.

Klin Klinem.

9

Prozorowicz usiadł.

— No — a tę piękność sławną oglądałeś pan? — szepnął, zażywając tabakę i spoglądając mu w oczy baczenie. Nie uszło mu to, iż Pius się powtórnie zmieształ.

— Kogo, panią Fanteckę?

A no — tak?

— Widziałem — rzekł Pius, zrazu chcąc udać obojętnego, lecz nie potrafił i zmieniając usposobienie a raczej wybuchając mimowoli — krzyknął:

— Niech ją czarci porwą! co piękna to piękna.

— Widzisz — dołożył Burgrabia...

— Co prawda to prawda! wtórował Solecki... kobieta jakby z obrazu — jak Boga mego kocham, że coś takiego niewidziałem jak żyję..

Uśmiechnął się Prozorowicz.

— Przyznaj się panie Piusie — ten bukiet to nie dla Marszałkowej, ale bodaj czy nie dla niej.

Zarumienił się Solecki i zaczął śmiać mocno...

— Co tam! co tam!

— No słuchajże, szepnął stary — nie myśl o tem żebyś ją zbałamucił! Prawda, narobiło to dyablego hałasu w całej gubernii; wysokobys się postawił jako chwata... no — ale — niewypada.

Pius się dumnie uśmiechał.

— Tobie z twemi miljonikami i młodością; chłopak jesteś ładny, wszystko to możliwe... ho! ho! I umiesz się podobać — ale — daj pokój! daj pokój!

Pogroził mu na nosie. Solecki rósł z dumy i po ciechy że się na jego wartości poznano.

Jeszcze mówili gdy żydek nadbiegł z szarfą i śpilkami; zaczęto bukiet opinać. Solecki się zapomniał i bilet swój wizytowy dodawszy do bukietu, kazał go odnieść do dworku pani Rumińskiej, dla pani Fanteckiej. Wydał się więc z sekretu, a Prozorowicz Panu Bogu podziękował, że się tak wszystko cudownie szykowało.

Było już około południa, gdy żydek popędził z temi kwiatami, właśnie w progu spotykając się z wchodzącym do dworku Bernardem... Nim go wpuszczono, bukiet poszedł przodem, biedny Zniński zobaczywszy go i posłyszawszy dla kogo był przeznaczony osłupiał, zczerwieniał się, zmieszał...

Pani Seweryna której razem oddano kwiaty i oznajmiono o przybyciu anioła, trochę się też zakłopotwała, ale położyła bukiet w swoim pokoju i z melancholijną twarzą wyszła naprzeciw młodzieńca...

Spojrzawszy nań łatwo się mogła domyśleć, iż z bukietem się spotkał; był tak wzruszonym, iż prawie nic mówić nie mógł...

Zbliżył się do niej i głosem przerywanym zapytał:

— Od kogoż te kwiaty?

— A! dziecko jesteś! — rozśmiała się Seweryna z wymówką — cóż to znowu? zazdrosny czy co?

Bernard zmilczał, wzrok błagający zwrócił ku niej.

— Te kwiaty...

— Mówię ci, dzieciństwo — spokojnie poczęła Fantecka. Był wczoraj u Balbiny jakiś, ktoś, nawet

dobrze nie wiem nazwiska — Solski, Skalski, Salecki, coś podobnego...

Balbina mówiła o kwiatach: że tu pięknych brak, ja to potwierdziłam... chciał dowieść żeśmy nie miały racy.

Spojrzała na pomieszanego młodzieńca.

Ale mój drogi panie Bernardzie, jak można być tak podejrzliwym, śmiesznym. Chcesz, to ten bukiet mu odeśle.

Bernard się zawstydził, ale serce mu się ścisnęło; w tej chwili nadchodziła gospodyni. Patrzajże, Balbisiu, zwracając się do niej, poczęła Seweryna — pan Bernard mi gotów scenę zrobić o ten bukiet...

— Ale ja sceny żadnej nie robię! — zaprotestował Bernard, spytałem tylko, — a to przecie mi wolno.

— Nie — nie wolno — zawołała Seweryna, nóżką tupiąc, nie wolno — boś we mnie powinien wierzyć — ślepo... bo wiesz że ja ciebie kocham... Jak można być zazdrosnym...

Tak scena ta rozpoczęła groźnie, skończyła się bardzo czule. Bernard jednak porównyując obchodzenie się z sobą pięknej pani w początku, z tonem jaki teraz przybrała, z jej smutkiem, roztargnieniem, złym humorem — przekonywał się, iż swobodniejsze na pozór stosunki nie tylko go szczęśliwszym nie uczyniły, ale zdawały się osłabiać uczucia Seweryny dla niego.

Wydawało mu się to niezrozumiałem. Zamiast pocieszać go, gderano nań iż doszedłszy tego szczytu szczęścia, że mu co pięć minut rękę jej wolno było ca-

łować — mógł jeszcze więcej pragnąć i nie leżeć u stóp bóstwa...

Seweryna wymawiała mu wszystko co dlań cierpiała, nieustannie...

Krótkie te chwile które przebywali z sobą, zatrute były nieustannemi wyrzutami. Teraz jeszcze łączyła się do tego zazdrość.

Napróżno pani Balbina pośrednictwem swoim usiłowała ich pojednać i zbliżyć oboje. Bernard był smutny. Seweryna zarzucała mu jego smutek; jeśli nazbyt był natarczywy, odpychała jako natręta... jeśli się usunął, nazywała go obojętnym.

Godzina ta w dniu której miał wyznaczoną, mężczyźni Sewerynę; nie zaspokajała jego; biegł do domu o każdym spotkaniu w listach pisać komentarze, a tych często nie czytano nawet. Leżały na stoliku nie rozpieczętowane, jeśli ich pani Rumińska nie otworzyła — bo ona się niemi zajmowała wielce.

Tego dnia, z powodu bukietu, zły humor obojga i nieporozumienia doszły do tego stopnia, że się pożegnali bardzo zimno. Fantecka pobiegła do swojego pokoju i rzuciła się na kanapkę zmęczona.

Weszła Balbina.

— A! jak on mnie nudzi!—zawołała Seweryna.

— Ale moja droga, jak ty jego męczysz?

— Ja go męcę? ty bierzesz jego stronę? a to doskonałe!

Dwie serdeczne przyjaciółki sprzeczać się zaczęły — i do obiadu rozprawiały o miłości, której

jedną drugą uczyła. Szczęściem podano do stołu, wbiegła Julka i zaczęto mówić o czem innym.

Bernard znępany i smutny, zamiast wedle zwyczaju pójść list pisać do tylko co widzianego bóstwa — sam nie wiedział jak znalazł się u drzwi cioci Turkiskiej. Tu czuł się jakoś swobodnym jak w domu.

Anzelmka powitała go w progu, zawsze z tą powagą przybraną młodziuchnego dziewczęcia, chcącego uchodzić za starą pannę. Było jej z tem zabawnie, jakoś do twarzy.

— A! przecież Bernardek sobie prędko przypomniał o nas... zawołała podając mu rękę.

Mimowolnie spojrział na tę maleńką łapkę czerwoną, która była bardzo ładna i niezmiernie mała... ale ją wiek, cierpienie i życie nie wybieliły jeszcze.

— Powiedz ty mnie teraz kiedy Cioci nie ma, odezwała się Anzelmka pocichu — czego ty wczoraj byłeś taki smutny... i dziś — tobie coś jest? Możemy my z Ciocią na to co poradzić mogły.

Bernard złożył humor na niezdrowie.

— To poradź się starego Kaczkowskiego — odezwała się Anzelmka — to także doskonały doktor. Ciocię wyleczył z jej tyku nerwowego. On tobie pewnie poradzi.

Podziękował Bernard, i powiedział, że to przejdzie samo. Anzelmka, która wiedziała że Marszałkowa bywała surową — że młodzi miewają wydatki i robią długi, (bo raz się to już Bernardowi trafiło) — szepnęła, że ona ma dużo niepotrzebnych pieniędzy

i że wzięłaby u Cioci dla niego, gdyby ich potrzebował.

Zawstydził się Bernard, odmówił, ale ujęty tem dobrem sercem Anzelmki, podziękował jej gorąco, pocałował znowu tę małą rączkę czerwoną, i spojrział na nią, a wyraz tej uśmiechniętej łagodnie twarzy dziewiczej, zrobił na nim wrażenie uspokajające.

Dziwna cisza i pokój malowały się w obliczu niezamąconem nigdy żadnem uczuciem gwałtowniejszem, żadną gorączką namiętności... Mimowolnie porównał w duchu, twarz przesłiczną Seweryny przez którą przeszły błyskawice i gromy, do tej karty niezapisanej, na której wedle podania wschodniego — jak na każdym papierze białym, niewidzialne imię Boże jest wyrażone.

I na tej twarzyczce stało to imię Boże — niewinność spokojna i potężna samą słabością a bezbronnością swoją. Bernard ukorzył się przed tym obrazem...

Anzelmce na sercu leżało, tego braciszka rozweselić, rozruszać... Zaczęła mu pokazywać swoje skarby, swoje książki illustrowane, swoje nuty, kwiaty — wszystko czem się mogła pochwalić. Wśród tego zajęcia, którem nie udało się jej Bernarda rozbudzić, weszła Ciocia Turska. Zasekwestrowano kuzynka na obiad. Chciał powracać do siebie, nie pozwolono. Anzelmka ofiarowała się drzwi zamknąć na klucz; śmiała się, biegała, a dziwnie jej z tem było do twarzy.

Nareszcie i Bernard mimo pogrążenia, mimo smutku i gorączki wewnętrznej, tem świeżem oddychając powietrzem — odżył trochę.

Były krótkie momenta, w których się zupełnie zapominał.

Po obiedzie, ponieważ czas był wyjątkowo piękny, Ciocia Turska wniosła, ażeby ostatnią może w tym roku przedsięwziąć przechadzkę do skały Czackiego i w okolicę tę malowniczą która ją otacza. Anzelmka, co się krajobrazy uczyła niby malować z natury w Düsseldorfie i była wielką ich wielbicielką, przyklasnęła projektowi. Bernard nie mógł się uwolnić od towarzyszenia kuzynce.

Tymczasem los gotował niespodziankę. Pan Pius jako nie rutynowany wcale kawaler, za bukietem swoim poszedł sam z wizytą do pani Rumińskiej. Prawda, iż ona niby pożegnalną być miała... Pani Seweryna wyszła mu podziękować tylko za śliczne kwiaty i jakoś przysiadła. Zaczęli z sobą rozmawiać żywo — przeciągnęło się to tak długo, że niezgrabny lokajna pani Rumińskiej, sądząc iż ów gość proszony jest na obiad, oznajmił iż dano do stołu...

Porwał się pan Pius — ale wdowa go zatrzymała.

— Chcesz pan z nami zjeść zły obiad? no, to proszę, ale uprzedzam że będziesz głodny.

Stało się tedy, iż pan Solecki zasiadł do obiadu przy Sewerynie, która coraz mniej dziką być zaczęła i śmiała się nawet.

Obiad z wyjątkiem leguminy z jabłek, która w chwili podania na stół — opadła i smutną, przedstawiała ruinę, w której głębiach taił się zdradziecki zakalec — był zresztą wcale dobry. — Pius nie wiedział co jadł a oczyma pożerał sąsiadkę, która nie broniła się temu ludożerstwu. Jakim dziwnym trafem wszczęła się rozmowa o okolicach i przechadzkach a pani Fanteka wyznała, iż wcale pięknych stron tych sławionych ze swego wdzięku nieznała — to Bóg jeden wie tylko. Pius w uniesieniu ofiarował swój paradny, aksamitem wybity kocz i konie do młynka. Rumińska wcale nie była od tego spaceru... rzadko się jej trafiło jeździć tak pompatycznie. Seweryna zrazu pomyślała, że nuż Bernard ją zobaczy z tym nieznanym — ale natychmiast odpowiedziała sobie, iż na to zważać nie powinna, że ma nawet obowiązek oduczać go od zazdrości i t. p.

Zgodzono się więc jechać. Pius posłał natychmiast po konie i w kwadrans może po wyjeździe w tę stronę Cioci Turskiej, Anzelmki i Bernarda, kocz pana Soleckiego toczył się także, unosząc na swem łonie aksamitnem, po prawej stronie piękną Sewerynę, po lewej miłą Balbinę, a — na przeciw pani Fantekiej usadowionego dla patrzenia jej w oczy, rozczulonego, rozpromienionego śwem szczęściem Soleckiego.

Okolo skały Czackiego, wysiadła Ciocia, Anzelmka i Bernard, który kuzynce towarzyszył, poszli piechoto, oglądać te cudne skały nad Teterowem... poszarpane, potłuczone, porośłe gęstwiną i szaremi zło-

my swemi tak malowniczo wyglądające z pośrodka zieleni...

Szli brzegiem spokojnie... gdy — nagle Bernard zadrzął, stanął, oczy otworzył, osłupiał. Naprzeciwnie postępowała pani Seweryna, której usłużny Pius rękę podawał, a za nią zmieszana Rumińska.

Nic okropniejszego obu towarzystwom tym trafić się nie mogło. Pani Fantecka zbladła... Bernard zdretniał. Anzelmka napróżno budziła go do życia. Dwa gronka stały o kroków dziesięć od siebie niewiedząc co począć — witać się, kłaniać, zbliżyć czy nie widzieć.

Bernard stracił przytomność, szczęściem nie postradała jej pani Seweryna i jakby nic nie postrzegła, rozmawiając głośno, wolnym krokiem się zawróciła nązad, rozpatrując po skałach. Zaczęła się nawet śmiać tak głośno, aby śmiech jej doszedł do uszów Bernarda i wpił mu się w serce. Zobaczyła tę śliczną, młodziutką panienkę spartą na jego ramieniu i gniew ją na niewdzięcznika ogarnął. Jej wolno było się rozrywać z panem Piusem Soleckim, ale jemuu! wara!

Ciocia Turska, która nie znała w prawdzie pani Fanteckiej, ale z widzenia Rumińską, domyśliła się w tej pięknej pani słynnej kandydatki do rozwodu, którą jej opisywano i o której mówiono tyle. Zacerwieniła się nieco, lecz widząc że to się kończy bez katastrofy, wnet odzyskała zimną krew i przytomność. Anzelmka tylko zobaczywszy Sewerynę, której piękność ją uderzyła, szepnęła Bernardowi.

— Nie znasz tej pięknej pani? Ale jakaż ona śliczna, choć malować.

Bernard w pierwszej chwili nie mógł nic odpowiedzieć, a potem niechciał.

Ze ściśniętem sercem poszedł z Anzelmką, która szczebiotała zadzierając główkę i wpatrując się w przepyszne skały, które z *natury*, rysować koniecznie chciała.

W parę godzin po tem dwie panie były same w pokoju Seweryny, i siedziały zachmurzone obie.

— Nie! tegom nigdy nie przypuszczała — wołała Fantecka, żeby on — on, dla którego ja poświęciłam wszystko, mógł mnie zdradzać tak nikczemnie.

— Ale moja droga — odparła Rumińska, pomiaruj że się, to jego jakaś cioteczna czy stryjeczna siostra...

— A! to mi wszystko jedno! wybuchnęła Seweryna — to mi wszystko jedno... Ja tu schnę z tęsknoty, a on szuka tam pociechy przy młodem dziewczęciu i gdy ja się lituję nad nim, on sobie zimniuteńko jeździ na spacerzy z pannami... O! przepraszam... przepraszam...

Rumińska uśmiechnęła się dziwnie.

— Moja kochana, a ty przecie byłaś z panem Piusem Soleckim? On ma prawo także...

— Nie—on nie ma żadnego prawa, to przypadek... Pan Pius był tam dla ciebie nie dla mnie. Co mnie tam obchodzi jakiś pan Pius Solecki... To wcale co innego...

Jeszcze się ta rozmowa nie skończyła, gdy pomimo godziny wzbronionej, wszedł do salonu Bernard...

— Otóż go masz—zawołała Rumińska... Fantecka zawahała się chwilę.

Bernard nie pytając się o pozwolenie wbiegł do jej pokoju, rozgorzały, nieprzytomny... drżący od gniewu...

Seweryna wstała jak sędzia zimna i groźna.

— Winszuję panu miłej przechadzki z bardzo ładną panią—odezwała się ze śmiechem ironicznym, bardzo winszuję.

— Ta panna — rzekł Bernard — jest moją siostrą...

— Przepraszam, kuzyneczka! a między kuzynkami, to przecie wiadoma rzecz, romanse są nieuchronne. Więc ja — cóż — czem ja jestem dla pana?

— Ja właśnie chciałem spytać, co znaczył na przechadzce ten jegomość, który dziś rano ośmielił się jej przysłać bukiet, a po obiedzie miał szczęście w czulej parze...

Seweryna miała zwyczaj tupać nogą, zostało jej to od pieszczonego dzieciństwa, tupnęła i teraz.

— Jak pan śmiesz mnie podejrzewać, jak pan możesz mi mówić coś podobnego? To nikczemność znęcać się nad bezbronną kobietą, która dla pana wszystko poświęciła...

I oczy zakryła chustką, padając na krzesło... płacz się dał słyszeć i jęki. Bernardowi kapelusz wypadł z ręki, rzucił się na ziemię i przypełzył do nóg jej, obejmując je.

Śmiech stłumiony Rumińskiej dał się słyszeć z ką-
ka, widząc zgodę na tak dobrej drodze — wysunęła
się po cichu z pokoju i zostawiła ich sam na sam z so-
bą, wiedząc z doświadczenia iż do przejednania osób
które się kochają, pośrednicy więcej zawadzają niż
pomagają. Jakoż nie omyliła się w rachubie, w pół
godziny potem, po żywej utarczce na słowa, nastąpiła
zgoda... Bernard ucałował naprzód nóżki, ca-
łował ręce... a Fantecka się śmiała z pana Solec-
kiego...

Pozwolono nawet zostać na herbatę Bernardowi,
w nadziei że nikt na nią nie przyjdzie więcej.

Solecki powróciwszy do domu, uczuł się po przechadzce tak szalenie rozkochanym, iż wyjazd nazajutrz już naznaczony do dóbr swoich, odłożył pod pozorem niezdrowia. Dla innych służył za pretekst ów nieszczęsny proces z żydem o las, którego roztrzygnięcie się ociągało.

Solecki nie grzeszył zbytnią przebiegłością, lecz w razach gdy serce jest mocno zajęte, człowiekowi przybywa sprytu. *Probatum est.*

Czuł to dobrze iż sam sobie rady nie da, że zadanie zbałamucenia kobiety już obałamuconej, nadzwyczaj było trudnem, choćby dla tego iż się narażała na zarzut nieprzebaczonej płochości. Jedną winę mogło serce tłomaczyć, dwóch — nic.— Tym czasem był w takim usposobieniu, iż sam do siebie wykrzykiwał.—Choćby mnie to pięćdziesiąt, choćby sto tysięcy miało kosztować. Raz człowiek żyje — drugiej takiej na świecie nie znajdę!

Przychodziło mu na myśl, iż mógłby w sprawie serca swego zainteresować panią Rumińską.

Lecz tej sprawie należało dać dojrzeć i obcesowo się do niej rwać nie było podobna. Mógł też może jeśli nie czem innym to radą być pomocnym Prozorowicz?...

Koniec końców rozum dyktował, siedzieć, starać się wdzierać do domu i — szczęścia próbować.—Nie domyślał się tego wcale iż pomocników mógł znaleźć niespodziewanych, na których wcale nie rachował. Wiedział o zakochanym Bernardzie i obawiał się go trochę — ale do pojedynku nie było powodu, a gdyby i do tego przyjść miało, Pius był gotów... Osobiście nie znał prawie Marszałkowicza — wahał się czy lepiej było wcale się do niego nie zbliżać, czy — dla uśpienia go, zapoznać poufalej.

Dreńczony niepewnością tą biedny Solecki nie spał, chociaż na noc wypił butelkę wina przy wieczerzy. Wino zamiast go uspokoić, rozburzyło w nim namiętności, pomieszało myśli i uczyniło go do wszelkiego azardu pochopnym. Zaraz po wieczerzy gotów był panią Fantecką wykraść; później nieco zmiarkował że to nie uchodziło.

Nazajutrz rano wiele rachując na przyjaźń Burgrabiego, poszedł do niego... Znalazł go z różańcem przechadzającego się po pustych pokojach Marszałkowej. Z wieczora Prozorowicz widział się z Turską i o spotkaniu nad Teterowem był uwiadomionym.

Panu Bogu za to dziękował.

Gdy Solecki wszedł, stary dał znak, ażeby pacierz spokojnie dozwolił mu dokończyć, przeżegnał się i dopiero z nim przywitał.

— A co? pan jeszcze nie wyjechałeś?

— No — nie — ot tak — sam nie wiem — od dnia do dnia, koń mi jeden zakulał...

— Może zagwoźdżony... uśmiechając się spytał Burgrabia — i spojrzał nań z ukosa.

— Kat go wie, zagwoźdżony toby była fraszka, lękam się czy mi go nie splecyli.

Zaczęło się tak od konia.

— To się tu pan zanudzisz w mieście — rzekł Prozorowicz.

— Nie koniecznie — przebaknął Pius — bom ci to za radą waszą poszedł i oddałem wizytę pani Rumińskiej.

— No — i widziałeś asiendziej tę sławną piękność? Ale! to wiem i o bukiecie, też.

— Widziałem, i powiem panu Burgrabiemu, jeszcze mi w życiu żadna kobieta tak nie zaimponowała Pięknaż bo i jaka pompa! jaka pompa! Jak to chodzi, jak to patrzy, jak to mówi — sto tysięcy...

— A nie klnij że, proszę cię — odezwał się Prozorowicz, bo ty ten zły zwyczaj znać z dawnych czasów zachowałeś. Nuż z nawyknięcia przed paniami podobnego palniesz.

— Masz pan słuszność, rzekł zamysłony Pius — niebezpieczna rzecz.

— Więc się podobała, ciągnął Burgrabia — ale cóż? ha — żebyś to chodzić umiał... mogłoby co

z tego być i hałasu byś narobił na całą gubernię, jakbyś Marszałkowicza odsadził. Ja ci się przyznam choć go na rękę nosiłem i kocham jak własne dziecko, choć to kobieta znakomita, ale to nie dla niego żona.

— Czemu? zapytał Pius ciekawie.

— Bo się z matką jego nie zgodzi, na ucho po cichu szepnął mu Prozorowicz...

— Al tak! to prawda! potwierdził Pius — to prawda!

— Ale — nie dla psa kiełbasa, kończył stary, daruj mi że takim grubiańskim posługuję się przyszłościem, asindziej temu nie dasz rady!

Czemu? zapytał znowu Pius...

— Trzeba więcej odwagi i determinacyi, trochę obcesowo się brać...

— A z waszym Marszałkowiczem pojedynku nie będzie? zapytał Pius ścicha — jak myślicie?

— Nie — boć to przecie nie żona — a Bernarda by można powstrzymać. Ja waćpanu dobrze życzę, weź się ostro... Marszałkowiczowi matka teraz grosza nie da, gdyby za niego Fantecka poszła, będzie musiała biedę cierpieć. Wątpię żeby jej to było do smaku.

Wszystko to ścicha szeptał Prozorowicz, a pan Pius się namyślał i wzdychał.

— Wiesz, kochany Burgrabio — gdybym ja był pewny że do celu dojdę — ryzykował bym wiele!

— A dla czegoż nie masz dojść?

Klin Klinem.

10

— Ona pono zakochana w Marszałkowiczu, ja po francuzku nie umiem.. tam to chłopiec galant, ja prostak.

— Co u kata! zawołał Burgrabia — młody, bogaty, przystojny miałbyś wątpić o sobie.

— Ono to prawda... lat nie mam nad trzydzieści... majątek czysty i niemały, niczego twarz... tylko ta francuzczyzna.

— Na to nikt zważać nie będzie! odezwał się Prozorowicz — idź a śmiało... pomożemy ci...

Po długiej naradzie i rozmowie z Burgrabią pan Solecki powrócił do miasta znacznie śmielszy, postanowił ryzykować, i idąc za radą starego, który mu na ostatku powiedział: choćbyś spadł z takiego konia i lecieć miło... a zresztą korony nie masz na głowie.

Wieczorem tegoż dnia poszedł do Rumińskiej, powiedziano mu że nikogo nie ma w domu. Ale że był podejrzliwy i chytrawy, nastawił ucha, popatrzał przez szczeliny, i doszedł że sama jejmość była u siebie a przyjmować tylko nie chciała. Chłopakowi dał rubla i szepnął mu żeby pani pięknie poprosił o słówko rozmowy. — Chłopiec sam się nie ważąc na taką wyprawę, poufałą garderobianę pani, pannę Felicyę przyprowadził. Z tą pod oknem poszeptawszy pan Solecki — czekał. Puszczono go wreście do gabinetu samej pani.

Trochę zmieszana przyjęła go Rumińska, odgadywała już co się święci.

— Pani dobrodziejko, składając ręce odezwał się Solecki, pani mi przebaczy...

Wskazano mu krzesło.

— Przychodzę do niej, począł, jak do—do— opatrności! (Innego wyrazu biedny ex-pisarz nie znalazł w swoim słowniku). Pani mnie możesz uratować, uszczęśliwić, lub — uczynić na całe życie biednym.

— Na miłość Bożą — o cóż idzie?

— Pani dobrodziejko — zakochałem się szalenie w pani Fanteckiej.

— Jakto? już?

— Już — i okropnie! westchnął Pius.

— A to pięknie... Wszakże pan wiesz że ona innego kocha i dała mu słowo.

— Kocha? E! zawołał Solecki—ja otwarty jestem człowiek. Ona z nim szczęśliwą nie będzie — niech pani jej to powie... Marszałkowa jej nie lubi, synowi nie da nic, będę będą musieli cierpieć. Ja jestem sam, pan siebie a ona u mnie będzie panią i królową.

Drzwi tylko niedomknięte dzieliły pokój pani Balbiny od pokoju Seweryny — tamta była nadzwyczaj ciekawa, wiedziała o przybyciu Piusa i słuchała rozmowy nastawiwszy uszko tak że żadnego nie straciła wyrazu.

— Więcej pani powiem, ciągnął Solecki, pani Fantecka nigdy rozwodu nie otrzyma dopóki będzie mowa o zamażpójściu za Marszałkowicza. W konsystorzu mają przyjaciół, stosunki, wpływy, dadzą jej separacyą — a co jej z tego. Ze mną co innego, ja gardło stawię że nie tu — no to choćby do Rzymu przyszło iść, choćby sto tysięcy miało kosztować zwód wyrobie.

— A no tego nie dosyć... marszałkowicz jej nie zapisać nie może, bo za życia matki nie mieć nie będzie a jam gotów choćby... choćby jedną wioskę dożywo-
ciem, a na ostatek — pał trzysta.

Tu się uniósł Pius, a Rumińska krzyknęła:

— Co? co? co?

Pomiarkował się i poprawił zaczerwieniony.

— Naostatek — przepraszam panią — choćby na dziedzictwo.

Rumińska popatrzała nań długo.

— No! toć wacpan zakochany po uszy.

— Nie przeczę, pani dobrodziejko, zawołał chwytając za rękę — łaskawczynio! dobrodziejko... (tu, ucałował wrywającą się rękę) ratuj mnie! weź w swą opiekę.

— Ale bym p. Bernarda zdradzić musiała — szepnęła poważnie wdowa.

— A cóż to za zdrada? Alboś mu pani co przyrzekała.

Zmilczała gospodyni.

Solecki który był prostak w obyczajach i naiwny jak pisarz prowentowy, idąc z tą wizytą powiedział sobie że — bądź co bądź, piękne kobiety lubią klejnoty i cacka, i że w łaski się wkupić nigdy nie zawadzi.

Nabył więc po drodze u jubilera — jako człowiek gospodarczy i oględny, *warunkowo*, dwie jednakowe złote bransolety które mu wskazano jako najmodniejsze. Dwa z niemi pudełka włożył w boczną kieszeń surduta i to wydziecie nie uszło oka pani Rumińskiej,

domyśliła się łatwo gdy do kieszeni sięgnął rękę, że tu nastąpi przekupstwo.

— Pani dobrodziejko, szepnął Solecki, może to zbyt śmiałość z mojej strony, ale bym chciał aby pani Fantecka miała coś ode mnie. Ja jej sam tego ofiarować nie mogę, bo nie przyjmie, otóż co wymyśliłem.

Otworzył dwa pudełeczka na stoliku je postawiwszy.

— Oto są dwie jednakowiusieńkie bransolety — niech pani jedną raczy przyjąć dla siebie, a drugą *od siebie* ofiaruje na pamiątkę.

Rumińska zakrzyknęła.

-- A dajże mi pan pokój.

Ale to mówiąc zbliżyła się do bransolet... Solecki wyjął jedną, była rzeczywiście pyszna, siedział w niej szmaragd otoczony brylantami jak ziarno bobu... Rumińska porównała z nią drugą — i odepchnęła potem obie.

Solecki naprzykrzać się zaczął, nareszcie chwycił za kapelusz, i choć go niby nawoływała natarczywie pani Balbina — umknął.

Bransolety pozostały... Ledwie był za drzwiami, gdy Seweryna wpadła wprost do stolika, chwyciła jedną z nich i zapięła na rękę.

— Dziękuję tobie! zawołała śmiejąc się i całując w czoło Rumińską — o! słowo ci daję! biore... taka śliczna rzecz! szaleństwem by było ją odrzucić.

— Ale brać prezenta! Sewerko!

— Ja nic nie wiem... od ciebie przyjmuję.

— A ja...?

— A ty dla mnie czynisz tę ofiarę... Zaczęły się obie śmiać pokładwszy bransolety, potem w oczy sobie spojrzały.

— Ale cóż to będzie, co będzie? zapytała Rumińska...

Fantecka nucąc coś chodziła po pokoju i zapatrując się w zwierciadła.

Balbina padła zamyślona w krzesło.

— Żal mi tego biednego Bernarda, co tak gorące listy pisze. Solecki, nie przeczę, dla ciebie daleko będzie wygodniejszym.. i nie ma rodziny, ale tamten cię kochał tak...

— Jak?? jak? przebaknęła Seweryna — bardzo nudnie — męczy mnie, zazdrosny jest i ta matka i cała rodzina i rozwód — proszę cię!

Na przemiany jedna chodziła po małym pokoiku to druga — obie dumały...

— Jak ty mi radzisz? spytała w końcu Seweryna.

— Spytaj serca?

— Serce mi jedno mówi tylko, żeby się od tego nudnego tyrana, od tego kata uwolnić. Przyznam ci się że dla tego tylko pochwyciłam tego biednego Bernarda — ale teraz mój błąd widzę. Fantecki by mnie zamęczył, a ten by mnie miłością i zazdrością, zabił... Ani spojrzeć na nikogo i w dodatku do śmierci matki prawie nędza... Proszę cię — ja ubóstwa i niedostatku znieść bym nie mogła, to nad siły moje! Ty mnie znasz, jestem delikatna i rozpieszczona.

— Jeśli chcesz postąpić rozumnie, dodała gospodyni — zapewne — Soleckiego bierz — ale rozwiązać się z Bernardem nie będzie łatwo. On cię kocha. Cały świat wie żeś dla niego męża porzuciła — co ludzie powiedzą!

— Ludzie! a! śmieję się z tego zawołała przypatrując się szmaragdowi w bransolecie Seweryna — co mi tam! Żał mi Bernardka... ale sam sobie będzie winien... Piękna perspektywa czekać śmierci jego matki.

Zmierzchno tak na rozmowie, w której dwie panie dziwną rolę grały. Ile razy Seweryna zwracała się ku Bernardowi i zdawała się go żałować, przyjaciółka była przeciwko niemu; ile razy Seweryna dowodziła że porzucić go musi, Rumińska broniła. Obie razem wyczerpały wszystkie argumenta za i przeciw, stanawszy na tem, że od Marszałkowicza dobrze by się było uwolnić, ale trzeba to uczynić rozumnie i powolnie.

— Jesteś panią twojego domu — zakończyła Fanteczka, ja u ciebie gościem, możesz przyjmować kogo i kiedy zechcesz... ja nie wiem — nie suponuję, dla kogo on tu przychodzi — może dla siebie.

— Ba, gdyby dla mnie bywał, rozśmiała się gospodyni, nie potrzebowałby długo się starać, dla szczęścia mojej Julki musiałabym się poświęcić i rękę bym mu podała bez wahania.

Wśród tych rozpraw oznajmiono o przyjściu Bernarda złotowłosego, który jak zawsze przynosił z sobą melancholiję, smutek i wejrzenia pałające. Sewe-

ryna przyjęła go z bransoletą na rękę, jak najczulej. Siedli razem na kozetce.

Pani Fantecka wśród jego westchnień i płomienistych frazesów, rzucała jak lodem pytaniami o interesa rozwodowe, o matkę, o adwokata, o konsystorz...

Bernard mało co o tem wiedział, a to co przynosił nie było pomyślne...

— Cierpmy droga Seweryno, dla przyszłego szczęścia — szeptał — jam na wszystko gotów — ja zniosę dla ciebie wszystko.

— I ja gotową jestem — odezwała się patrząc na ręce swe i bransoletę Fantecka — ale Bernasiu mój, oblicz moje siły — pamiętaj ile już wycierpiałam... oszczędzaj mnie.

Im więcej się to przedłuża, tem narażona jestem na większe ze strony ludzi potwarze... pokazać się na świat nie mogę. Dla mnie u Rumińskiej wszyscy bywać przestali. Mieszkać tu długo niepodobna? Cóż więc, gdzie, do klasztoru chyba! A klasztor dla mnie to grób...

I zakryła oczy.

— Moja Sewerynko — odezwał się wzruszony młodzieniec — nie rozdieraj mi serca, proszę cię. Miej odwagę dopełnić ofiary, jedźmy razem, uciekajmy ztąd... Ja pieniędzy na podróż dostanę. Rok, dwa przeżyjemy gdzieś ukryci w jakim zakątku we Włoszech... Raj sobie stworzym na ziemi. Ludzie i tak potwarze ciskają, wzgardźmy niemi.

Fantecka spuściła głowę. Przed dniami kilka, może by się była dała namówić na taki krok zuchwały—

teraz... myślała o czym innym. W sercu swem nie czuła wcale tak nadzwyczajnej miłości dla Bernarda. On ją swoim szalem i gorączką na chwilę rozbudzał, ale pozostawszy sama, uśmiechała się z jego zapachów. Ta poezya która się lała z jego listów, znajdowała ją zimną—nie rozumiała jej—nudziła się nią.

— Mój drogi Bernasiu — odpowiedziała chłodno, ja cię nie mogę narażać na większy jeszcze gniew matki... a do Włoch potrzebaby summ i ja jestem rozrzutna... ja nie umiem oszczędzać, mnie się zachciewa dziwnych rzeczy., ty byś nie wydołał moim kaprysom.

— Ty byś się dla mnie od nich wstrzymała...

Fantecka westchnęła... Zaczynało ją niecierpliwie to posiedzenie z rozkochanym Bernardem, gdy Rumińska, która się tego domyśleć musiała, przewała je wchodząc między nich.

Nadszedł też wierny Grzybowicz... Zasypano go pytaniami zewsząd...

Złe bardzo przynosił wiadomości. Ks.Biskup oświadczył mu stanowczo że rozvodu nieda, że nie rozumie, i nie widzi doń żadnego powodu, że w ostatecznym razie pozwoli na seperacyę, a nim by ta nastąpiła pani Fanteckiej za miejsce pobytu klasztor wskazuje.

Seweryna krzyknęła i padła na kanapę łamiąc ręce.

— Ja! do klasztoru! nigdy w świecie! ja! to nie może być — raczej do męża powrócę.

Grzybowicz stał jak prawo które reprezentował poważny i surowy.

— Pani dobrodziejko — odezwał się — ale to kwestya czy Fantecki teraz przejednać się zechce i przyjmie...

Bernard napróżno dawał znaki adwokatowi aby milczał. Seweryna płakała z gniewu, niekiedy wzrokiem pełnym wyrzutów ciskała na nieszczęśliwego chłopca, który stał w rozpaczycy... Gospodyni domu milcząc przypatrywała się tej scenie, której zapobiedz ani wrazenia jej zmniejszyć nie mogła, po chwili jednak uspokoiła się pani Fantecka.

Marszałkowicz chciał się zbliżyć do niej — milcząco go jakoś odtrąciła... On nie widział innej rady nad ucieczkę... i bezwzględne zerwanie z całym światem.

Grzybowicz ruszał ramionami. Rada ostateczna jaką on dawał, była tak straszna i nie do przyjęcia, że ani Bernard nawet nie wahał się z jej odrzuceniem.

— Uspokójcie się, namyślcie — znajdzie się przeciwie jakiś środek — dodała gospodyni, a teraz — panie Grzybowicz zakazuję panu wspominać o jakichkolwiek interesach, dosyć tego na nasze słabe nerwy kobiece... Dosyć — dosyć!

Wzięła pod rękę przyjaciółkę i gwałtem odprowadziła ją do herbaty...

Bernard nie siadając nawet, podziękował za nią, chodził po pokoju blady i zamyślony czas jakiś, patrzył na Sewerynę, przysiadł się do niej usiłując zawiazać rozmowę, lecz zbyty milczeniem, wyszedł nagle.

Biedny chłopak nie poznawał teraz tej kobiety, która go oczarowała...

Od czasu przyjazdu do miasteczka stała się inną; miłość jej, czułość, poświęcenie wszystko się zmieniło dziwnie... chłód wiał od tego bóstwa... Czyniła na nim zawsze to wrażenie, które go na widok jej dreszczem od stóp do głów przejmowało — lecz zaledwie przemówiła, słowa jej studziły go, zdumiewały, wprowadzały w jakiś świat zamarzły, w którym obracać się nie umiał.. Bernard szalał, głowę tarł aby oprzytomieć, ręce łamał, niewidział wyjścia ni ratunku. Począł błądzić po miasteczku nie chcąc powracać do domu, bo go powietrze zamknięte dusiło... Jakiś traf zaprowadził go do ciotki Turskiej pod same drzwi. Zrazu się wahał czy wejść, lękając się aby mu z twarzy nie poznano wzruszenia, potem jakaś potrzeba uspokojenia poprowadziła go tutaj. Przy Anzelmce było mu dziwnie błogo, przypominała dom, matkę i szczęśliwsze lata spędzone w Stadnicy.

Bernard kochał jeszcze Sewerynę, a raczej czuł dla niej namiętność młodzieńczą, przecież chwilami sam sobie wyrzucał ten węzeł, który jego, matkę a nawet samą panią Fanteckę i jej męża czynił nieszczęśliwym. Znajdując ją tak chłodną, wpadał już często w wątpliwość czy kiedy równem mu odpowie czuciem. Ostatniego wieczora... na schadzce za ogrodem... zdawała się tak całkiem mu oddaną — ale to była pierwsza i ostatnia chwila... Od tego czasu nie znalazł już w niej nigdy tego uczucia, tej na-

miętności... Ta błyskawica szczęścia mignęła mu tylko...

Zamyślony, biedny, wszedł nieśmiało na schody i zadzwonił. Na odgłos dzwonka sama Anzelmka wybiegła do przedpokoju.

— A wiesz! otóż zgadłam że to ty! jakże to dobrze że przyszedłeś. Ciocia posyłać chciała...

Bernard przywitał się zmieszany.

— Chodź! dodało dziewczę— czekamy z herbatą. Mamy kasztany doskonałe, jabłka tyrolskie, które ty lubisz...

Na to szczebiotanie wyszła i Ciocia Turska. Jednego spojrzenia dosyć jej było, ażeby poznać że Bernard był pod naciskiem jakiegoś wielkiego cierpienia. Podwoiła więc wesołości i dowcipu, aby go rozerwać...

— Ja mówię, odezwała się około herbaty biegając Anzelmka, że to nie ma nic brzydszego jak się starzeć. Oto proszę Cioci... ten Bernard... taki był niedawno wesół i wyśmienity, a teraz ponury, smutny... jakby chory... Jabym go gdzie wyprawiła na kurację...

— Prawda — dodała Chorążyna — Bernard się nawet zbyt wczesnie jakoś zestarzał... a raczej spoważniał — ale ty jako dobrą siostrą powinnaś go swoją wesołością wyleczyć.

W tej chwili trudnem nieco było rozchmurzyć biednego chłopca, przecież Anzelmce udało się wspomnieniami dawnymi zatrzeć świeże i zawiązać z nim cale ożywioną rozmowę. Oczki jej niewinne, nieznające własnej siły, pomagały do tego wielce...

Marszałkowicz zabawił tu daleko dłużej niż miał zamiar, trochę się rozerwał, a przynajmniej uspokoił.

Miał odchodzić, gdy Ciocia Turska zatrzymała go, szepnąwszy na ucho że ma z nim kilka słów do pomówienia.

— Nie chciałam ci tego mówić wcześniej, szepnęła — ale istotnie — miałam nawet posłać po ciebie.

Odeszli razem w drugi koniec salonu.

— Przychodził do mnie dziś Prozorowicz, rzekła, nie wiedząc gdzie ciebie szukać. Matka ma zaś do ciebie żal — nie wchodzę tam w to za co i jaki... ale ją zmartwiłeś mocno. Ty wiesz jak ona czuje najmniejszą rzecz silnie i bierze do serca. Zdaje się że i to nieporozumienie zbyt mocno ją obeszło... od dni kilku leży chora...

Nie ma zapewne nic niebezpiecznego, jednakże doktor siedzi tam, jest dosyć cierpiącą i zdaje mi się, że obowiązkiem twoim było by pojechać do Stadnicy.

My tam wyjedziemy jutro. Nic jeszcze nie mówiłam Anzelmce, która ją kocha jak matkę, aby jej przedwcześnie nie martwić...

Spojrzała na Bernarda, który stał jak winowajca z głową spuszczoną.

— Ja nie wiem czy Mama mnie przyjąć zechce i czy moje przybycie... czy ja... nie będę powodem do nowego zmartwienia.

— Ale nie — jedź z nami — ja Matkę przygotuję, bądź spokojny. Z twojej strony jest to obowiązek...

ujmiesz ją tem dla siebie... Proszę cię — namyśl się — jedź z nami...

Zawahał się Bernard i odłożył postanowienie do jutra...

— My jedziemy około południa—dodała Ciotka... urządz się tak ażebyś mógł zabrać się z nami, nie potrzebujesz poczty ani powozu — mamy miejsca dla ciebie aż nadto...

Przyślę się dowiedzieć...

Tem go pożegnała Chorążyna.

Bernard wyszedł wzruszony i powlókł się rozmyślając do domu. Tu nowa go czekała niespodzianka, w krześle od dwóch godzin już siedział Prozorowicz i drzemał wyglądając jego przybycia. Oznajmił mu o tem służący... Usłyszawszy chód Burgrabia co prędzej przetarł oczy...

— A przecież pan jesteś! zawołał, ale gdzież do późna tak...

— Byłem u Chorążyny.

— Żem ja się tego nie domyślił, odezwał się wstając stary — to już pan zapewne wiesz?

— Mówiła mi Chorążyna że Mama trochę chora...

— Trochę chora! powtórzył Prozorowicz—nie chcę pana straszyć — ale pan znasz najlepiej naszą panią. Lada czego się ona w łóżko nie położy, a kiedy już leży musi być źle. Doktorów nie lubi i nie wierzy w nich, a jednak doktora wezwano... Coś być

musi. Uderz że się pan w piersi, nie inna przyczyna tylko ta nieszczęsna Fantecka.

Bernard się wzdrygnął...

— Co to w bawełnę obwijac — kończył stary. Pański obowiązek dziś tam być...

— Lecz Mama mnie widzieć nie zechce! przerwał Bernard.

— Niewiadomo, a bądź co bądź, syn tam powinien być — to darmo...

— Jakże ja się ztąd oddalę?

— A dla czego? przerwał Prozorowicz. Jeżeli to kobieta uczciwa i rozumie obowiązki, pojmie że miejsce pańskie jest tam teraz.

Marszałkowicz porwał się za włosy, stary mu się przyglądał zdaleka.

— Trzeba jechać, nalegał — inaczej i świat i własne sumienie pana potępi. Bardzo piękna rzecz miłość, ja to też wiem, bom się w mojej żonie tak kochał, że gdyby mi jej byli nie dali, siłą, mocą bym ją był porwał — jak Boga kocham — ale co matka to nie kochanka...

Proste wyrazy Burgrabiego trafiły do przekonania Bernarda — odpowiedział krótko — Pojadę.

— A najlepiej będzie — dokończył Prozorowicz biorąc już za czapkę — gdy panicz koni osobno nie będziesz najmował — po co ten expens. Jedzie jutro Chorążyna, zabrać się razem.

Ona też ułatwi panu i przystęp do Marszałkowej — Dobranoc...

Bernard i temu już nie zaprzeczył. Przywiązanie do matki odezwało się w sercu, kochał ją i bolał nad tem że mógł być przyczyną jej choroby.

Po wyjściu Burgrabiego siadł do listu — oznajmił w nim Sewerynie o chorobie matki i konieczności wyjazdu, zaklinając ją, aby mu się pożegnać dozwoliła, przyrzekając jak najprędzej do niej powrócić. Wyraził i tę nadzieję że potrafi może przebłagać matkę i skłonić ją, do zezwolenia na ich połączenie.

List ten krótszy niż zwykle, natychmiast zapieczętowawszy wyprawił Bernard przez zręcznego chłopaka, zaklinając go, aby mu koniecznie, mimo spóźnionej godziny przyniósł odpowiedź.

Wysławszy go począł chodzić po pokoju oczekując odpowiedzi z najwyższą niecierpliwością. Sydorek, wysłany z kartką, poleciał do dworku i ledwie się do bramy dostukał. Otworzono mu ją, w sypialnych pokojach świeciło jeszcze — pani Rumińska usłyszawszy hałas wyszła w szlafroku i nocnym czepku i sama zanosła Sewerynie, która już leżała w łóżku, piękną bransoletę trzymając przy sobie na stoliczku.

— Oto masz o północy jeszcze nadzwyczaj pilną epistołę od tego twojego waryata — odezwała się Balbina.

— A! rzuć tam na stół gdzie chcesz... prawdziwie że mnie tem pisaniem zamęcza... oczy bolą—ja przy lampie czytać nie mogę.

— Ale chłopak czeka na odpowiedź!

— Jeszcze czego, krzyknęła zniecierpliwiona Fanteczka, każ że go wypędzić.

— Zobaczmyż choć co pisze.

— A! te mokre od łez czułości! syknęła Seweryna.

Ciekawa gosposia rozerwała już kopertę, siadłszy przy lampie, rzuciła okiem na list i wstała nagle.

— Widzisz—rzekła, i tym razem to nie same czułości — posłuchaj.

Seweryna zwróciła od niechcienia głowę, a przyjaciółka czytała:

„Najdroższa moja! Cios po ciosie na mnie uderza. Wyszedłem na pół zabity od ciebie i przez ciebie... W domu znajduję wiadomość o chorobie matki. Dla nas obojga, dla przyszłości naszej czuję że powinieniem i muszę jechać... Ty nie będziesz temu przeciwną... Jadę jutro — ale wyjechać bez pożegnania, nie ucałowawszy stóp twoich, nie mogę — pozwól bym przyszedł, nadewszystko bądź dla mnie dobrą i litościwą... Tyś teraz tak dziwnie surową — a ja cierpię tyle! Sewerynko“... Tu następowały błagania i modlitwy. Leżąc w łóżku pani Fantecka, słuchając zwijała na palcach włosy i patrzyła na białe swe rączki zamyślona. Gdy Rumińska dokończyła, nastąpiło milczenie długie...

— Cóż mu odpowiesz?

— A! niech sobie jedzie do Matuni! niech sobie jedzie! odezwała się Fantecka — wstrzymywać go nie będę...

— I przypuść-że go do swego oblicza...

— Dobrze, dobrze — przerwała Seweryna, tylko proszę cię, moja Balbisiu, ażebyś ty była przy poze-

Klin Klinem.

11

gnaniu i nie odchodziła. Natarczywy jest, rzuca mi się do twarzy, włosy mi poplącze i widać potem... a ja tego nie lubię.

— Chcesz odpisać — dam ci papier.

— Gdzież tam? po co? przerwała Fantecka, chłopcu powiedzieć żeby przyszedł rano i po wszystkim. Już mi to pisanie dojadło... Skarży się że zimno mu odpowiadam...

Ruszyła ramionami białemi i westchnęła. Rumińska natychmiast odprawiła posłańca i wróciła do przyjaciółki, która jeszcze loki na palcach zwijała.

— Wiesz! wiesz, kochanie moje, że się to dziwnie składa... Soleckiemu nikt przeszkadzać nie będzie.

Właśnie o tem myślałam... ale powiedz mi, ciągnęła dalej leżąca w łóżku — jak ci się zdaje — czy na tego Soleckiego rachować można na pewne?

— Stanowczo! to nie ulega wątpliwości, zresztą, sama się z nim rozmówisz...

Seweryna ziewnęła.

— O mój Boże! mój Boże, jak my kobiety biedne — nieszczęśliwe jesteśmy!!

— O! to prawda! potwierdziła Rumińska i pocałowała ją w czoło.

— Dobranoc.



Marszałkowa była słabą, ale w istocie chorobę tę, a raczej zmęczenie i smutek powiększono umyślnie ażeby ściągnąć do niej syna. Prozorowicz był czynną sprężyną w całej intrydze, on ją niewidzialną ręką prowadził.

Nazajutrz też rano, gdy się zapewnił że Bernard wyjeżdża, przekradł się do protegowanego przez siebie pana Piusa Soleckiego, który się zdziwił nieco trochę wczesnej wizycie.

— A to ranny ptaszek z Burgrabiego! zawołał.

— Bom ja stary i spać nie mogę, rzekł siadając Prozorowicz, a z dobrą nowiną, do poczciwego człowieka nigdy zawczasie przyjść nie można.

— Z dobrą nowiną! poskoczył, na kolanach mu kładąc ręce Solecki — czyż może być?

— Czekaj! słuchaj! odezwał się Prozorowicz — wiesz że szczerze ci sprzyjam więc chciałbym cię na ludzi wyprowadzić! Przez tę kobietę wejdiesz w świat... a tu ci widocznie do niej losy sprzyjają.

— Zmiłuj się.

— A ot co—matka naszego Bernardka, pani Marszałkowa zachorowała ze zmartwienia—syn jedzie do niej, pewnie dni kilka zabawi — masz pole otwarte. Nikt ci przeszkadzać nie będzie. Mówiłeś mi żeś sobie starał ująć Rumińską, bardzo to sprytnie. Bijże żelazo póki gorące. Jego tu nie będzie... możesz po trzy razy chodzić... na dzień...

Solecki rzucił się na szyję staremu.

— Dobrodzieju, łaskawco — zbawco! czem ci służyć? śniadankiem, wódeczką? likworem? winem?

Pan ex-pisarz gdy się tylko poczuwał do wdzięczności naprzód wpadał na myśl traktamentu. Był to stary nałóg jarmarczny zapijania mohoryczu.

— Daj ty mi święty pokój z twojem śniadaniem—ja moją kawę wypilem i nic w gębę nie wezmę, aż przed obiadem...

— Kiedy wyjeżdża? zawołał Solecki.

— Dziś, około południa... po obiedzie możesz już iść na śmiało i siedzieć bodaj do nocy.

Ścisnął jeszcze raz starego pan Pius i spytał go, czyby nie mógł zanieść z sobą cukierków paryzkich.

— Zanieś lepiej dużo sprytu i zręczności—odparł Prozorowicz, na słodycze czas będzie...

Solecki myślał już o ubiorze, Burgrabia go porzucił.

Gdy się to działo w Hotelu, Bernard po nocy bezsennej, biegł do dworku pani Rumińskiej. Panie już były ubrane na rano i siedziały, oczekując na

niego przy herbacie. Posłyszawszy idącego, Seweryna szepnęła przyjaciółce.

— Tylko proszę cię nie odchodzi!

Marszałkiewicz wbiegł milczący i zasepiony, przywitał się zaledwie z gospodynią i pobiegł przysiąc do Seweryny... Spojrzał jej w oczy aby z nich zaczerpnąć trochę siły — a nie znalazł nawet litości. Spoglądała nań surowo pani Fantecka, bawiąc się kutasami od szlafrocza...

— Więc jedziesz — rzekła dosyć obojętnie — a ja — zostaję tu sama.

— Chcesz bym nie jechał? spytał Bernard.

— A! nie! obowiązki dla matki umiem przecie szanować, poczęła pani Fantecka — wcale go nie wstrzymuję...

— Będę pisał — co dzień! dorzucił Bernard.

Seweryna spuściła oczy...

— Któż wie — kończył, może to chwila stanowcza — może potrafię skłonić matkę...

Kobieta niedowierzająco potrząsała główką... Nie spodziewam się — szepnęła.

— A! mój Boże — chwytając jej rękę niemal gwałtem i niosąc ją do ust, rzekł Bernard — ani słowa czulszego na wyjezdne, ani wejżenia coby mi wlało odwagę, Sewerynko! jakże ty dla mnie jesteś nielitościwą. Ja cię nie poznaję...

— Panie Bernardzie — pan mnie zamęczasz temi wymówkami, poważnie poczęła Fantecka — ja kome-dyi grać nie umiem — jestem zawsze taką jak mnie Bóg stworzył...

— Byłaś inną, czulszą...

— Złamało mnie nieszczęście.

— I wystudziło serce?

— Panie Bernardzie...

Zamilkł biedny — zrobiło mu się przykro...

— I tak się rozstaniemy? spytał.

— Czy chcesz żebym ci się przy Balbinie na szyję rzuciła.

Trochę dotknięty Bernard chciał wstać, pani Fanteckiej w końcu się go żal zrobiło. Tego ranka porównywając jego szlachetne rysy i twarz piękną, z pospolitą bardzo Soleckiego, przyznawała w duchu iż żal jej trochę będzie dymisywanego anioła. Następca nie miał kwalifikacji tej, ale na męża był tem wyśmienitszy.

— Śliczne chłopię, rzekła w duchu — i takie czułe! Jaka to szkoda że ta matka... i te pieniądze i ten rozwód...

Uśmiechnęła mu się, ścisnęła jego rękę, szepnęła czulszych słów kilka. Bernardowi jak od promieni słonecznych rozjaśniło się lice, pochwycił jej rękę ciśnąc do niej usta gorące... Zarumieniła mu się twarz; pani Balbina patrząc na to doświadczyła jakby zażdrości.

— Szczęśliwa kobieta — tak ją kocha... i to pierwsza miłość tego chłopaka — a ona...

Gdy po kilkakroć powtarzanem pożegnaniu, Bernard wybiegł nareście, a Seweryna jeszcze w oknie stanęła, aby mu przesłać ostatnie wejrzenie, bo i jej

na chwileczkę zrobiło się troszkę smutnawo, Rumińska nie mogła wytrzymać by nie zawołać:

— Tak cię już żaden kochać nie będzie...

Potem siedziały obie trochę zamyślane, ale w godzinę potem jakiś bezimienny adorator, w którym łatwo się było domyśleć Soleckiego, przysłał bukiet bardzo piękny.

Była to jakby zapowiedź odwiedzin popołudniowych i obie panie nań oczekiwały. Seweryna umyślnie włożyła bransoletę, namówiwszy przyjaciółkę aby ją wzięła także.

Pius w karmazynowym krawacie, przystrojony jak mógł najśmieszniej, zjawił się zaraz po obiedzie.

Rozmowa z nim była bardzo ciężką, w myśli nie był bogaty, świata za Kijów, Berdyczów i Bałtę nie widział, ale wzdychał rześście i znacząco, uśmiechał się, w padłszy w ferwor zaczynał kłąć—natychmiast się opamiętywał i przerywał, czem przynajmniej do wesołego śmiechu pobudzał. Pani Rumińska lepiej z nim umiała rozmawiać na słowa, a Seweryna oczyma.

Julka nawet przydała się do utrzymania konwersacji do herbaty...

Solecki ani myślał wychodzić. Po herbacie został póki tylko mógł. Pani Fantecka z pół godziny z nim chodziła po salonie, a choć w tym czasie nie wiele mógł wypowiedzieć ze swych sentymentów, rachował na to że się zręczna kobieta ich domyśli. Nazajutrz asm się zaprosił na obiad...

Balbina choć nie przeszkadzała trzymała się dosyć neutralnie — ten romans w jej domu — mający wyjść na jaw, nie bardzo jej był na rękę — chwilami ją to niecierpliwiło...

Fantecka też rada była stanowczego coś już postyszeć, ale Solecki się wahał z obawy, aby jakim przyzwoitościom nie uchybić. Tak minął tydzień.

Za każdą pocztą pani Seweryna odbierała list od Bernarda.

Pierwszy był płomieniami pisany, ognisty drugi, wszystkie czułe, przecież różnica się w nich jakaś rozpoznać dawała... Bernard narzekał na brak wiadomości i odpowiedzi... O matce i o sobie nic nie donosił, było to znakiem że dobrego nic nie miał którem by się mógł podzielić.

Seweryna raz odpisała kilka słów, a że Bernard obawiał się by jej listów nie przejmowano i nie poznano pisma, uprosił Prozorowicza aby on pośredniczył i wysyłał je pod swoją kopertą. Burgrabia tak to jakoś urządził, że list nie doszedł do Stadnicy...

Tymczasem Solecki szturm przypuszczał do pani Fanteckiej, która go wcale nie odstręczała. I to już było bardzo wiele.

Po tygodniu spytał pani Rumińskiej czyby już mógł się oświadczyć. Ją to dosyć nudziło. A rób tam sobie jak chcesz... rzekła pozbywając się.

Obawiając się powrotu współzawodnika, pan Pius jednego wieczora postanowił wreszcie ryzykować oświadczenie. Sęk był w tem że nie wiedział jak to przy-

zwoicie dopełnić. Za czasów swojego pisarzowania, dwa razy wprawdzie próbował szczęścia, raz oświadczywszy się ekonomównie, która mu odpowiedziała otwarcie:—A! to mi jaki! patrzajcie czego mu się zachciało! Drugi raz córce bogatego duchownego wyraził tak niezgrabnie miłość swoją, iż mu się w nos rozśmiała... W tym nowym świecie w który go majątek wprowadził, jak się odbywały oświadczyiny i w jakich granicach powinien się być trzymać sentyment, nie był pewnym. Obawiał się albo nie dosolić lub przesolić... słowem, im chwila ostateczna zbliżała się więcej, rósł bardziej niepokój biednego konkurenta.

Ale miał pod ręką przyjaciela. Z rana zaprosił na obiad do siebie Prozorowicza i zadysponował w hotelu co się zowie wytworny, a do niego wino stare, którem Burgrabia nie gardził.

Z pewną przebiegłością, dopiero przy deserze przysunął się do starego z krzesłem, rękę położył na poręczy i spuściwszy głowę szepnął mu do ucha...

— Wie pan Burgrabia — nadeszła godzina — nie ma co! albo starosta albo kapucyn... muszę się jej oświadczyć... a no, przyznam się kochanemu panu że w tych bywalicach nie bywałem... jak to to? taka edukowana... czort ją wie? Jak tu jej powiedzieć?... a nu — wyrwie się co, do stu dyabłów, za tłustego... albo ja wiem...

Machnął ręką.

Prozorowicz w twarz mu patrzył z ironicznym pół uśmiechem.

— Powiedz no pan, jak by to to? poradź.

Ścisnął starego za rękę...

— Cóż u diaska — szepnął Burgrabia emokzcząc wino — czyż nie wiesz jak kobiecie powiedzieć, że ci się podobała!

— Ale ba! Kaśce lub Maryśce, to ja bym wiedział jak dać do zrozumienia... Pochwyciłbym ją w pół, i pocałował.. to by się reszty domyśliła... a tu... niewypada. No—i trzeba tej, jak to tam nazywają, rytoyki, czy coś, trochę... Pan to wiesz, naucz mnie.

Prychnął Prozorowicz.

— E! wstydziłbyś się zaś, o takie rzeczy mnie starego pytać, com o nich miał czas zapomnieć.

— Ale no... naprzykład! nalegał Pius.

Stary, któremu się oczy śmiały powstał z krzesła.

— Cóż robić, rzekł, przyjacielowi dopomóż potrzebna... Mówiłeś z nią już kiedy coś takiego że by się mogła domyślać czegoś?

— E! ona to doskonale wie, że mi głowę zawróciła.

— Więc prosta rzecz — odezwał się Burgrabia— zostawszy sam na sam, bo przy ludziach tego mówić nie wypada, weź ją za rączkę, pocałuj i powiedz: O! pani — jakże bym był szczęśliwy, gdybym tę śliczną dłoń jej mógł na zawsze zatrzymać.

Solecki palnął się dłonią po nodze.

— Jak Boga mego kocham! Śliczności. Czekać do brodzieju! jak! jak! jak? Jeszcze raz powtórz...

Prozorowicz powtórzył — ten westchnął.

— Jabym tego nigdy w świecie nie wymyślił... rzekł smutnie — nie dokończyłem szkół i nieodebrałem edukacji jak należy.

— Pan Bóg ci za to dał pieniędzy dużo—odezwał się stary — dasz sobie radę na świecie, a ta kobieta cię poprowadzi...

Napił się Burgrabia. Jeżeli by ci na ten sposób nie wypadło -- dodał, możesz i inaczej przystąpić do tego. Naprzykład... westchniesz raz i drugi ale ciężko, tak żeby ona to usłyszała. Spyta cię naturalnie: czegoż to pan tak wzdychasz.

— Ale czy spyta?

— Niezawodnie, kobiety o to zawsze pytają, ciągnął dalej stary...

Odpowiesz jej: wdzięki i przymioty pani dobrodziejki, wywołują z mej piersi te westchnienia. One mnie uczyniły nieszczęśliwym, a łaska jej szczęśliwym by mnie uczynić mogła...

— Jak to powiedziano! zakrzyknął Solecki a! panie Burgrabio... chyba się na pamięć nauczę...

— Ale są tysiączne sposoby — dodał stary...

Namyślił się Solecki — ten pierwszy komplement o do ręki — rzekł, najlepiej mi się podoba, bo go spamiętam najłatwiej, a ona zrozumie. .

Nalał sobie wina kieliszek.

— Zdrowie pana Burgrabiego.

— Bóg ci zapłać, mówił uradowany w duchu Prozorowicz — pamiętaj tylko dla bezpieczeństwa, miej

pierścionek na podoręczu, abyś zaraz go jej oddał — to tak jak połowa ślubu...

Uśmiechnął się Solecki pokazując ręce swoje pełne pierścieni.

— Na tych nie zbywa — rzekł — będzie miała do wyboru...

W ten sposób przygotowany, z bijącym sercem, powtarzając sobie lekcję Burgrabiego, poszedł pan Pius na wieczór do dworku pani Rumińskiej.

Gospodynię te zaloty, o których już naturalnie w miasteczku mówiono, niecierpliwiły i niepokoiły, rada by była ażeby się to skończyło. Nie od tego była może i pani Fantecka, która codzień prawie rozpoczynała rozmowę o swoim „aniele“, wzdychała do niego przed Balbiną, a w chwilę potem śmiała się i bawiła z Soleckim, wyzywając go oczyma w najlepsze! Jak to się u niej razem z sobą godzić mogło, ta tęsknota sentymentalna za złotowłosym i to bałamuctwo z ex-pisarzem — wytłomaczyć trudno. Ostatniego wieczoru, gdy pani Balbinie zaczęła znów mówić o Bernardzie i unosić się nad nim, wdowie wyrwały się słowa:

— Jeśli go tak kochasz, toćbyś nie powinna durnyć tego Soleckiego, bo jednego z nich wybrać trzeba.

— Moja droga, tęsknie wzdychając zawołała Fantecka — jak ty w moje położenie wejść nie chcesz? Ja jestem tak nieszczęśliwa! tak nieszczęśliwa! Bernard jakiem się przekonała teraz, nie jest panem swojej woli — mamże jego i siebie uczynić nieszczę-

śliwą? Wolę spełnić ofiarę a jego oswobodzić, pokój przywrócić rodzinie — pójdę za Soleckiego, choć go nie kocham... cóż robić! To nasze przeznaczenie.

— W takim razie lepiej powrócić i żyć z poczciwym Fanteckim.

— Z tym tyranem? gwałtownie przerwała Seweryna a za nic w świecie! Jak ty możesz nie widzieć tego, że Soleckiemu ja będę rozkazywała, gdy ten ohydny Fantecki trzymał mnie jak niewolnicę na uwięzi.

— Rób jak chcesz — zakończyła krótko Balbina.

Nazajutrz wieczorem przyszedł Solecki wyświeżony, uśmiechnięty, powtarzając sobie w duchu lekcję Prozorowicza; przyniósł bukiet bardzo piękny... Do herbaty nie było sposobności wynurzenia się z sentymentami, roztargniony, czekał chwili stanowczej. Szczęściem pani Fantecka wyszła się przechadzać po salonie, Solecki wstał i poszedł za nią.

Grzybowicz i Julka pozostali przy herbacie. Pan Pius czatował tylko na rękę, ale, jakby na złość, Seweryna obie ręce trzymała złożone... Czas upływał Solecki czuł że zręczność utracić może. Rozmowa szła tego dnia jak po grudzie. Zbliżyli się do okna. Co tu było począć...

Solecki wyciągnął dłoń, błagając o podanie sobie rączki. Fantecka głową potrząsała i dziwnie jakby zdumiona tą poufałością spojrzała mu w oczy.

Zmieszał się konkurent. Druga forma nieco skomplikowana oświadczenia się wyszła mu z pamięci.

Co tu było począć. W takich razach pan Pius, zwykły był nadrabiać fantazyą i zakląwszy w duchu postanowił puścić się na azard własnego natchnienia.

— Pal dyabli — pomyślał — co ma być to będzie, smażyć nie ma co — hul w wodę...

— Pani dobrodziejko — odezwał się odkaszlując — jak Boga mego kocham miałbym coś bardzo ważnego do powiedzenia a nie śmiem.

— Cóż to takiego...? spytała ostygłym głosem Fantecka.

— Chodzi o los mój, pani dobrodziejko, jak Boga mego kocham.

— Nie rozumiem — mów pan wyraźniej.

— A nie będzie się pani gniewała?

— Czy to ma być co takiego co może do gniewu pobudzić?

Tu Solecki po herbaciany pot otarł z czoła chustką batystową, westchnął i z pewną gracyą oficyalistowską wachlować się zaczął.

— Co to panu tak gorąco? ironicznie spytała Fantecka.

— A! gorąco! gorąco! rzekł niespokojnie się rzucając Solecki i namyśliwszy się, raz jeszcze wyciągnął dłoń po rękę pięknej pani.

Tym razem podała mu ją z uśmiechem, pan Pius usta do niej przyłożył, ale skutkiem wzruszenia wielkiego, frazesu podyktowanego przez Burgrabiego — zapomniał.

— A! ta rączka — krzyknął przytrzymując — ta rączka...

Fantecka się uśmiechnęła.

— E! do stu... gdyby ta rączka moją być mogła. .
Ledwie to wymówił Seweryna mu ją wyrwała
i spójrzała groźnie.

Solecki struchlał.

— Cóż to ma znaczyć? spytała.

— Co? — no — to już nie będę w bawełnę obwijał —
krzyknął zrozpaczony Pius — gdybyś pani mnie
chciała uczynić szczęśliwym, jabym — jabym...
u nóg się jej położył... abyś mnie deptała!!

— Pan się mi oświadczasz? podchwyciła Sewe-
ryna.

— Tak jest — jak Boga mego kocham — najfor-
malniej...

Chwila niepewności i milczenia nastąpiła, ale twarz
Fanteckiej nie zbyt była surową, zamyśloną tylko.

— Czy pan wiesz na co się narażasz?

— Pani — choćby przyszło pół majątku stracić
i strzelać się (wymówił to dobitniej, strzylać), mnie
to wszystko jedno, gotów jestem na wszelkie ofiary
bo mnie pani oto poprostu — oczarowała.

— Nie cofasz się więc pan? powtórzyła Fan-
tecka.

— Przed nikim, nigdy — jak Boga mego ko-
cham...

Seweryna z wielką uroczystością i powagą poda-
ła mu rękę. Pius ukląkł na jedno kolano, a że mu
pilno było zaasekurować się od ewentualnej zmiany,
klęcząc zdjął co najprędzej pierścień z brylantem

z palca i włożył go na paluszek Fanteckiej. Ona też nie chcąc być w długi, małą obrączkę z niezabudką z drobnych turkusów dała mu drżącą ręką. Solecki wstał zwycięzki...

— Stało się! rzekła wdychając Seweryna — chodź pan, siadaj przy mnie — i mówmy otwarcie, bo jest wiele warunków do spełnienia, nim będziemy być mogli połączeni...

Pan Pius spełnił rozkaz i siadł... świat mu się uśmiechał. Patrzał na tę piękność tak zachwycającą i w duchu sobie powtarzał.

— Ta kobieta — śliczności, ta — którą zaswatał sobie Marszałkowicz... będzie moją... moją żoną... Trzysta!! moją, tego odertusa co niegdyś chodził bez butów...

Seweryna z wielką powagą rozpoczęła z chłodną krwią wyliczanie punktów przedugodnych.

— Już to pan dobrze wiesz, rzekła, że się we mnie kochał szalenie pan Bernard Zniński... Ja go nie kochałam, alem się chciała uwolnić od tyrana. Teraz z panem Bernardem ja muszę grzecznie zerwać sama. Niech pan to mnie zostawi, bardzo proszę — i dopóki to nie nastąpi, nie rozgłaszaj o niczem.

— To mnie wszystko jedno — będę milezał — dla czego nie...

— I to pan wie, że ja — obecnie — żadnych nie mam funduszów... Być może iż po matce, która była z domu Hohenlandówna, coś spadnie, ale na to potrzeba czekać.

— E! o to tam, pal ich... (tu się zatrzymał Solecki) ja o to nie stoję... proszę pani, mam pieniędzy dość. Mniejsza z tem.

— No — i na rozwód łożyć potrzeba — i o to się starać — dodała Fantecka.

— Jam do tego przygotowany, zawołał Solecki, co ja się mam tu w konsystorzu nogami kłaniać — ja pojedę choćby do Rzymu, a rozwód musi być.

Pani Fantecka uśmiechnęła się. Solecki pocałował ją w rękę — i szepnął:

— Niech pani dobrodziejka z tym panem Bernardem nie odkłada — czem prędzej skończyć tem lepiej — jak Boga mego kocham — resztę ja biorę na siebie.

Pomniejsze niektóre układy odbyły się ścicha, poufnie, w coraz lepszym porozumieniu. Pius się godził na wszystko, wymagał stosunkowo nie wiele, Seweryna poczuła od pierwszego zbliżenia się że nad nim panować będzie.

Gdy po ukończeniu herbaty i nakarmieniu pieska przez Julkę, pani Rumińska, ona i Grzybowicz weszli do saloniku, znaleźli pana Soleckiego na kozetce z panią Fantecką tak blisko siebie siedzących i sobą zajętych — że Balbina się zarumieniła, domyślając iż umowa musiała być zawartą.

W chwilę potem postrzegła pierścień na palcu przyjaciółki i już nie potrzebowała jej pytać o to. Sama zresztą postawa i mina bardzo szczęśliwego Soleckiego dostateczną była, by zdradzić tajemnicę. Reszta wieczoru upłynęła na nie znaczącej rozmowie. Gdy

Pius z Grzybowiczem wyszli, zawsze teatralna w swych ruchach i mowie Fantecka, rzuciła się na szyję przyjaciółce.

— Balbisiu — pobłogosław nas! Stało się — los mój rozstrzygnięty... Ofiarę z siebie czynię dla szczęścia Bernardka! Idę za Soleckiego — dałam mu słowo...

Apostrofa ta nie zdziwiła wcale gospodyni...

— No — chwala Bogu — odezwała się — raz się to przecie skończy... Myślże teraz jak odprawisz pana Bernarda tak ażeby awantury nie zrobił Soleckiemu, lub sam nie padł ofiarą twoją.

— A! ten mój złotowłosy! dobry, czuły Bernaś! o! tak jak on nikt mnie kochać nie będzie...

Chociaż — rzekła zmieniając ton — chociaż wiesz, Solecki też rozgorzał strasznie! Ja z nim zrobię co zechcę.

— Ale z Bernardem? cóż z nim poczniesz?

— Proszę cię — zawołała Seweryna — muszę czekać aż przyjedzie i znaleźć jakiś pretekst. Na tym mi nie zabraknie... Matka — rodzina — jego szczęście, moje położenie. Ja przecie dla niego czynię tę ofiarę.

— Tak... słyszałam o tem — cicho szepnęła pani Balbina.

Przyszła pani Solecka była w usposobieniu długiego bardzo rozpamiętywania swej domniemanej przyszłości, mówić zaczynała o domu, o dworze, o życiu, o wszystkim aż do ekwipaża i liberyi, ale pani Rumińska jakby naumyślnie miała tyle do biegania

z kluczykami, tak jakoś była roztargniona iż się wypowiadać z marzeń swoich nie miała przed kim. Poszła więc do zwierciadła u którego bardzo przesiadywać lubiła i rozpuściwszy czarne włosy, zwijając je na paluszkach, rozmyślała po cichu sama przyszłe szczęście swoje, napawając się niem przedwcześnie...

Na toalecie pod lustrem leżał cały stos listów Bernarda, rozpieczętowanych i nietkniętych: spójrzała na nie i westchnęła...

Wzięła nawet jeden z nich od niechcenia, położyła go przed sobą i jakiś czas go uśmiechając się smutnie czytała, niekiedy poruszając ślicznymi ramionami białymi.

Ktoby ją był zobaczył tak zadumaną nad temi poetycznymi młodzieńczymi utworami serca, wniósłby pewnie iż ją wielce zajmowały. W myśli przecież więcej myślała o przepychu, z jakim dom urządzi, niż o miłości Bernarda, która jej się wydawała jakąś dziwaczną, straszną.

Żal jej trochę było złotowłosego anioła — serce uderzyło czasem, a głowa wnet unosiła gdzieindziej. Odsunawszy list poczęła się wpatrywać w pierścień który jej na palce włożył Solecki. Błyszczał na nim soliter śliczny, a odbijające się światło iskrami go okrywało.

Zdjęła go aby obejrzeć — piękny był i na rękę wydawał się dziwnie ładnie, jakby dla tych palców był zrobiony... Seweryna pomyślała że z takich kamieni na szyję sznur byłby cudowny.

— Po ślubie musi mi go sprawić! powiedziała sobie.

Potem na myśl przyszła jej twarz Piusa... Niestety! brzydkim nie, ale wdzięcznym nazwać się też nie mógł...

— Ja go wytresuję, rzekła — musi inaczej wyglądać. Dobry jakiś człowiek, a tak mnie kocha!

Ten wyraz przypomniał Bernarda.

— Ja go nigdy nie zapomnę — dodała w duchu — ale dla jego szczęścia musiałam uczynić tę ofiarę. On nie miał by nic... Piękna rzecz mrzeć z głodu — męczyć się! Co mi za miłość w łachmanach i przy machinie do szycia! A pfe! a pfe! Jeszcze by broń Boże familija się powiększyła i te beki...

Wstrząsnęła się aż pani Fantecka ze zgrozy, myśl pobięła w inną stronę — poczęła myśleć jak się urządzi w Lisiance u Soleckiego...

— Pałac musi postawić! z kolumnami — park... do koła... Fontanna w dziedzińcu — żelazna krata... Liberya... dla czego nie ma być paşowa?? albo cytrynowa...

Pomiędzy temi dwoma barwami nie mogąc się zdecydować, gdy na dobranoc przyszła Rumińska, zagadnęła ją wchodzącą od progu.

— Proszę cię — paşowa czy cytrynowa?

— Co!

— Ale mów, paşowa czy cytrynowa?

Na której stanęło po naradzie, powiedzieć nie umiemy.

jakieś tam... — to...
 głowę...
 tak...
 to...
 to...
 tak...
 jak...
 o...
 nie...
 zajęła...

Wedle pomysłu Prozorowicza, Bernard zabrał się smutny, razem z Ciocią Turską i Anzelmką do Stadnicy. W obszernym powozie było dosyć miejsca. Siadł na przodzie milczący, zaszył się w kątek i dumiał. Anzelmka bacznie nań miała oko, niemogąc pojąć po kim by tak bardzo mógł tęsknić. Wytłumaczyła to sobie później niespokojnością o zdrowie matki.

Pierwsza część podróży upłynęła w milczeniu prawie. Bernard dał się jednak ku wieczorowi wciągnąć w rozmowę kuzynce, która na sercu miała żeby go rozbawić koniecznie. Szczebiotała nieustannie, a że ostatnie lata spędziła z Ciotką, kończąc wychowanie za granicą, obfitego przedmiotu dostarczały jej wspomnienia tych wycieczek po Europie.

Anzelmka miała dar łatwej wymowy i nadawała naiwny wdzięk każdemu opowiadaniu swojemu. Bernard rozchmurzył się trochę. Drugiego dnia, zbliżając się do Stadnicy, należało się naradzić nad tem

jak Bernard miał postąpić — czy Marszałkową przygotować należało Cioci Turskiej... lub nie. Niemożna więc było przed Anzelmką już zachować tajemnicy z tego, że pani Znińska zażalona była na syna. Nie wspomniano tylko za co.

Anzelmka zdziwiła się tem mocno i przestraszyła, łzy jej w oczach stanęły. Kochała matkę Bernarda jak własną, przywiązana była do niego, żal jej było obojga. Smutek i zamyślenie Bernarda było dla niej teraz zupełnie wytłomaczonem. Tem mocniej zajęła się kuzynkiem, nie przypuszczając ażeby bardzo był winnym. Co najwięcej domyślała się długów i w duchu obwiniła Ciotkę, że zawczasu się o nich nie dowiedziała a po cichu nie zapłaciła.

— U nas bo — myślała — tyle zawsze leży niepotrzebnych pieniędzy... bylibyśmy zapłacili — Marcia by nie wiedziała i Bernas by się nie męczył.

Ciocia Turska po namyśle postanowiła ażeby kuzynek wysiadł przed dworem, poszedł po cichu do oficyny do garbatego Burdakiewicza i tam, aż do przywołania go pozostał.

Ściemniać się już zaczynało, gdy powóz na chwilę się zatrzymał. Bernard wysiadł a Anzelmka żywo mu rękę podała żegnając go milczeniem wymownem tylko, bo bardzo była wzruszona.

Gdy powóz ruszył do dworu, Bernard znajomemi ścieżkami po za ogrodem, powoli powlókł się do Profesora.

Pomimo iż na dworze jeszcze było dosyć jasno, u garbusa paliła się już lampka i on na wysokiem

krześle z podnóżkiem, umyślnie dla niego zrobionem, siedział już nad swemi książkami gdy się drzwi otworzyły, a stary odwrócił niespodziewając się wcale Bernarda o mało z krzesła nie spadł, tak był zdziwiony jego przybyciem... Wstał a raczej zeskoczył co prędzej... Żal mu było tego ukochanego ucznia, który tak znikł dziwnie, tak smutnie, pochwycony katastrofą, jakiej profesor po jego wychowaniu nigdy nie mógł przewidywać. W duszy obwiniał trochę Marszałkową, trochę syna, a najmocniej Fanteckę, ku której czuł niemal nienawiść.

Wyciągnął obie długie nad miarę ręce do Bernarda...

— Jak się masz! zawołał—mój Boże —ale jakimże sposobem.

— Jak Mama się ma? chora?

Spojrzał tylko garbatemu w oczy.

— Mów mi prawdę.

— Ale nie ma nic straszego! rzekł Burdakiewicz, trochę chora...

— Leży?

— Myślę że siedzi tylko w swoim pokoju.

— Był doktor?

— A no — bo ja się go naparłem bez jej wiedzy tutaj sprowadzić — rzekł profesor — a panna Stanisława zgodziła się na to i posłała...

— Nie ma niebezpieczeństwa?

— Sądę że najmniejszego, podchwycił garbaty— ale pomimo iż was może niepotrzebnie nastraszone,

bardzoście dobrze zrobili żeście przyjechali. To ją najpewniej uzdrowi.

Westchnął stary.

— No — i z tą — z tą, — zerwaliście? dodał nieopatrzenie profesor.

Bernard się cofnął zarumieniony nie odpowiadając nic. Garbaty spiczastą swą głowę potarł żywo i skrzywił się.

— Siadaj — rzekł.

Dopiero od Bernarda dowiedział się też o przybyciu Cioci Turskiej i Anzelmki. Ta, równie jak Bernaś była jego uczennicą, a choć niewiele z nauki jego korzystała, profesor się do niej bardzo przywiązał. Sama nadzieja zobaczenia jej po trzech latach, aż go rozpromieniła. Wpadł w humor doskonały.

— Ot to u nas dziś święto! zawołał, o to uroczystość! daj tylko Boże, aby Bernaś nad Matką i nad nami wszystkimi co go kochamy ulitował się i został.

Chłopak smutnie spuścił głowę.

Gdy się to działo w oficynie, we dworze ruch pannaował nadzwyczajny, przybycie Turskiej i Anzelmki rozbudziło wszystkich. Wybiegła stara służba domowa witać kochaną panienkę, przyleciała panna Stanisława z uśmiechem i okrzykiem. Ciotka, kuzynka i ona wbiegły nie bardzo ostrożnie do pokoju chorej — ale kto radość z sobą niesie, ten ma prawo o ostrożności zapomnieć. Marszałkowa była ubrana i siedziała w swoim pokoju nad Naśladowaniem Chrystusa Pana...

Zobaczywszy we drzwiach Anzelmę, pobiegła ku niej z otwartymi rękami. Serce jej właśnie w tej chwili ciężkiej próby potrzebowało pociechy, a miłszej i skuteczniejszej los zesłać jej nie mógł.

— Anzelmka kochana! zawołała biegnąc ku niej.

Dziewczę przypadło na ziemię, i śmiejąc się razem a płacząc uścisnęło jej kolana...

Turska chwyciła za szyję.

— Jak się masz — droga moja!

Marszałkowa nigdy w życiu do łez nie była skłonną, ale jej wytrysnęły bez wiedzy i woli. Syn, którego jej brakło przyszedł na myśl.

Przywitanie było długie — gorące — pełne tych pół-słów przerywanych, które dla obcych nie mówią nic, a dla tych, komu są przeznaczone, tak wiele!

Anzelmka, która się tu uważała jak w domu, pobiegła z panną Stanisławą powitać swoje dawne znajome i przyjaciółki, w ostatku nawet psy podwórzowe. Ciocia Turska tymczasem siadła przy Marszałkowej ciągle trzymając jej rękę.

— Nie mów mi nic — szepnęła — ja wiem wszystko. Prozorowicz powiada iż wcale rozpaczać jeszcze nie ma czego... wszystko się to da może zmienić, usunąć — a my — myśmy ci Bernarda przywieźli.

Marszałkowa zerwała się z krzesła.

Ale po chwili namysłu — siadła.

— Dowiedział się o twojej chorobie — może mu poczciwy Burgrabia — trochę ją powiększył, nawet porzucił wszystko i przyjechał z nami. Poszedł do profesora, do oficyny.

W twarzy Matki odmalowała się niepewność jakaś, pragnęła co najprędzej syna uściskać, myślała czy jej powaga macierzyńska dozwala się tak łatwo dać przebłągać ..

Załamano ręce, spuściła głowę...

— Kochana moja — odezwała się zwracając do Chorążynnej — mów — radź — czy mam go przyjmując, zaraz... czy mi wolno do serca dziecię przycisnąć...

— Przecież to w żadnym razie nie może ci być wzbrownionem, nawet zdrową rachubą, odpowiedziała Ciotka... Pomyśl tylko — my go prędzej łagodnością niż surowością zbytnią, potrafimy i tu utrzymać i może nawrócić. Nie pozwalasz na małżeństwo — bardzo słusznie, ale czyżbyś dla projektu niedorzecznego, nawet się widzenia syna miała wyrzekać? Po co? dla czego?

— Nie przyjmiesz go z żoną.

— Nie dopuszczę tego ożenienia.

— Tem lepiej — lecz że dziś nie żonaty tylko przez płochą kobietę obalamucony, dla czego masz się wyrzekać nawrócenia go...

— Masz słuszność, ściskając Chorążynę odezwała się Marszałkowa... niech przyjdzie, niech przyjdzie!

Już chciała pochwycić za dzwonek gdy Turska rękę jej wstrzymała.

— Jeszcze jedno słowo — rzekła — o tej jejmości, o tych amorach, o wszystkim tem, już dla samej Anzelmki mówić nie godzi się — a ja jestem tego zdania, że z dobrej rachuby wypada milczeć i igno-

rować to... oparłaś się, położyłaś swe — *veto*, i — ani słowa...

— Tak — tyś daleko rozumniejsza ode mnie — z pokorą schylając głowę rzekła Marszałkowa — zdaję się na wszystko... ale — moja droga, niechże — przyjdzie...

Zadzwoniła Marszałkowa, na głos dzwonka Anzelmka wbiegła śmiejąc się razem z panną Stanisławą.

— Jestem ja — na Mamci usługi! zawołało dziewczę.

— Na ten raz się tobą posłużyć nie mogę — całując ją w głowę odezwała się Marszałkowa.

— A to dla czego?

— Owszem, owszem, przerwała Chorażyna, idź do oficyny, przywitaj się z profesorem i przyprowadź Bernarda.

Anzelmka ledwie tych słów dosłyszawszy pierzchnęła jak jaskółka.

Burdakiewicz siedział nachmurzony na łóżku przy Bernardzie, gdy drzwi gwałtownie się otworzyły, i piękne dziewczę wpadło prosto na profesora.

Trzy lata ogromnie ją zmieniły; garbus osłupiały stanął — jakiś wiersz łaciński przyszedł mu do głowy... *incesse patuit dea*.

— Panna Anzelma...

— Jak mnie widzisz... Nic się profesor nie zmienił, na włos — a ja — jak zestarzałam! patrz.

Burdakiewicz niemy... zachwycony... stał i wielbił... Bernard się uśmiechał.

— Tylkom co przyjechała... i już służbę rozpoczynam — rzekła! — Mamcia prosi Bernarda... a ja go prowadzę. Profesorze! do zobaczenia. Podała rękę milczącemu kuzynkowi, który się trochę zawahał, lecz pospieszył z nią razem.

Ciocia Turska i Marszałkowa siedziały nie mówiąc do siebie i oczekując na przybycie — dzieci, jak ich nazywały. Kroki się dały słyszeć. Marszałkowa zebrała siły, minę przybrała poważną, spokojną i gdy Bernard wszedł przychyłając się do jej kolana, słowa nie rzekłszy pocałowała go w głowę.

— Mama była chorą? szepnął głosem cichym.

— Jestem nawet dotąd nie bardzo zdrowa — ale to przejdzie... Cieszę się że cię widzę.

Popatrzyła nań. Ale i ty zmizerniałeś trochę.

Anzelmka stojąca z boku wtrąciła:

— My go tu odpasujemy — w miasteczku samo powietrze wychudza... Tu na wsi inaczej się oddycha...

Pierwsze lody były złamane. Rozmowa obojętna, ogólna, z pomocą bardzo zręcznej Chorążynnej poczęła się, a Anzelmka nie dała jej ani smutniejszego wziąć obrotu ani zboczyć z wyznaczonej drogi. Marszałkowa zwolna zaczynała swobodniej oddychać. Na herbatę postanowiła wyjść do salonu, sprzeczano się trochę o to ale gospodyni domu oparła się przy swoim. Profesor i panna Stanisława wyfiokowana do gości — pomnożyli towarzystwo. Bernard nawet potrafił się rozchmurzyć. Chwilami sądzić było można, że smutne dni przeszły jak sen bezpowrotnie i że dawne domowe szczęście wróciło. Chłopak był

szczerze wdzięczem Chorążynie i Anzelmie, iż ich przytomność nieprzyjemnej zapobiegła rozmowie. W ciągu herbaty, jak gdyby nic nie zaszło, pani Znińska napomknęła synowi, ażeby obejrzał swoje mieszkanie, wspomniała coś o koniu, zdawała się rachować na dłuższy pobyt...

Słowem Bernard odetchnął. Wieczoru tego żadne nieostrożne nie zmąciło słówko, wedle zwyczaju dał dobranoc Matce -- i poszedł do dawnego mieszkania...

Te ciche pokoiki, które przez lat tyle zajmował, na wchodzącym przejmujące zrobiły wrażenie — po ścianach ich czepiały się wspomnienia młodości... ale z ostatnich czasów, przewalczone też dni które namiętność ozłociła i zatruiła wstały jak ciernie, przywodząc mu na pamięć całe dzieje tej miłości nieszczęśliwej, upajającej — która się poczęła bez wiedzy jego niemal, rozwinęła mimo woli, doszła do wybuchu koniecznością nie pohamowaną.

Bernard siadł na krześle i oczyma przebiegając pokoje — począł przypominać całą historję Seweryny i swoją. Pierwszy raz spotkał ją na drodze i uderzony był blaskiem jej piękności. Wychowany bogobojnie i skromnie ani przypuszczał nawet, ażeby okiem i sercem mógł kiedy sięgnąć po owoc zakazany. Państwo Fanteccy przyjechali do Stadnicy... nieśmiałe chłopię przypatrywało się bóstwu z daleka i z trwogą...

Potem pojechał z rozkazu Matki odwiedzić sąsiada. Tego dnia nie było go w domu, przyjęła

chłopaka nieśmiałego piękna pani, bawiąc się jego młodością i bojaźliwością jak kotka z myszką. Rzuciła mu wejrzenia i słowa, igrała sobie ze złowłosym młodzieniaszkiem bezmyślnie...

Bernardowi żadna myśl zła nie przyszła, ale był niespokojnym. Potem nie widział jej długo, a tym czasem małżeństwo poczęło z sobą być coraz chłodniej, coraz gorzej. Bernard polował z Fanteckim, zapraszany przyjeżdżał, kiedy w głowie Seweryny zrodziła się myśl zuchwała obałamucenia go, kiedy Bernard po raz pierwszy poczuł drżącą dłoń w swych rękach... sam dziś nie wiedział.

Szło to nieznacznie, stopniami, aż dnia jednego płonące z ust wybiegło słowo i nieskarczone wywołało gorętsze jeszcze... Potem pełna obietnic odpowiedź... i szept... i pierwszy list i szal... szczęście goryczą zatrute... aż do tej katastrofy, po za którą Bernard nie widział końca...

Seweryna w domu męża, a ta jaką widywał w mieście, zupełnie do siebie nie były podobne... Czasem wątpił nawet czy on zrozumie to serce kapryśne i czy ono go zrozumie. Jej odpowiedzi na jego listy... czcze i chłodne mu się zdawały...

Smutek nim owładnął bez nadziei uleczenia.

Tu w tem starem mieszkaniu pełno było śladów innego bytu, uśmiechającego się — nie lękającego wejrzeń świata, nie sromającego siebie. Z okien spozrzał na огоłocony już z liści ogród, po za którego gałęzmi księżyc świecił wschodzący na niebie. Dalej, w tej stronie była Słomiana Fanteckich...

i te zarośla za ogrodem, gdzie ona mu się na szyję rzuciła... błagając by ją wyswobodził.

Bernard myślał, przypomniał, czuł się winnym względem Matki, żał mu było życia po wytkniętej drodze i rodzicielskiego domu. Gdy go rozgorączkowany opuszczał nie miał czasu straty obliczyć — teraz czuł ją boleśnie. Rozstanie kilku-tygodniowe, wszystko mu droższem czyniło...

Własne swe sprzęty brał do ręki witając się z niemi z dziecinną jakąś radością...

Nazajutrz po nocy prawie bezsennej wstał wczesnie, ludzie dworscy, strzelcy, służba, stajenni zaczęli się zbiegać do panicza i witać z nim z tą serdecznością prostych ludzi, która porusza najhartowniejsze temperamenta.

Wszyscy byli tego przekonania iż panicz powinien już i pozostanie z niemi. Strzelec miał ostęp opatrzony, w stajni kuto wierzchowca, mnóstwo nowin gospodarskich przynoszono mu do ucha...

Na śniadanie zebrał się wszyscy. Anzelmka była w złotym humorze, obiegła już ogród liśćmi zasypany, oranżerye, altany — wiedziała jakie zaszły zmiany... mnóstwem nowin ciekawych dzieliła się z cicią, Turską...

Dzień ten jak błyskawica przeleciał, a że wieczór był piękny, Chorążyna kazała dzieciom towarzyszyć sobie na przechadzkę... Bernard pod wpływem wrażeń domowych, prawie o swojej biedzie zapomniał.

Pod wieczór tylko podrażnił go Burdakiewicz, do którego zaszedł na chwilę. Z niezręcznością starego zasłużonego pedagoga, wyprowadził na stół całą historję Fanteckiej i bez ogródki odmalował Bernardowi ją, tak jak w jego oczach odmalowaną być zasługiwała. Obrazowych ciemnych barw nie brakło. Bernard zaprzeczał, bronił, lecz niezblagany stary argumentował z tak niezwalczoną logiką, iż ona w końcu jakimś ostrzem utkwiała w młodzieńcu. Uderzyło go to, że Burdakiewicz dowiódł mu iż miłość taka, była najcyniczniejszym egoizmem, poświęcającym wszystko sobie — i to, że miłość ta była fantazją głowy nie serca, lub szaleem temperamentu.

— Na Boga! krzyczał ręce rozstawiając garbaty, co mi pan będziesz mówił że to miłość.. Jaka mi to miłość, co się poświęcić nie umie a sobie na ofiarę ściele trupy pod nogi? A to mi piękna miłość! Któż się wam kochać bronił jak Petrarce i Laurze, jak Abeliardowi i Heloizie? Ani Fantecki ani pani Marszałkowa nie stawiliby przeszkód takiej kryształowej miłości jak łza czystej, ale tu było co innego. Jejmość się chciała od surowego męża uwolnić i waćpana za narzędzie użyła — jak Bóg Bogiem!

Bernard się trochę pogniewawszy wyszedł, lecz bezwzględne potępienie Profesora ślady po sobie zostawiło — uczuł że ta piękna historia wcale z innej strony wyglądała nieczysto i nieładnie.

Obronić siebie i jej było trudno.

W duszy Bernard przyznawał że zblądził i że się powinien był dla Matki samej wycofać z tego — lecz pomyślawszy że Seweryna z ufnością w nim rzuciła się w świat, że mu zawierzyła, że go kochała... że w jego ręce los swój oddała... powtarzał sobie: Zgiąć ale nie zdradzić!

— Będę nieszczęśliwym może, ale honor każe dotrwać...

Z Anzelmą byli jak niegdyś, ale każdego dnia lepiej — przedział tych lat trzech w czasie których się nie widywali, nieco ich zrazu obcemi sobie uczynił, kilka dni starło te lody... i przywróciło dawny braterski stosunek. Dziewczę kokietowało go zupełnie o tem nie wiedząc i bez myśli — samym swym wdziękiem. Bernard nie był ślepym i znajdował ją chwilami zachwycająco dziecinną... Trzeciego dnia musiał z nią na pamiątkę jakichś dawnych wyścigów w topolowej ulicy, biegać do mety... Dał jej pięć kroków *fora* i złapał za sukienkę niedopuszczając do starej ławki.

Ciotka która z okna patrzyła — uśmiechnęła się po cichu.

— Byle się nam nie wyrwał — rzekła. Bernard myślał o wyjeździe do Żytomierza, ale widząc Matkę chorą, nie śmiał jej tego powiedzieć, nie wiedział jak się przyznać... Tęskno mu było, a wyruszyć nie mógł. Ciotka na wspomnienie o wyjeździe, zakrzyknęła żeby ani śmiał o tem myśleć.

Pisał więc i tłumaczył się.

Klin Klinem.

13

Upływało już dni dziesięć czy dwanaście, które bardzo jakoś chyżo ubiegły, gdy jednego rana do pokoju Bernarda wszedł Prozorowicz. Prozorowicz który nigdy prawie za miasto nie wyjeżdżał.

— A pan co tu robisz? krzyknął zrywając się Bernard.

— Przyjechałem naszą panią zobaczyć, odparł kłaniając się Burgrabia — naprzód żeby się przekonać czy nam pozdrowiała — a potem że i różnych interesów jest kupa.

Dach na dworku zacieka, ogrodzenie pogniło, świnie mi do sadu wchodzą z wizytami... studnię trzeba oczyścić — bo mułem zalazła... Ja na to pieniędzy nie mam... trzeba radzić, bo się chata obali...

Tak rozpoczynawszy usiadł stary...

Bernard spytał go o list od Seweryny.

— Nie mam żadnego, ręką pogardliwie rzuciwszy odezwał się kwaśno Burgrabia. Czy jej to w głowie!

Bernard stanął milczący, czekając dalszego tłumaczenia.

— U niej się tam drzwi nie zamykają... takich adoratorów siła — dodał stary, a co Solecki to formalnie odurzał... Z bukietami i cukierkami dzień w dzień.

— Ale to do Rumińskiej.

— Gdzie zaś! odrzekł Prozorowicz—do Rumińskiej go nie dopuści Grzybowicz, do Fanteckiej jeździ. Sam mi mówił, jak Bóg miły!

— I ona go przyjmuje?

— A czemużby nie!

Bernard sarknął. Chcesz mnie odstręczyć..

— Wcale nie—wola wasza przekonać się. Jedźcie do miasteczka a postójcie jaki dzień około dworku i popatrzcie, to się przekonacie...

A cóż, kobieta wolna, przecież z wami ją nic nie wiąże... wybiera co lepiej.

— Nie — to nie może być! zawołał Bernard.

— Ja przy swoim stoję, pojedźcie ze mną i zobaczcie — jeżeli kłamię, choć stary pozwolę sobie dać na kobiercu.

Nieodezwał się już Bernard ni słowa, ale pochmurniał na cały dzień.

Prozorowicza jak zwyczajnie przyjmowała Marszałkowa z największą serdecznością, pojąc, karmiąc i obdarowując. Przez dwa dni stary bawił opływając jak pączek w maśle. Ostatniego wieczora, gdy swój wyjazd zapowiedział, byli razem z Bernardem w pokoju Marszałkowej, we troje.

Wszczęła się rozmowa o dworku.

— Wiesz co, odezwała się Marszałkowa, choć tego Żytomierza dla Bernardka nie lubię — i nie radabym żeby tam jeździł, niech się Bernard uczy gospodarować, weź go z sobą, opatrzcie razem co potrzeba... a Bernard zaraz mi powróci i zda sprawę.

— Wrócisz zaraz? spytała Marszałkowa.

Bernaś zdumiony niezmiernie, ledwie się zdobył na: wrócę natychmiast, jeśli Mama każe.

Niemógł rzeczywiście pojąć jakim sposobem Matka go sama tam mogła wyprawiać — ale zaufania jej nie chciał zawieść.

W tem wszystkim łatwo się było domyśleć roboty starego Prozorowicza.

Na wyjezdne Anzelmka mnóstwo poleceń dała i notatek co jej miał przywieść z sobą. Wyjechali tedy razem z Burgrabią.

Gdy przyszło do pożegnania z Marszałkową, powiedziała mu tylko, dziś piątek — czekam cię za tydzień z herbata.

Drogę spożytkował stary, niby nieostrożnie się z różnemi przechwałkami Soleckiego wygadując, a łapiąc sam na słowach. Przyjechali wprost do dworku i Bernard w nim stanął, bo taka była dyspozycja matki.

Zaledwie z bryczki wymknął się i poleciał — Prozorowicz go nie wstrzymywał, dał mu bowiem słowo że się przed Seweryną nie pokaże, najmniej przez dwa dni, a będzie śledził co się w dworku dzieje. Ten rodzaj szpiegostwa wstrętliwym był Bernardowi, ale był w takim usposobieniu, iż gotów się czuł na wszystko aby Prozorowicza o fałszu przekonać.

To co stary opowiadał, wydawało mu się zmyśleniem i potwarzą...

Miłość dla Seweryny ze zbliżeniem się ku niej wracała.

O mroku, z bijącym sercem wpadł na znajomą uliczkę... W oknach dworku, niezamkniętych jeszcze okienicami nie było światła. Kłamał więc Burgrabia utrzymując, że tam tak nieustannie przyjmowano o wszelkich dnia godzinach... Zaledwie się u parka-

nu zatrzymał — gdy usłyszał turkot powozu i głośne śmiechy.

Poznał konie i ekwipaż Soleckiego, a w koczku odkrytym panią Rumińską, Sewerynę i naprzeciw nich siedzącego Piusa...

Rumińska wysiadła pierwsza... wyskoczył potem Solecki, podał rękę pani Fanteckiej i podtrzymując ją, pochyłony ku niej wprowadził do domu.

Nierychło potem światła zabłyśły w oknach, spostrzegł znowu pana Piusa z Seweryną przechadzających się po salonie. Zdawało mu się, ale to wziął za przywidzenie, iż Fantecka na chwilę rękę położyła na ramieniu Piusowi i że ten ją całował długo...

Ale to przecie być nie mogło!

Bernardowi zrobiło się zimno, gorąco, chciał wpaść do dworku — powstrzymał się. W tem chłopak pozamykał okienice, i widzenie bolesne znikło. Przechadzając się po pustej uliczce Bernard dostrzegł aż do chwili, gdy Solecki po jedenastej się oddalił.

Wyszedł śpiewając w doskonałym humorze — biedny Marszałkiewicz powrócił do dworku i niezaglądać do Burgrabiego, który jeszcze pacierze mówił, zamknął się u siebie.

Nazajutrz Prozorowicz go nie widział prawie — wyszedł z rana, nie powrócił aż nocą. Lecz tym razem stary na niego czatował. Przestraszył się nie-

mal zobaczywszy go, tak był blady i drżący. Niemó-
wiono nic... rozstali się milcząco...

Dzień ten był w życiu Bernarda pierwszym roz-
czarowania i — najboleśniejszym ciosem — przekonał
się że na miłość i serce rachować nie było można.
Szczęśliwy kto takiej chwili nie miał do przeżycia,
kto zwolna ostygł i oswajał się z rzeczywistością,
nie tracąc wiary całej zarazem — wiary w człowieka,
w siebie, w świat, w przyszłość całą.

Na Bernardzie zrobiło to wrażenie zabójcze... cho-
dził nieprzytomny noc całą. Prozorowicz podsłu-
chiwał, w pantoflach podchodząc podedrzwi, i nie
mało się trapił nim... ale słowa z niego dobyć nie
było podobna.

Zdała widział Soleckiego przez cały niemal dzień
siedzącego z Seweryną, która wcale się już nie droży-
ła z dowodami przyjaźni i poufałości... Bernard spo-
strzegł ją znowu kładnącą mu rękę na ramieniu,
gładzącą go po głowie, rozmawiającą wesoło, a Piusa
w tryumfującej postawie szczęśliwego zdobywcy, nad-
skakującego swej pani.

Zrodziło to w nim niesmak do niewypowiedzenia.
Miłość jego młodzieńcza wzdrygała się na takie
świętokradztwo. Starał się wytłumaczyć Sewerynę,
aby dla niej zachować dawne uczucia i czuł, że to by-
ło niepodobieństwem.

Szło mu już teraz o uwolnienie się i zerwanie.
Przypuszczał w niej lekkomyślność, ale i ta całe zna-
czenie, całą wagę jej miłości zabijała. Nie uwal-
niało go to, wedle jego pojęcia, od zaciągnionych

obowiązków — lecz budziło pragnienie odzyskania swobody...

Ze ściśniętem sercem czekał dnia następującego. Układał w jaki sposób najdelikatniej może zerwać ten stosunek, szanując w kobiecie ideał, którego była wyobrazicielką mimo wiedzy.

Tymczasem pani Fantecka ze swej strony myślała i pracowała nad tem, jak nie przyprawiając o rozpacz Bernarda (wyobrażała sobie bowiem że rozpaczać po niej musi) — grzecznie i łagodnie się go pozbyć. — Zdawało się jej to trudnem, bo nie miała żadnego powodu do porzucenia go, sama mu się niemal w przód narzuciwszy.

Z rana dnia tego, Solecki przypadkiem poszedł do dworku Prozorowicza, dowiedzieć się czy nie powrócił i zastał go nad Doświadczyńskim przy żonie..

Ponieważ Solecki miał zwyczaj głośno bardzo mówić i hałasować, Burgrabia go ostrzegł że na przeciwko stał Bernard, i pono całą noc nie spał. W ten sposób Pius się o powrocie jego dowiedział i pożegnawszy pobiegł o tem oznajmić Fanteckiej.

Chwila stanowcza zbliżała się więc i kryzys przykrą przebyć było potrzeba. Seweryna próbowała namówić przyjaciółkę czyby się ona nie podjęła przygotować nieszczęśliwego Bernarda, do losu jaki go miał spotkać, ale pani Rumińska, strzepnąwszy rączkami, wprost odmówiła wszelkiego udziału...

— Kochanie moje, rzekła — samaś sobie tego piwa nawarzyła — wypij że, a mnie niem nie częstuj.

Dygnęła i wyszła.

Cały dzień Fantecka oczekując Bernarda za każdym drzwiami otwarciem, bladła i drżała — obawiała się jakiego szalonego z jego strony kroku.

Solecki drapnął do domu i zamknął się u siebie, póki by burza nie przeszła. Do obiadu nie przyszedł Marszałkowicz, już to opóźnienie zdziwiło mocno Sewerynę.

— Dawniej byłby godziny nie wytrzymał, mówiła do siebie — co mu jest? czy się już o czem dowiedział?

Z południa poznała głos jego w przedpokoju i z bijącym sercem poszła zebrać siły i oprzytomnieć w swoim pokoju. Pierścień z brylantem schowała do szufladki...

Bernard wchodząc zastał w saloniku panią Rumińską i Julkę wczytującą się ciekawie w Robinsona.

Wdowa spojrzała nań ze współczuciem, bladły był, lecz dziwnie zdawał się spokojny, choć bardzo smutny.

Przywitał się z nią nie pytając o panią Fantecką nawet. Był widocznie nadzwyczaj zmienionym.

— O ho! już coś wie! powiedziała sobie wdowa.

Dawniej natychmiast po wnijsciu, leciał ku drzwiom Seweryny, teraz stał chłodny i zmieszany, wcale nie spiesząc do niej.

— Jakże się panu podróżowało? zapytała Rumińska.

— Mnie? odparł roztargniony Marszałkowicz, jak pani dobrodziejka — widzi, powróciłem żywy...

— A Matka pańska?

— Zdrowszą jest...

Wahała się pani Fantecka z początku, lecz słysząc głos, postanowiła wyjść. Zatrzymała się tylko w progu rozważając jaką twarz wypadało wdziać, zupełnie tak jakby myślała, w jaką się ubrać sukienkę. Czy włożyć żałobę, czy przypiąć uśmiech do ust, czy zawiesić mgłą melancholii, czy osadzić brylantami wejrzeń ognistych!

Z rachuby wypadło jeszcze być teatralniej poważną, majestatyczną, jeszcze nieszczęśliwszą ofiarą niż zwykle. Szukała w głowie pretekstu do pogniewania się — znalazła że zabawił zbyt długo przy Matce, że ją porzucił, że dał dowód grzesznej i niedarowanej obojętności.

Tak przygotowana, otworzyła drzwi i weszła nadąsana, zimna, obojętna. Bernard spojrzał, było to widmo przeszłości, zabiło serce i obudził się zarazem wstręt. Postąpił ku niej nie zbyt się spiesząc.

— A to pan! odezwała się — nareszcie!

Tu Rumińska która przewidywała scenę, wzięła Julkę z Robinsonem za rękę i wyprowadziła ją do swojego pokoju...

— Wróciłem jak tylko mogłem najprędzej, odparł Bernard nie spiesząc do pocałowania ręki — Matka moja była chora...

— I ja byłem nie zdrowa! westchnęła Fantecka ale cóż tam komu moje zdrowie znaczy!

Spojrzała nań zdziwiona, bo się spodziewała natrętnej czułości i wymówek, a spotykała oziębłość.

Ubodło ją to... myśl przeleciała że Bernard musi coś wiedzieć.

Wpoila w niego wzrok, chłopiec spuścił oczy: postanowił z góry nie czynić jej żadnych wymówek — była panią swej woli, mogła sercem rozporządzać jak chciała. Szło tylko o porozumienie wzajemne. Fantecka której zarówno zerwać było potrzeba — zawahała się dla tego iż postrzegła zobojętnienie. Obraziło ją to, chciała aby sobie poszedł, lecz rozpaczający i nieszczęśliwy... Niepojmowała co się stało.

— Wróciłeś pan dziwnie zmieniony, odezwała się urażona. Cóż mam sądzić? Czy już zupełnie zostałam zapomniana?

Z ironicznym uśmiechem Bernard odparł:

— A — pani, pierwsza miłość w życiu nigdy się nie zapomina i nigdy nie gaśnie, choćby była najniezszczęśliwsza?

— Czy pan masz mi co do wyrzucenia? zagadnęła śmiało.

— Nie mam do tego najmniejszego prawa — uśmiechając się ciągle boleśnie — odezwał się Bernard...

— Pan jesteś zupełnie zmieniony, powtórzyła.

— Ja to samo w pani znajduję...

Spuściła oczy pomieszana i przeszła się po pokoju.

— Mnie bo się dziwić nie można — rzekła melancholicznie — ja — ja jestem tak nieszczęśliwą, tak od wszystkich opuszczoną, tak od losu prześladowaną iż tracę chwilami przytomność głowy i serca.

— I serca? spytał Bernard po cichu.

Odpowiedziano mu oburżonem wejrzeniem.

— Moje położenie co chwila się staje nieznośniej-
szem... Rozwodu mi zaprzeczają duchowni bo pańska
Mama używa wszelkich sprężyn aby mu zapobiedz—
jestem wystawioną na potwarze... Cóż będzie dalej!
proszę pana?

— Pani zdaje mi się, rzekł Bernard — na to
wszystko byłaś przygotowaną. W szczęśliwszych
chwilach — miałem jej przyrzeczenie iż zniesiesz to
dla mnie.

— Tak — ale to siły przechodził! wybuchnęła pa-
ni Seweryna, ja nie znałam głębi tej przepaści
w którą mnie ślepa miłość dla pana pędziła. Cóż da-
lej, mów pan—co dalej! co myślisz, wyprosiłeś u mat-
ki zezwolenie?

Bernard zmilczał.

— Więc ja mam tak zeschnąć, zamęczyć się —
ginać! Pan wymagasz tej ofiary ode mnie?

— Pani, rzekł Bernard, ja nigdy nic wymagać nie
śmiałem i nie wymagam.

— Jakto??

— Jesteś panią swej woli!

Fantecka stanęła zmieszana.

— Cóż to ma znaczyć? spytała.

— Niech pani tłumaczy to tak jak najlepiej bę-
dzie dla niej. Ja nie wchodzę w rachubę.

Zamilkł. Rozmowa szła nadzwyczaj trudno a na-
dewszystko nie po myśli Seweryny, która chciała
mieć powody do gniewu i wymówek!..

— Ale nasze położenie przeciągnąć się dłużej nie może, proszę pana, poczęła chodząc żywo — raz jakikolwiek koniec położyć mu potrzeba. Mów pan co myślisz...

— Rozkazuj pani.

— Chcesz mnie do niecierpliwości, do wściekłości doprowadzić — zawołała z udaną exaltacją — ale pan widzisz przecie że ja się w ulicy pokazać nie mogę, że mnie palcami wytykają, a ożenić się nie możesz — czy nie chcesz... Więc ja tak mam pozostać na łasce?

Marszałkowicz uśmiechał się z goryczą. Zamiast odpowiedzieć na pytanie, rzekł cicho:

— Zaprawdę, dziwne powitanie po długim rozstaniu?

Seweryna ruszyła ramionami.

— Matka pańska nie zezwala?

— Dotąd tego nie mogłem u niej pozyskać.

— A ja w takim położeniu trwać dłużej nie mogę i nie myślę. Dosyć tego, *ja zrywam*, — chcę być swobodną i będę wiedziała jak sobą rozporządzić... Muszę się przecież ratować.

Bernard którego ta rozmowa rozczarowała ostatecznie, skłonił się odstępując kilka kroków.

— Pani zrywasz? zapytał.

— Tak jest, zrywam! Słyszałeś pan! *zrywam*.

Tu była prawie pewną wybuchu, łez, rozpaczy. Spojrzała i zobaczyła go zwolna naciągającego zdjętą przed chwilą rękawiczkę. Na jego twarzy wystygły

jakiś malował się smutek, usta skrzywione ironicznie drżały...

Uklonił się nisko — i zwrócił ku drzwiom: Fanteka jak osłupiała stanęła...

— Żegnam panią! rzekł cicho. Jeślim zawinił, przebaczyć mi raczysz. Byłem młody, niedoświadczony — szczęście dla mnie za wielkie... obowiązki nad siły... Nie proszę o nic oprócz o przebaczenie.

Seweryna grała do tej pory tragedią na zimno, ten głos, postawa, wejrzenie na Bernarda, poruszyło jej serce — zrobiło się żal tego biednego któremu odjęła co miał na świecie najdroższego.... błyskawica przesunęła się po głowie, chciała pogonić za nim — pożegnać go inaczej, lecz drzwi się już zamknęły — zniknął.

Z nim razem znikło i dla niej pierwsze i ostatnie uczucie i szczęście marzenie... Pożałowała go teraz choć wiedziała, że w pół godziny byłaby go się pozbyła ostygłszy. Wchodząca pani Rumińska zastała ją przy oknie zamyśloną, milczącą, smutną. Przez drzwi słyszała rozmowę całą.

— A zatem — rzekła — stało się, jesteś wolną.

— Tak... stało się — nie wiem... nie pojmuję dla czego przyjął to tak zimno. Ktoś mnie zdradził. Pomimo to, gdybym chciała, dosyć by mi było zawołać i kazać położyć się u nóg moich... O! powrócił by, powrócił!

Balbina potrząsała główką. Coś wątpić sobie o tem pozwalam — szepnęła... Stało się, wiesz ci, bo nie zawsze się to tak gładko i spokojnie rozwiązać

daje—ale ty— ty jesteś we wszystkim szczęśliwa. Mnie go żal serdecznie! Soleckich jest na świecie mnóstwo — Bernard był jeden...

— Nie mówmy o tem — dokończyła Fantecka.

— Późno wieczorem po herbacie, nadszedł pomięszany Solecki. Seweryna przyjęła go chmurno.

— Zerwałam dla pana z Marszałkowiczem, rzekła głośno — niechże się pan o rozwód stara natychmiast.

— Tak, dodała przytomna gospodyni — pan powinienś ocenić uczynioną dla siebie ofiarę i pamiętać jakie bierzesz obowiązki...

Solecki w piersi się uderzył.

— Pani, niech mnie dyabli wezmą...

— Ale oduczże się pan tego.

— A! przepraszam — niech mnie pioruny jasne...

— Panie Solecki! rozśmiała się gospodyni.

— Do stu katów — kiedy się oduczyć nie mogę.

Obie kobiety się rozśmiały i dobry humor zapanaował na chwilę...

Bernard wrócił nie rychło do dworku

Błądził długo po miasteczku, nie potrzebując ani się spieszyć nigdzie, ani zajmując czemkolwiek. Próznia w sercu bolała.

Już było późno, gdy usłyszał go powracającego Prozorowicz: otworzył drzwi i wprowadził do siebie. Ogień się palił na kominku, mops przy nim grzał nos świecący. Burgrabina robiła drzemiac pończochę.

— Zajdź pan do nas—ciepło jak w uchu, a w tych izbach dużych, choć palono — psy gonić tak wiatr po nich chodzi.

Z oczów mu chciał coś odgadnąć.

— Gdzie to pan Marszałkowicz był tak długo? odezwała się staruszka.

Chodziłem tak... bez celu... odpowiedział siadając Bernard...

Rozmowa się nie kleiła, pytać go nie śmieli. Prozorowicz czytał w twarzy a raczej syllabizował i nie był pewny, czy już się wszystko skończyło, czy dopiero koniec gotował. Zapytać nie mógł i nie śmiał.

Bernard po chwili sam wtrącił.

— Czybym jutro nie mógł jechać do Stadnicy... panie Burgrabio...

— Jutro? a bardzo dobrze! bardzo dobrze! — zawołał stary, ja konie natychmiast zadysponuję. Tu nie ma czego siedzieć — jak Boga kocham, dworek niewygodny — a reszta psu na budę się nie zdała.

Odwrócił się Bernard pytającą minę zrobiwszy.

— A no tak! począł Burgrabia — nie chciałem wprzódzy mówić nic, aby to za potwarz i intrygę nie uchodziło — ale — jak mi Bóg miły — Solecki od tygodnia zaręczony z tą jejmością, aż mi...

Tu splunął i nie dokończył, popatrzał na Bernarda który w komin na ogień miał zwrócone oczy, uśmiechał się zimno ale boleśnie.

Prozorowicz za rękę go schwycił.

— Drogi mój paniczyku — zawołał — dziękuj panu Bogu że cię z rąk tej kobiety wyratował. Wszyscy ludzie przez takie próby przechodzą, ale niektórzy je drożej przyplacają. Co się stało, dobrze się stało...

— Tak — tak, bąknął Bernard — stało się że mi serce zamarło i że już nikogo kochać nie potrafię, bo nie uwierzę — nikomu.

— Ale! ale! począł Prozorowicz. Serce u młodych odrasta, przebolejesz i zapomnisz... Nie gadajmy o tem... Jutro konie rano będą gotowe i do Stadnicy! do Stadnicy! Pan Bóg łaskaw — jakoś to będzie!

Od wyjazdu pani Fanteckiej w domu jej męża pustka była i cisza. On sam wcale się na świat nie pokazywał, nie widział go nikt, zaledwie własna służba i na krótko. W kilku wyrazach dawał rozkazy niezbędne i zamknięty w swoim pokoju, siedział, przechadzał się, czytać próbował, chodził ostupiały.

Lecz mężnie znosił ten cios, sobie część winy przypisując. Niestety było nieodwołane, spełnione, sromotne, gorzki ten kielich wypić musiał do dna: i pił go w ciszy, nie jęcząc, nie okazując co cierpiał. Gospodarstwo było nieco zaniedbane, ludzie korzystali z tego bezkrólewia. Jeden pan Karol leśniczy zarazem i pół-rządca, nie odbierając rozkazów starał się je odgadnąć i zastąpić biednego pana. Panna Salomea troskliwie przychodziła się często dowiadywać pod drzwi gabinetu, czy panu nie było czego potrzeba — ale ją grzeczném zbywał podzię-

kowaniem. Jadał w swoim pokoju, ludzie mu ciężyli.

Ten stan trwał dni kilkanaście.

Jeden ksiądz proboszcz miejscowy, człek napozór prosty, lecz wielkiego serca i doświadczenia dopuszczonym bywał do Fanteckiego. Z nim czasem przesiedzieli godzinę, milcząc albo rzadkimi, cicho rozmawiając głosami. Przez proboszcza z Żyto-
mierza miewał wiadomości Fantecki.

Los tej kobiety, która mu się za jego miłość wywdzięczyła tak okrutną i nielitościwą wzgardą, obchodził go więcej, niżby się zdawać mogło — kochał ją, niepokoił się o nią.

Jednego dnia w porze obiadowej nadjechał proboszcz i wszedł do gabinetu. Zastał go jak zwykle, z zagasłym cygarem przed wypalonym kominem.

— E! panie Fantecki kochany, zawołał po przywitaniu — Bóg widzi — (miał to przysłowie) — wszystkiemu powinien być koniec. Juści wiecznie tak zamurowany w ciupie siedzieć nie będziesz — trzeba się otrząsnąć. Bóg dał, Bóg chciał, Bóg wziął — masz obowiązki...

— Jakie! ruszył ramionami gospodarz.

— Względem siebie, żebyś się sobie nie dał zmarnować zdasz się ludziom... Tej żałoby... Bóg widzi dość — a dalipan i dłuższej nosić nie warto.

— Jest ona w sercu i w niem zostanie.

— Nie ma poczem, Bóg widzi, niema poczem.

Każ asindziej dać wódki, bom zmarł i na obiad wyjdziemy do jadalni — he? spytał.

— Ale, mój ojciec...

— Ale, mój dobrodzieju—ja bo cię muszę wyciągnąć... E! e!... daj bo już pokój temu. Co się stało to się stało! Nie chciałbym cię gryść, ale kiedy ranę wypiec trzeba, to doktor musi.

Spojrzał przestraszony Fantecki.

— Jejmość znać pomiarkowała, że z Marszałkowiczem, któremu rodzina małżeństwa nie dopuści, ciężko będzie... porzuciła go!

— Porzuciła! krzyknął zrywając się Fantecki—niech wraca. Wstyd zamknę w sercu, przebaczę—niech wraca...

— Ale ba! ma już drugiego! zawołał proboszcz. Fantecki ręce załamał i padł na krzesło, a po chwili oczy sobie zasłonił.

— Mężtwa, mężtwa panie Dyonizy — kończył ksiądz—każdego może od płochej kobiety spotkać takie nieszczęście. Bogu dziękuj że nie masz dzieci...

— Ale to być nie może! jęknął gospodarz.

— Ale, Bóg widzi, po zaręczynach z panem Soleckim, choć rozwodu jeszcze nie ma Solecki.

— Solecki! marszcząc się dodał Fantecki ten—pisarzyna...

— A no—ten sam milionowy ex-pisarzyna...

Dobrali się—Bóg widzi. Na rozwód się wacpan pisz — jeśli go potrzebować będą, ale mnie się coś widzi, że oboje na protestantyzm przejdą, aby się bez niego obeszli. Co dla takich ludzi wiara znaczy? Wytlomaczą sobie, że gdzie krzyż, tam... wszystko jedno...

— A Marszałkowicz? spytał Fantecki.

— Ocalał biedny chłopiec...

Zamilkli. Proboszcz niemal gwałtem wyciągnął gospodarza do jadalni po raz pierwszy. Był daleko więcej pogrążonym niż zwykle, lecz go pan Karol, panna Salomea i gość zmusili niejako do rozmowy, a korzystając z tego leśniczy, starał się zająć gospodarstwem, tak aby do dawnego osamotnienia i obojętności nie dać powrócić.

On i panna Salomea, wcześniej pomyśleli o tem, aby z domu wszelkie pamiątki mogące Sewerynę przypominać usunąć. Przepyszny jej portret malowany w stroju ślubnym przez Simmlera, wyniesiono do oficyny i złożono na strychu: robotki, fraszki, najmniejszy strzępek postarała się rezydentka wrzucić do składow. Bojaźliwie rozglądając się po domu Fantecki nie spostrzegłszy nic, oddychał wolniej.

Następnych dni leśniczy koniecznie wymógł na nim, aby pojechał do lasu, znalazło się wiele do rozporządzenia w gospodarstwie, praca powoli przywołała go do życia.

Tak upłynęło trzy miesiące. Było to w styczniu. Fantecki powrócił był z drugiego folwarku, gdy przed ganek zatoczyły się sanki i Proboszcz wysiadł otulony prostym kozuchem, który tylko dla oczu ludzkich obłożony był wilczurą.

— Ależ mróz! zawołał zacierając ręce—Bóg wi-
dzi—jeszcze takiego nie było...

Popatrzał na Fanteckiego i uściskał go, a że w pokoju był leśniczy pan Karol, poprowadził do gabinetu.

— Tylko z dziećmi, rzekł, gdy się im ma zadać lekarstwo, wielkich ceremonij używać trzeba, mam nieciekawą nowinę dla was—ale dlatego z nią przyjechał, aby kto inny jej nie przywiózł...

Fantecki pobladł.

— Wiecie, rzekł proboszcz, że wasza jejmość już była po zaręczynach z Soleckim... Gdyby nie formalności jakieś przy zmianie wiary wymagane, jużby ich pewnie pastor pobłogosławił po swojemu. Tymczasem nowa historia... Wiecie pochodzenie fortuny owej Soleckiego. Wie o niej cały świat, dał mu ją adwokat, *jure caduco*, bo z onym Soleckim nieboszczykiem żadnego pokrewieństwa nie było... Myśleli że to rzecz przybita i skończona, ale Nemezis czuwa. Sukcesorowie prawdziwi się znaleźli. Pan Pius zakosztowawszy zbytku, będzie musiał oduczywszy się od razowego chleba z czosnkiem, powrócić do niego i do butów dziurawych. Że jejmości się nie chce dzielić jego losu—to naturalne. Słyszę, że zabrawszy jakąś sumkę okrągłą, wyjechała z nią do Warszawy i po zaręczynach...

— Prawda to! zawołał Fantecki—pewne?

— Ale najpewniejsze. Widziałem się z Prozorowiczem, jadącym do Stadnicy, opowiadał mi ze szczegółami historję całą. Pozawczoraj wyruszyła.

— Nieszczęśliwa— zawołał Fantecki—ona sobie rady nie da. Bóg wie jaki ją los czeka, ja mam święte obowiązki.

— Al ty jesteś sam, Bóg widzi, świętym człowiekiem—przerwał proboszcz poruszony—nie wiem jednak, czy rzeczywiście obowiązki twe. .

Fantecki nie dał mu dalej mówić—począł się przechadzać po pokoju poruszony mocno.

Proboszcz zabawił do wieczora, poczynął rozmowę kilka razy o tym przedmiocie i nie mógł wywołać żadnej odpowiedzi. Nazajutrz kazał Fantecki gotować wszystko do drogi, trzeciego dnia dowiedział się proboszcz, że go już nie było.

— Ani chybi, Bóg widzi—rzekł, on ją tu nam jeszcze przywieść gotów... omylił się jednak, gdyż nietylko nie przywiózł żony Fantecki, ale sam nie powrócił. Pan Karol dostał plenipotencję do zarządu majątkiem, a gdy się go pytano o dziedzica, mówił że dla zdrowia podróżuje za granicą.

Z boku jednak dowiedziano się w sąsiedztwie, że napedziwszy żonę w Warszawie, Fantecki potrafił ją skłonić do obowiązków. Oszczędzając jej i siebie, wyruszył natychmiast zagranicę—i—jak powiadał pan Karol, bawił gdzieś we Włoszech dla zdrowia...

Z Soleckim wszakże nie tak źle było jak mówiono, rzucono owe strachy na lachy, ażeby część sukcesyi wymódz na nim. Ponieważ proces był trudny, a sukcesorowie nie mieli go o czem prowadzić, gdy Pius mógł sypać pieniędzmi, mając w ręku majątek, zbył się pretensyi jedną i to najgorszą wioszczyną,

opisawszy tak, aby na przyszłość mógł być zupełnie spokojnym. Wyszedł więc obronną ręką, ale nie bez uszczerbku pan Solecki, ale ocalał od żony, któraby go więcej nad wszystkie procesy kosztować mogła.

Człek prosty wziął do serca tak, iż mu nagle, prawie na kobiercu harbuza dano, że na panią Sewerynę dzikie wygadywał rzeczy, nienawidząc przynajmniej tyle, co ją wielbił wprzód... Na złość jej jak poviadał, posunął się natychmiast do bardzo bogatej kupcównej w Kijowie i extra-pocztą popędził na ślub, aby ludzie widzieli, że sobie z pięknej pani (jak się wyrażał)—„nic nie robi.”



Marszałkowa podziękowała Bogu za ocalenie syna, a powinna też była dziękować i Prozorowiczowi, którego zabiegi, nie mało się przyczyniły do—wybicia Klina Klinem.

Lecz że nic ludzkiego po myśli ludzkiej nie idzie posłusznie, nawet Prozorowicz nie mógł osiągnąć celu swoich troskliwych starań. Bernard był wprawdzie w serdecznych stosunkach braterskich z Anzelmką, ale serce jego ściśnięte, nie szukało pociechy w odnowieniu uczucia, na którym taki zawód poniosło.

Pani Marszałkowa postrzegła wkrótce, iż myśl tę trzeba było co najmniej odroczyć. Bernard wypraszał się, aby mógł podróżować, matka nie była od tego, zwłaszcza, że naówczas jeszcze o wyjeździe Fanteckiego z domu mowy nie było.

Spoważniał Zniński po tej katastrofie, a życiu szukając celu jakiegoś zajął się nauką, Matka nie była przeciwną—podróż więc miała cel naukowy.

Anzelmka tymczasem z Ciocią Turską wyjechała do siebie. Ze strony Bernarda była tylko ku niej przyjaźń, w jej sercu zrodziło się uczucie daleko silniejsze, ale dziewczę kryło się z niem, jak ze skarbem i było pewne, że ani on, ani Mamcia, ani Ciocia się go nie domyśla. Czy się na tem nie myliła, nie wiemy. Anzelmka po cichu poprzysięgła nawet sobie, że nigdy za męża nie pójdzie, że będzie czekała i gotowa zostać starą panną.

A jeśliby on się ożenił? W takim razie nawet, heroiczne dziecię projektowało zostać przyjaciółką jego żony, i choć zdala patrzeć na niego.

W podróży Bernarda rok przeszło upłynął. Zajmował się mineralogią; stopy kamieni przychodziły do Stadnicy ze wszystkich stron świata.

Anzelmka nagle nabrała ochoty do tej nauki i poczęła gwałtownie zbierać minerały, czemu się ani Ciocia Turska, ani Mamcia nie sprzeciwiała. Bardzo ładne szafeczki porobiono dla nich, poukładano systematycznie. Anzelmka rozgorączkowała się dla pięknych okazów, wypisywała próbki ze wszech krajów i śmiano się z niej trochę. Ale tak stawiała się piękną rozwijając coraz, że jej nawet z kamykami w ręku było do twarzy.

Niektórzy kawalerowie z sąsiedztwa próbowali się do jej serca dobijać z pomocą bazaltów, a jeden chciał je zdobyć dziwnej piękności hyacynthem... To mu się wszakże nie udało.

Na drugi rok, Bernarda powołała Matka do domu, czując się nie bardzo zdrową. Wrócił więc wprost

z Egiptu, nie zatrzymując nigdzie po drodze. Wi-
stocie Matka jego, pomimo nie zbyt podeszłego wie-
ku i sił, jakie się mieć zdawała, od niejakiemu czasu
mocno się czuła osłabioną, a lekarze nie wróżyli jej
długiego życia. Gdy Bernard nadbiegł nareszcie
do domu, zastał ją samem szczęściem odżywioną,
zdrowszą, ale nazajutrz po dniu wyczytał z twarzy,
iż pochodnia życia gasła powoli...

W Stadnicy znalazł znowu i Ciocię Turską i pię-
kną Anzelmkę, w pierwszej chwili nie było mowy
o niczem, tylko o podróży, o domowych sprawach,
o nieskończeniu wielu szczegółach, których się wza-
jemnie od siebie dowiadywano.

Bernard stał się trochę monomanem przez mine-
ralogią, nazajutrz cokolwiek uspokojony o Matkę
począł cały ranek swe skarby rozkładać, porządko-
wać i chwalić się niemi. Jak wszyscy zbieracze
miał to pojęcie, iż piękne okazy jego, cały świat
równie, jak i jego samego obchodzić musiały.

Z bardzo pięknym ametystem, siedzącym jeszcze
w łupinie—popisywał się właśnie, gdy Anzelmka
spojrzawszy, odezwała się chłodno.

— Mam daleko piękniejszy!

— Tak! oprawny, szlifowany— rzekł Bernard..
ale nie tak, jak go Bóg stworzył.

— Właśnie że tak, jak go Bóg stworzył i większy
od twojego...

Zdumiał się bardzo podróżny...

— Twój zbiór bogaty, nie przeczę—odezwała się
Anzelmka, ale moje petryńki daleko wytwor-

niej dobrane, a kolekcya szlifowanych marmurów...

— Jakto? masz kolekcye? zapytał Bernard.

A—a jakże! odparła Anzelmka.,

— Zkądże ci przyszła ta fantazya?

— Przez małpiarstwo, mój braciszku—uśmiechnęła się kuzynka. Zaciekawileś mnie i musiałam przez zazdrość uczyć się mineralogii. A żebyś wiedział ilem młotkiem palców natłukła! dodała podnosząc rękę. Bernard spojrział, była to też sama rączka maleńka, wcale nieuszkodzona od młotka lecz wybielała znacznie..

W kilka dni potem, gdy Matka się miała lepiej z Ciocią Turską i Anzelmą pojechał oglądać jej zbiory. Przekonał się widząc je, że prawie niepotrzebnie tak daleko jeździł po okazji, które kuzynka siedząc na miejscu, pościagała z całego świata.

Nie wiem, czy minerały pociągnęły go i zbliżyły do Anzemy, ale byli z sobą bardzo dobrze i czule. Jednakże Bernardowi przez myśl nie przeszło ani się starać o nią, ani inaczej zakochać i gwałtowniej. Byli jak brat z siostrą i znajdowali że im do cichego, spokojnego szczęścia nic nie brakło. Cioćia Turska i Marszałkowa, widząc te stosunki, wyglądały rychłoli się z nich ta upragniona miłość rozwinie—ale na próżno.

Matka coraz słabła i niepokoiła się losem syna, który dla niej był najlepszem w świecie dziecięciem...

Wszystko dawne zapomniane i pogrzebione zostało...

Upadek sił Marszałkowej, był widoczny, czuła go ona sama...

— Mój Bernasiu—rzekła raz cicho całując go w głowę, jeżeli ty chcesz bym spokojnie zeszała do grobu, niech ja cię widzę ożenionym i szczęśliwym.

Bernard westchnął. Wspomnienie ożenienia zawsze dlań było bolesnem bardzo, odnawiało ranę choć zabliźnioną, ale czuć się dającą jeszcze.

— Moja droga Mamo—odpowiedział całując jej rękę... ja—nie mam ani ochoty, ani rozumu do ożenienia... Jeżeli ci to do szczęścia potrzebne... wybierz mi żonę...

Marszałkowa spojrzała nań, obojgu łyzy zakreśliły się w oczach i dnia tego nie mówili o tem więcej... Potem znowu kiedyś zaczęła chwalić bardzo Anzelme. Bernard gorąco jej wtórował, unosił się nad nią—i wyrwało mu się:—Ja ją tak kocham...

Matka spojrzała wyraziście...

— Weźże ją sobie—dodała zniecierpliwiona...

Bernard się zerwał.—Ale nie! nie! zawołał, ona warta serca świeżego, a nie tak zwiędłego jak moje. Ja ją kocham, ale nie tak, jakby ją mógł ukochać inny—i ona mnie kochać nie może. Nawykliśmy być bratem i siostrą...

Marszałkowa i na ten raz nie nalegała, lecz myśl była rzuconą. Bernard ją w sercu uniósł i począł się pytać siebie, czyby ona rzeczywistością stać się nie mogła.

Anzelmka nie wiedziała o niczem. Wieczorami zwykle zbierano się w pokoju sypialnym Marszałko-

wej, która z niego nie wychodziła. Na wielkim stole przy lampie, przerzucano dzienniki, książki, Anzelmka i Bernard czytawali głośno na przemiany. Matka siedziała w wielkim fotelu i milcząco patrzyła na dzieci.

Jednego dnia Bernard, rozmawiając z Matką, przykląkł przed nią i całował białe jej wychudłe ręce... Anzelmka jakimś wypadkiem znalazła się z drugiej strony... Staruszka spojrzała na oboje... uśmiechano się wesoło... Syn i ona mamcią ją nazywali...

— Ale ty bo *jeszcze* do tego nie masz prawa moja ty droga—odezwała się Marszałkowa—daj mi prawą rękę. Wyciągnęła ją posłuszna... nie domyślając się *jeszcze*... Bernarda dłoń leżała już na ręku Matki, połączyła je razem i przeżegnała...

Anzelmka zarumieniła się jak wiśnia, w oczach jej stanęły łzy...

— Ot tak! rzekła Matka—teraz nazywaj mnie jak chcesz... i niech wam Bóg błogostawi.

Biednemu dziewczęciu szczęście zdawało się tak niemożliwym, że pobladła i zachwiała się. Bernard musiał pochwycić ją mdlejącą, ale gdy się ocuciła, milcząco założyła mu ręce na szyję i głowę sparała na jego ramieniu.

W tej chwili szczęścia, o ludzkie losy—o serca dzieje! Bernard przypomniał ten pierwszy uścisk w życiu—który mu długie zatrzał lata... ale w prędko myśl powróciła do rzeczywistości i marzenie rozprysnęło się na wieki.

Prozorowicz do końca długiego życia, gdy był w humorze i usposobieniu do wywnętrzania się przed ludźmi, lubił opowiadać po swojemu historję swojego panicza i tej nieszczęśliwej pani Fanteckiej. Mości dobrodzieju, powtarzał zawsze—gdyby nie Klin Klinem... oto! Bóg jeden raczy wiedzieć, jakby się to było skończyć mogło! a tak... żyją dziś szczęśliwi daj Boże każdemu!

Mądrość narodów panie!! mądrość narodów!
Similia Similibus curantur! Klin Klinem!!

W lat prawie dziesięć powrócili państwo Fanteccy do domu—z trzyletnim chłopczykiem, który się zagranicą urodził. Zamknęli się w domu, a matka poświęciła się całkiem dziecięciu, do którego namiętnie była przywiązaną i stroiła je tak dziwacznie i tak cudacko, po trzy razy na dzień coraz inaczej, jakby się lalką bawiła. Z sąsiedztwa nie przyjmowali u siebie prawie nikogo, oprócz starego proboszcza,

który ile razy mu się trafiło wspomnienie Fanteckiego, nazywał go świętym człowiekiem. W parę lat po powrocie do domu, zmarła z suchot pani Fantecka, a biedny wdowiec nieutulony w żalu po niej, oddał się wychowaniu syna. Bernard po ożenieniu swem mineralogię porzucił, Anzelmka zachowała swój zbiór, jako pamiątkę tych pięknych dni młodości, w których tak była — nieszczęśliwą... zamierzając na zawsze pozostać starą panną.

Koniec.



**INSTYTUT
BADAŃ LITERACYJNOŚCI PAN**

Biblioteka

ul. Nowy Świat Nr 72

00-330 Warszawa

Tel. 26-68-63, 26-52-31 w. 42

1/12

F
1680